

Anthony Piers

*Krąg Walki:
Neq Miecz*

Przełożył MICHAŁ JAKUSZEWSKI

Tytuł oryginału BATTLE CIRCLE volume 3 NEQ THE SWORD

Wersja angielska 1975

Wersja polska 1994

Rozdział pierwszy

- - Ale ty jesteś za młody, żeby walczyć w Kręgu! - zawołała Nemi.

- - W takim razie ty jesteś za młoda na tę bransoletę, na którą się gapiłaś!

Masz

czternaście lat, tak jak ja!

Nosił to samo imię, co ona, gdyż Nemi była jego bliźniaczą siostrą. Nie chciał go jednak używać, gdyż uważał, że przestał być dzieckiem. Wybrał już sobie męskie imię: Neq Miecz. Gdybyż tylko mógł dowieść swej wartości w Kręgu Walki!

Nemi przygryzła wargi, by się zaczerwieniły. Była dobrze rozwinięta, lecz niska, podobnie jak jej brat. Nie mogła się uważać za dorosłą, dopóki nie zdobędzie bransolety wojownika, przynajmniej na jedną noc. Potem odrzuci dziecinne imię i przybierze żeńską formę imienia wojownika, którego zaspokoila. Po oddaniu bransolety stanie się bezimienna, lecz będzie już kobietą. Po dwakroć kobietą, gdy urodzi dziecko. - Założę się, że stanę się dorosła szybciej od ciebie! - zawołała i uśmiechnęła się przekornie.

Pociągnął ją za jeden z brązowych warkoczy, aż zapiszczała ze złości, całkiem jak dziecko. Wtedy puścił ją i udał się w stronę Kręgu, gdzie ćwiczyli dwaj wojownicy, jeden z pałkami, drugi z drągiem. Był to przyjacielski pojedynek o jakąś nieistotną sprawę, lecz metalowe bronie szybko migotały w słońcu, a ich szcęk rozlegał się wokoło. To był cel jego życia. Chwała zdobyta w Kręgu! Cztery lata temu wziął miecz z półki w gospodzie. Oręż był tak ciężki, że Nemi ledwie mógł go podnieść. Jednak od tego czasu ćwiczył pilnie. Ojciec, Nem Miecz, uczył go chętnie, nigdy jednak nie pozwolił synowi stanąć do prawdziwej walki.

Dzisiaj ukończył czternaście lat! Zgodnie z Kodeksem Honorowym, uznawanym przez koczowników, oboje z siostrą nie byli już skrępowani rodzicielskimi zakazami. On mógł walczyć, a ona pożyczyć bransoletę, kiedy tylko poczują się gotowi. Wojownik z pałkami trafił przeciwnika, nabijając mu guza. Za chwilę obaj wyszli z Kręgu.

- Krew rozgrzała się we mnie od tej walki! - krzyknął zwycięzca. - Muszę zaraz nałożyć jakiejś dziewczynie bransoletę. Może tej małej córce Nema. Nawet nie zauważyli Neqa. Wyzwanie siostry: „Założę się, że zrobię to szybciej od ciebie” zadźwięczało mu w uszach. Choć byli sobie tak bliscy, jak to możliwe tylko w przypadku bliźniąt, rywalizowali ze sobą zawsze i o wszystko. Neq miał więc podwójny powód, by rzucić wyzwanie.

- Zanim założysz bransoletę córce Nema - odezwał się głośno, zdumiewając obu mężczyzn, - spróbuj najpierw przyłożyć pałką jego synowi. Jeśli zdołasz. Wojownik uśmiechnął się, by ukryć zakłopotanie.

- Nie wystawiaj mnie na próbę, chłopcze. Nie chciałbym skrzywdzić bezimiennego dziecka.

Neq wyciągnął miecz i wkroczył do Kręgu. Z powodu jego małego wzrostu broń wydawała się olbrzymia.

- No, dalej. Skrzywdź dziecko.

- Żeby odpowiadać przed Nemem? Chłopcze, twój tata jest dobry w Kręgu. Nie chcę z nim walczyć po tym, jak wyłożę ci skórę. Zaczekaj, aż będziesz pełnoletni. - - Jestem. Od dzisiaj. Domagam się respektowania moich praw.

To uciszyło wojownika z pałkami, który nie znał słowa „respektować”. - Nie jesteś pełnoletni - odparł drugi, spoglądając na Nemi z góry. - Każdy to widzi.

W tej chwili pojawił się Nem, za którym podążała Nemi. - - Twój syn szuka guza - powiedział mu wojownik z drągiem. - Hig nie chce mu zrobić krzywdy, ale...

- - Jest pełnoletni - odparł z zalem Nem. On również nie był wysokim mężczyzną, ale pewność, z jaką nosił miecz, wskazywała, że nie należy lekceważyć go w Kręgu. - Chce zostać mężczyzną. Nie mogę już dłużej go powstrzymywać. - - Widzisz? - zapytał Nemi, uśmiechając się głupkowato. - Musisz najpierw pokazać swoje pałki, zanim pokażesz coś innego mojej siostrze... Wszyscy trzej mężczyźni zeszywnieli. To była zniewaga. Teraz Hig musiał walczyć, gdyż w przeciwnym razie sam Nem mógł go wyzwąć w obronie czci córki. Wszyscy wiedzieli, że Nem wręcz ubóstwiał śliczną Nemi.

Hig zbliżył się do Kręgu, wyciągając pałki.

- Muszę to zrobić - powiedział przeproszającym tonem.

Nemi podeszła do brata.

- - Ty idioto! - szepnęła gwałtownie. - Żartowałam tylko! - - No więc ja nie żartowałam! - odparł Nemi czując jak ogarnia go lęk. - Oto moja broń, Hig.

Hig spojrział na Nema, wzruszył ramionami i podszedł do białej krawędzi Kręgu. Był wysoki, przystojny i muskularny, nie był jednak biegłym wojownikiem. Nemi obserwował go, jak walczył.

Hig wkroczył do Kręgu. Nemi zaatakował natychmiast, by zdusić w zarodku swój strach. Wykonał fintę mieczem w sposób, który ćwiczył bez końca, naśladowując technikę ojca.

Przeciwnik uskoczył. Chłopiec uśmiechnął się, by okazać pewność siebie większą niż rzeczywiście odczuwał.

Dźgnął w tułów Higa zanim ten zdążył odzyskać równowagę. Nemi sądził, że jego sztych zostanie zbity. Lepiej było jednak atakować z jak największą zaciętością.

W

przeciwnym razie przeciwnik mógł zepchnąć go do obrony, co nie było korzystne dla miecza.

Zwłaszcza w walce przeciwko szybkim pałkom. Lecz trafił. Strach dodał mu szybkości. Miecz zagłębił się w brzuch Higa. Ten krzyknął przeraźliwie i szarpnął się do tyłu. Krew wytrysnęła, gdy miecz został wyrwany z rany. Hig upadł na ziemię. Wypuścił z rąk pałki i złapał się za otwartą jamę w brzuchu. Neq stanął oszołomiony. Nigdy się nie spodziewał, że będzie to takie łatwe i takie okropne. Traktował to pchnięcie jako wybieg taktyczny. Był przygotowany na to, że oberwie kilka razy zanim znajdzie okazję, by zadać rozstrzygający cios. Ale żeby skończyło się to w taki sposób...

- Hig się poddaje - oznajmił wojownik z drągiem. To oznaczało, że Neq może opuścić

Krąg nie robiąc przeciwnikowi dalszej krzywdy. Z reguły zwycięzcą zostawał ten, kto dłużej

utrzymał się w Kręgu, bez względu na to, co stało się w jego obrębie, gdyż niektórzy

wojownicy potrafili zadawać ciosy mimo odniesionych ran, bądź sprytnie udawali

rannych,
by zmylić przeciwnika.

Neq poczuł mdłości. Wyszedł chwiejnym krokiem z Kręgu i nie zważając na nic zaczął wymiotować. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego jego ojciec traktował Krąg z taką ostrożnością.

Miecz nie był zabawką, a walka nie była zabawą.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Nemi.

- To było okropne! - powiedziała. Nie potępiła go jednak. Nigdy tego nie robiła, gdy w grę wchodziło coś ważnego. - Jednak wygrałeś. Jesteś teraz mężczyzną.

Przyniosłam to dla
ciebie z gospody.

Wyciągnęła złotą bransoletę, godło dorosłości. Neq oparł się o jej ramię i zaczął płakać.

- Nie było warto - chlipał.

Nemi ręką swej sukienki otarła mu twarz. Potem założyła bransoletę. A jednak było warto. Hig nie umarł. Zabrano go do prowadzonego przez Odmieńców szpitala i tam zaszyto mu brzuch. Neq nosił bezcenną bransoletę wokół lewego nadgarstka, coraz bardziej dumny z jej ciężaru. Przyjaciele gratulowali mu i na każdym kroku okazywali swój podziw. Nawet Nemi wyznała, że poczuła ulgę, gdy okazało się, że to nie Hig będzie jej pierwszym mężczyzną. Postanowiła zostać kobietą dopiero za parę tygodni! Na cześć nowego mężczyzny - Neqa urządzono ucztę, podczas której ogłosił on swe imię. Niebawem zapisano je na tablicy w gospodzie, by Odmieńcy mogli się o tym dowiedzieć. Był jednak pewien kłopot - noc z kobietą... Neq obawiał się zakończyć ceremonię pożegnania z dzieciństwem w zwyczajowy sposób. Prawda była taka, że nie bardzo wiedział, co robić... Neq z mężczyzną w Kręgu to było proste. Ale Neq z kobietą w łóżku... - to wydawało się bardziej niebezpieczne...

Zamiast wybrać dziewczynę na noc zaśpiewał dla gości. Jego piękny tenor wywarł na wszystkich wrażenie. Nemi dołączyła się. Jej alt dobrze harmonizował z jego głosem.

Wprawdzie nie byli już bratem i siostrą, lecz takie więzy nie pękały za jednym uderzeniem miecza.

Nazajutrz Neq wyruszył w drogę jak przystało mężczyźnie i wojownikowi. Miał iść przed siebie, pozostawiając rodzinne plemię. Oczekiwano od niego, że będzie walczył, by doskonalić swe umiejętności, a także pożyczoną bransoletę. Mógł wrócić za miesiąc, za rok, albo nigdy. Ten okres miał potwierdzić to, że zdobycie praw mężczyzny nie było przypadkiem. Odtąd wszyscy koczownicy mieli traktować go z szacunkiem. Nigdy już nie będzie „dzieckiem Nema”. Stał się wojownikiem.

Ceremonia pożegnania była wspaniała. Miał ściśnięte gardło, gdy rozstawał się z Nemem, Nemą i Nemi, ale musiał to ukryć. Ujrzał łzy w oczach siostry, która nie zdołała nic powiedzieć. Była piękna. Neq musiał się odwrócić, by samemu się nie rozplakać. Ruszył przed siebie. W tej okolicy gospody były oddalone jedna od drugiej o dwadzieścia mil. Taką drogę można było pokonać w ciągu dnia, o ile nie zwlekało się zbyt długo. Neq jednak zwlekał. Tak wiele rzeczy było nowych: zakręty i przełęcz, ścieżki i obszary pastwisk, lasy

oraz napotykanii od czasu do czasu wojownicy. Było już ciemno, gdy dotarł do pierwszej kwatery.

Miał spędzić tę noc samotnie. Gospoda była pusta. Dał sobie radę sam, korzystając z urządzeń Odmieńców. Neq nie rozumiał tych ludzi. Mieli wspaniałą broń, której nie używali, znakomite jedzenie, którego nie jedli i te wygodne gospody, w których nigdy nie spali.

Zostawiali wszystkie te rzeczy tak, żeby każdy mógł je sobie wziąć. Jeśli z gospody zabrano wszystkie zapasy, Odmieńcy szybko i bez słów dostarczali nowe. Jeśli jednak jakiś mężczyzna używał broni poza Kręgiem, zabijał innych z łuku lub zabraniał komuś wstępu do gospody, i nikt go nie powstrzymywał, Odmieńcy przerywali dostawy. Sprawiali wrażenie jakby nie obchodziło ich to, że ludzie umierają, a tylko w jaki sposób i gdzie. Sama gospoda była cylindrem o średnicy dziesięciu kroków, wysokim na wyciągnięcie ręki mężczyzny, z dachem w kształcie stożka, który w jakiś sposób chwycił światło słońca i zmieniał je w moc napędzającą znajdujące się wewnątrz lampy i maszyny. W środku cylindra znajdował się gruby filar, w którym umieszczono urządzenia toaletowe, spiżarnię oraz sprzęt do gotowania. Były tam również otwory, które w zależności od potrzeby wydmuchiwały zimne lub gorące powietrze.

Neq wyjął mięso z lodówki i upiekł je w piecu. Nalał sobie kubek mleka z dzbanka.

Jedząc spoglądał na pełne półki bransolet, ubrań i broni. Wszystko to można było sobie wziąć!

W końcu rozłożył tapczan umieszczony na zewnętrznej ścianie i zasnął. Rankiem włożył do swojego plecaka zapasowe skarpetki i koszulkę, nie zwracał sobie jednak głowy dodatkowymi pantalonami, kurtką czy trampkami. Brud nie miał znaczenia, lecz przepocone części odzieży należało często zmieniać i zostawiać w specjalnym pojemniku w gospodzie. Neq zapakował też chleb i resztę mięsa. Marnotrawstwo było kolejną rzeczą, której Odmieńcy nie lubili, mimo że sami popełniali je porzucając te wszystkie rzeczy w gospodach. Na koniec Neq zabrał ze sobą łuk oraz składany namiot, gdyż miał zamiar polować, a także obozować pod gołym niebem. Można było od czasu do czasu korzystać z gospody, lecz prawdziwy koczownik wołał radzić sobie sam. Drugiej nocy rozbił namiot. Czuł się w nim bardzo samotny, a ponadto zapomniał zabrać maści odstraszającej komary. Trzeciej nocy skorzystał z gospody, dzieląc ją z dwoma wojownikami - Mieczem i Maczugą. Zachowywali się przyjaźnie i nie traktowali go z góry, choć z pewnością widzieli, jaki jest młody. Rano cała trójka ćwiczyła razem w Kręgu i obaj wojownicy pochwalili umiejętności Neq'a, co znaczyło, że wciąż jest żółtodziobem.

W poważnej walce nie potrzeba było pochwał. Umiejętności mówiły same za siebie. Czwartej nocy napotkał kobietę. Przygotowała mu posiłek, bez porównania smaczniejszy od tych, które sam przyrządzał, lecz nie próbowała się do niego zalecać. Neq zaś przekonał się, że jest zbyt nieśmiały, aby ofiarować jej bransoletę. Była starsza od niego i właściwie niezbyt ładna. Zdobył się tylko na to, by wziąć prysznic w jej obecności, żeby mogła dostrzec, iż ma włosy na łędźwiach. Spali na sąsiednich tapczanach. Rankiem życzyła mu szczęścia i pocałowała go jak matka. Neq wyruszył w dalszą drogę czerwony ze wstydu.

Przeklinał siebie za to, że nie zdobył się na odwagę, wiedział jednak, że jeszcze bardziej obawia się tego, iż zrobi coś źle i zostanie wysmiany. Zastanawiał się jak należy udawać doświadczonego w tych sprawach.

Piątego dnia, gdy było jeszcze widno, przybył do gospody położonej nad pięknym, małym jeziorem. Napotkał tam mężczyznę o ładnej, niemal kobiecej twarzy, który wydawał się niewiele starszy od Neqa. Nie był on od niego o wiele wyższy, zachowywał się jednak jak doświadczony wojownik.

- Jestem Soi, Mistrz Wszystkich Broni - oznajmił. - Walczę o panowanie. To zaniepokoiło Neqę. Panowanie oznaczało, że pokonany musi się przyłączyć do plemienia zwycięzcy. Ponieważ umowa przed walką była dobrowolna, nie stanowiło to pogwałcenia ustanowionego przez Odmieńców zakazu pozbawiania ludzi wolności. Honorowy wojownik musiał jednak dotrzymać uzgodnionych warunków. Neq walczył do tej pory tylko raz i trochę ćwiczył. Wolał nie próbować szczęścia w poważnym starciu.

Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie chciał na razie przyłączać się do żadnego plemienia.

- Używasz wszystkich broni? - zapytał, ignorując ukryte w słowach tamtego wyzwanie. - Miecza, drąga, pałek... wszystkich?

Soi skinął z powagą głową.

- Nawet morgenszternu? - Neq spojrzął na kolczaste kule leżące na półce.

Soi ponownie skinął głową. Najwyraźniej nie był zbyt rozmowny. - Nie chcę walczyć - oznajmił Neq. - Nie o panowanie. Ja... dopiero w zeszłym tygodniu zostałem mężczyzną. Soi wzruszył ramionami. Nie był urażony.

O zmierzchu pojawiła się kobieta. Miała na sobie pomarańczową suknię, oznaczającą, że jest kobietą do wzięcia, lecz była chyba jeszcze starsza i mniej ładna niż ta, którą Neq napotkał uprzednio. Musiała w swoim czasie pożyczyć wiele bransolet, lecz żaden mężczyzna nie zatrzymał jej przy sobie. Soi nie zwrócił na nią uwagi. Nie miał bransolety, co oznaczało, że jest żonaty. Ponownie wszystko zależało od Neqę, ale i tym razem nie uczynił nic.

Ona przygotowała kolację dla nich obu, co należało do obowiązków kobiety szukającej męża. Obchodziła się z garnkami równie pewnie, jak Soi ze swą bronią. Ta gospoda musiała być jej terytorium. Zapewne od dawna usługiwała wszystkim mężczyznom, którzy tu przychodzili, w nadziei, że któryś z nich przełoży umiejętności ponad urodę i pojmie ją za żonę.

Zanim podano posiłek przybył trzeci mężczyzna. Był to wielki, brzuchaty wojownik pokryty wieloma bliznami.

- Jestem Mok Morgensztern - przedstawił się.

- Sol, Mistrz Wszystkich Broni.

- - Neq Miecz.

Kobieta nie powiedziała nic. Postawiła na stole następne nakrycie.

- - Walczę o panowanie - oznajmił Soi.

- - Masz plemię? Ten chłopiec i kto jeszcze?

- - Nie. Neq jest wolny. Moje plemię ćwiczy w Złym Kraju. - - W Złym Kraju! - zaskoczenie Moka było równie wielkie, jak Neqę. - Tam nikt nie chodzi!

- - Niemniej jednak - odrzekł Soi.

- - Ale Rentgeny - duchy śmierci...
- - Czy wątpisz w moje słowa? - zapytał Soi. Mok obruszył się na jego ton.
- - Każdy wie...
- - Muszę się zgodzić - powiedział Neq i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie powinien się odzywać. To nie był jego spór.
- - W Kręgu dowiodę prawdziwości swych słów! - oznajmił Soi. Spojrzał na przezroczyście, obrotowe drzwi gospody i zauważył, że na zewnątrz jest już ciemno.

- - Jutro.

Mok i Neq wymienili spojrzenia. Teraz nie mieli wyjścia.

- Jutro - zgodził się Mok. - O panowanie. Po chwili zastanowienia dodał:

- Zobaczysz jednak, że moja broń nie nadaje się do zabawy. Kobieta uśmiechnęła się do Moka, który odwzajemnił ten uśmiech, głaszcząc swą bransoletę. Nocą Sol i Neq rozłożyli tapczany po wschodniej stronie gospody. Mok zabrał kobietę na stronę zachodnią, założywszy przedtem bransoletę na jej nadgarstek.

Neq leżał w ciemności i nasłuchiwał uważnie. Jednak rytmiczne skrzypienie tapczanu

właściwie nic mu nie powiedziało.

Sol miał ze sobą wózek wypełniony bronią.

- - Z czym chcesz się zmierzyć w Kręgu? - zapytał Moka.

- - Naprawdę używasz ich wszystkich? Niech więc będzie morgensztern. Soi wyciągnął własną kulę na łańcuchu. Neq był zafascynowany. Nigdy jeszcze nie widział morgenszternu w akcji, a nawet nie słyszał o pojedynku dwóch tych broni w Kręgu.

To był niepewny, lecz przerażający oręż, który zupełnie nie nadawał się do obrony.

Masywna, kolczasta kula trafiała w cel albo nie. Od tego zależał wynik walki. Ciężkie rany były w takim pojedynku niemal pewne.

Dwaj mężczyźni wkroczyli do Kręgu z przeciwnych stron. Każdy z nich wymachiwał morgenszternem tak szybko, że łańcuchy rozmazały się w szare okręgi. Kule wyglądały pięknie. Lśniły w promieniach słońca niczym ogniste pierścienie, podczas gdy obaj mężczyźni wyginali rytmicznie torsy. Walka musiała być krótka. Rzeczywiście był krótka. Dwa błyszczące łuki przecięły się, łańcuchy skrzyżowały, a kule uderzyły w siebie gwałtownie, syjąc iskrami. Zarówno Mok, jak i Soi, podskoczyli, gdy poczuli szarpnięcie łańcuchów, lecz tylko Soi utrzymał morgensztern w ręku.

Uchwyt broni

wyśliznął się z dłoni Moka, który został rozbrojony.

Neq zrozumiał, że właśnie to Soi pragnął osiągnąć. Celowo zaatakował broń przeciwnika, wcale nie próbując trafić w jego ciało i szarpnął gwałtownie, gdy doszło do

zatknięcia łańcuchów. Mok oczekiwał, że morgenszterny zaplączą się, utrudniając zadanie

obu wojownikom, dzięki czemu będzie mógł wykorzystać w zwarciu swój większy ciężar i

siłę. Jednak rozważa i zręczność Sola przeważały.

A może to było czyste szczęście?

- Z czym pragniesz się zmierzyć? - zapytał Sol Neqa. Młody wojownik zbladł. Z pewnością nie z morgenszternem! Czy Sol okazywał w ten sposób uprzejmość, czy pewność siebie? Co odpowiedzieć?

Miecz czy sztylet w doświadczonej dłoni mogły go ciężko zranić, jak Higa. Pałki były

tępe, lecz ich para mogła porządnie wyłoić mu skórę. Maczuga była tępą i powolną, lecz gdy trafiła w cel, jej cios był druzgocący. Drąg...

- Z drągiem!

Jeden kawałek, bez ostrzy, powolny, bezpieczny.

Soi spokojnie wyciągnął swój drąg.

Wkroczyli do Kręgu i wykonali pierwsze ruchy. Neq czuł się głupio z powodu swego tchórzostwa. Prawdziwy wojownik wybrałby własną broń, by zagrożenie dla obu walczących było równe. Drąg był bezpieczny, lecz trudno było go obejść. Neq wyprowadził sztych...

Gdy się ocknął, leżał na tapczanie w gospodzie, a głowa pulsowała mu bólem.

Kobieta, której Mok dał bransoletę, czyli Moka, wycierała mu twarz gąbką. Neq powstrzymał się przed zapytaniem, co się stało. Najwyraźniej powalił go cios, którego nawet nie dostrzegł. Czy Mok mógł go uderzyć z tyłu? Nie, to byłoby ohydne pogwałcenie Kodeksu Kręgu. Soi i Mok na pewno nie byli ludźmi, którzy używaliby tak haniebnych metod, bądź tolerowali je. Drąg musiał chyba spaść z nieba... Dotknął ciemienia.

Obmacując guza wielkości połówki jaja, przypomniał sobie wszystko. Zdumiewająco zręczny manewr. Drąg minął jego miecz, jakby to była mgła i uderzył... Neq syknął z bólu.

Cóż, był teraz członkiem plemienia Sola. Plemienia ze Złego Kraju. Jeśli nawet były tam duchy-zabójcy, to nie zaszkodziły one zbytnio Solowi! W sumie nie było to złe rozwiązanie. Nem zawsze powtarzał, że służba u silnego przywódcy ma swoje zalety. W zamian za utratę niezależności zyskiwało się opiekę i bezpieczeństwo. Oczywiście pod warunkiem, że trafiło się do dobrego plemienia...

Neq nie był całkiem pewien, czy w jego przypadku tak było. Nadal miał wątpliwości, czy Soi rzeczywiście jest znakomitym wojownikiem, w końcu właściwie nie widział go w walce... Może Soi miał tylko szczęście? Neq zrobił jednak dobrą minę do złej gry.

Wyruszył razem z Mokiem, kierując się wskazówkami otrzymanymi od Sola, który udał się w przeciwną stronę. Po drugiej nocy Mok odebrał kobiecie swą bransoletę. Neq nie zadawał mu pytań. Może tamten nie chciał po prostu zabierać ze sobą żony do Złego Kraju, choć Soi powiedział, że Rentgeny wycofały się już z miejsca, gdzie stał obóz.

Spędzili na szlaku kilka dni.

Plemię Sola, a przynajmniej ta jego część, do której się przyłączyli, składało się z trzydziestu mężczyzn obozujących w gospodzie i najbliższej okolicy. Tutaj rządziła żona wodza - Sola. Była ona piękną, zmysłową kobietą w wieku około szesnastu lat. Miała zwyczaj odpowiadać ostro, gdy się do niej zwracano, i co raz pograżać się w ponurym milczeniu.

Mimo to z dumą nosiła złotą bransoletę.

Obozowali tam przez dwa tygodnie. Ich liczba zwiększała się o kolejnych wojowników przysyłanych przez Sola. Wielu mężczyzn miało rodziny, więc zapasy w gospodzie wyczerpywały się szybko. Musieli polować, mimo iż furgon Odmieńców przyjeżdżał dwukrotnie, by uzupełnić zapasy.

Odmieńcy wyglądali tak śmiesznie! Dokładnie tak, jak wskazywała na to ich nazwa: dziwacznie ubrani, nie uzbrojeni, niemal zupełnie pozbawieni mięśni i niedorzecznie czyści.

Niemniej jednak ich ciężarówka była potworem, który mógłby zmiażdżyć wielu wojowników, gdyby zбочył z drogi. Dlaczego Odmieńcy służyli koczownikom, skoro tak łatwo mogliby nimi rządzić? Niektórzy uważali, iż Odmieńcy byli na to zbyt słabi i głupi.

Neq wątpił jednak, by było to takie proste.

W końcu Soi powrócił, prowadząc kolejnych piętnastu mężczyzn, przez co liczebność plemienia wzrosła do ponad pięćdziesięciu. Następnie cała grupa wymaszerowała do Złego Kraju. Neq spoglądał z niepokojem na czerwone znaki ostrzegawcze ustawione przez Odmieńców. Wiedział, że oznaczają one granice terytorium Rentgenów. Odmieńcy podobno wykrywali te niewielkie istoty za pomocą tykających skrzynek. Nic złego się jednak nie wydarzyło.

Na pustkowiu, w pobliżu rzeki, znajdował się obóz otoczony fosą pełną wody. Jego przywódcą był Tyl, Mistrz Dwóch Broni, prawdziwą władzę sprawował jednak Sos Nieuzbrojony. Ćwiczył on wojowników bezlitośnie. Podzielił wszystkich na grupy, w zależności od broni, i przyznał każdemu mężczyźnie miejsce w tabeli zależne od jego umiejętności. Neq zaczął jako ostatni miecz z dwudziestu. Zmartwiło go to, lecz trening wyszedł mu na dobre i na koniec został czwartym wśród pięćdziesięciu. Obóz rósł cały czas, gdyż Soi nadal wędrował i przysyłał wciąż nowych wojowników. Neq nigdy nie widział silniejszego i bardziej zdyscyplinowanego plemienia.

Dziwne, że wszystko to było dziełem człowieka, który sam nigdy nie walczył w Kręgu. Sos wiedział wiele o walce, nie był też słabeuszem. Mimo to nosił na ramieniu małego ptaszka, robiąc tym z siebie pośmiewisko. Było też oczywiste, że kochał Solę, choć nie przyznawał się do tego głośno. Neq widział raz, zimą, jak zakradła się ona do jego namiotu i pozostała tam do świtu. Cała ta sytuacja była dlań nie do pojęcia. Gdy nadeszła wiosna, plemię wyruszyło. Neq był już wtedy jednym z najlepszych mieczy. Z niecierpliwością oczekiwał zapowiedzianych podbojów. Jego radość mąciła tylko jedna rzecz: nie zdobył się jeszcze na odwagę, by ofiarować bransoletę jakiejś dziewczynie. Pragnął to zrobić, lecz nie skończył jeszcze piętnastu lat, a wyglądał na trzynaście. Żywa, naga kobieta to było więcej niż mógł sobie wyobrazić. Ile błędów można popełnić!

Niekiedy marzył o Soli. Nie chodziło o to, że ją kochał czy choćby lubił. Była po prostu cudownie zbudowaną dziewczyną, która nocowała w namiocie innego mężczyzny, choć jej mąż był wodzem plemienia. Hańba... lecz jakże boleśnie pociągająca! Ona z pewnością dochowałaby tajemnicy...

Nieśmiałość wobec kobiet Neq nadrabiał w Kręgu. Był to jeden z powodów, dla których zrobił tak wielkie postępy w sztuce walki mieczem. Neq spędzał cały wolny czas na ćwiczeniach, podczas gdy inni zajmowali się swoimi sprawami lub odpoczywali.

Uważano go
za pilnego, w rzeczywistości jednak był udręczony.
Któregoś dnia w końcu musiał zostać mężczyzną!

Rozdział drugi

Neqowi powodziło się w walce. Z łatwością wygrywał swoje pojedynki. Jego pierwszym rywalem był najlepszy miecz małego plemienia, którego wódz nie chciał walczyć.

Neq był jednym z kilku wybranych krzykaczy, których docinki sprowokowały go do tego.

Jego przeciwnik w Kręgu umiał wiele, ale długi trening w Złym Kraju uczynił Neqą lepszym od rywala.

Walcząc, Neq przypomniał sobie jak Sos kazał mu stawać w Kręgu nie tylko przeciwko mieczom, lecz również przeciw wszystkim innym broniom. Neq ćwiczył też walkę w parach z różnymi wojownikami przeciwko innym parom. To była ciężka praca, a ponieważ w Złym Kraju nigdy nie walczone do krwi, tylko ocena wystawiana przez Sosa Doradcę określała umiejętności Neqą. Słowa Nieuzbrojonego miały jednak swoją wagę. Gdy tylko Neq dostrzegł drobne niedostatki w umiejętnościach przeciwnika, zrozumiał, że Sos miał rację. Nieudolne zwycięstwa i żenujące porażki nie były mu już pisane. Naprawdę był Mistrzem Miecza.

Pewnego dnia, nieoczekiwanie, Sos Doradca odszedł. Można było zapytać, kogo nappełniło to większym żalem: Sola, czy Solę? Czy Sol dowiedział się o wszystkim? Plemię jednak nadal żyło tak, jak zorganizował je Sos. Sola urodziła dziewczynkę, choć dziewięć miesięcy temu jej mąż był nieobecny...

Podboje uczyniły plemię tak wielkim, że trzeba je było rozbić na pięć mniejszych, które razem tworzyły Imperium. Jednym z nich dowodził Sol, a pozostałymi jego najważniejsi namiestnicy: Tyl, Mistrz Dwóch Broni, który miał najlepszych wojowników, dalej: Sav Drąg, który przejął obóz w Złym Kraju, gdzie nadal ćwiczone młodych wojowników, i który był drugim z pieśniarzy Imperium. Następni byli: Tor Miecz z wielką, czarną brodą... i sam Neq. Każde z plemion Imperium udało się w swoją stronę, zdobywając nowych wojowników, wszystkie jednak podlegały Solowi. Z początku było to wspaniałe. Rzeczywistość zaćmiła wszystkie marzenia Neqą o chwale. Miał pod sobą stu pięćdziesięciu wojowników, więcej niż liczyła sobie większość niezależnych plemion. Odwiedził rodzinę, by pochwalić się tym, co osiągnął. Jego siostra wyszła za mąż i przeniosła się w inne strony. Tych spośród miejscowych, którzy wątpili w jego umiejętności, szybko o nich przekonał. Wysłał wszystkich sześciu do obozu w Złym Kraju. Neq zmierzył się też z ojcem, Nemem. Nie bili się jednak do krwi, ani o panowanie.

Tutejsi mieszkańcy nigdy nie widzieli nikogo, kto władałby mieczem lepiej od Neqą. Cieszył się, że się o tym dowiedzieli. Jednak po upływie roku takie rzeczy straciły dlań urok.

Obowiązki wodza nie pozwalały mu ćwiczyć w Kręgu tak dużo, jak by chciał. Odnosił wrażenie, że ze wszystkich stron otaczają go waśnie i wrogowie. W końcu zrozumiał, że w głębi serca nie jest przywódcą, lecz wojownikiem.

Pod koniec drugiego roku miał już tego wszystkiego serdecznie dość, wydawało się jednak, że nie ma innej drogi. Pragnął tylko uciec, by móc walczyć w Kręgu na uczciwych warunkach, bez przeszkód wynikających z jego pozycji w plemieniu. Ponadto... nadal

pragnął kobiety. Miał już szesnaście lat i był mężczyzną w każdym calu, lecz sama myśl o zaproponowaniu bransolety jakiegokolwiek dziewczynie napełniała go lękiem. Gdyby któraś go poprosiła, gdyby dała mu wyraźnie do zrozumienia, że jest chętna, to co innego. Jednak żadna tego nie uczyniła.

Neq podejrzewał, że jest najbardziej nieśmiałym mężczyzną w całym Imperium, choć na pozór nie miał po temu żadnych powodów. Mógł bez zmrużenia oka rozkazywać mężczyznom, z ufnością we własne siły zmierzyć się z każdą bronią i rządzić plemieniem liczącym setki członków. Żeby jednak nałożyć swą bransoletę kobiecie... chciał to zrobić, lecz nie mógł się na to zdobyć.

Nagle na Imperium spadło nieszczęście. Pojawił się Bezimienny - nie uzbrojony mężczyzna, który wkraczał do Kręgu i pokonywał najlepszych wojowników gołymi rękami.

Wydawało się to niemożliwe, lecz Bezimienny zdobył najpierw plemię Sava, łamiąc mu rękę, potem grupę Tyła, roztrzaskując mu kolana, a następnie plemię Tora, zabijając Goga Maczugę - jedyne wojownika, którego nawet Soi nie zdołał pokonać. W końcu zmusił do wstąpienia do Kręgu samego Sola, odebrał mu całe Imperium, a także Solę, i wysłał go razem z córką na Górę, by tam umarł.

Plemię Neqa przebywało daleko od miejsca, w którym to się zdarzyło. Zanim tam dotarli sprawa była już rozstrzygnięta. Soi odszedł. Neqowi nie pozostało nic innego, jak podporządkować się nowemu Wodzowi. Tyl pozostał drugim wojownikiem. Rządził w imieniu olbrzymiego, nie uzbrojonego zwycięzcy, który nie okazywał żadnego zainteresowania codziennymi sprawami Imperium.

- Idź, dokąd chcesz - poradził Neqowi Tyl na osobności - i walcz, gdzie tylko zechcesz, ale nie o panowanie. Przepytaj swych wojowników i zwolnij tych, którzy chcą odejść. Tak zarządził Bezimienny.

- Po co więc zdobywał Imperium? - zapytał zdumiony Neq. Tyl wzruszył tylko ramionami z niesmakiem. Neq wiedział, że Tyłowi bardzo nie podoba się ten stan rzeczy, był on jednak człowiekiem honoru, godnym swego stanowiska, i nie miał zamiaru wystąpić przeciw nowemu Wodzowi. Neq postąpił zgodnie z radą Tyła. Na sześć lat Imperium zamarło. Neq przekazał swe obowiązki innym i zaczął wędrować samotnie. Czasami walczył w Kręgu, lecz jego umiejętności sprawiały, że takie spotkania nie miały sensu i doprowadziły do tego, że szybko zaczęto go rozpoznawać, gdziekolwiek się pojawił. Jego bransoleta nadal nie opuściła ani razu swego miejsca na nadgarstku, choć śnił o kobietach, i to co noc.

W wieku dwudziestu czterech lat, po dziesięciu latach nauki, podbojów i wędrówek, Neq Miecz wkroczył w smugę cienia. Nie miał przyszłości, teraźniejszości ani Imperium.

I wtedy Wódz, przy pomocy plemienia Tyła oraz swego własnego, dokonał najazdu na Górę, po czym zniknął. Tyl powrócił, przynosząc wieści, że forteca mieszcząca się pod Górą spłonęła i że ci, którzy w przyszłości pójdą na Górę, zginą naprawdę, bez względu na to, jak się sprawy miały w przeszłości. Tyl nie mógł jednak obwołać się przywódcą Imperium. Nikt nie zwyciężył Nieuzbrojonego, który mógł wrócić albo nie. Namiestnicy: Tyl, Neq, Sav, Tor i inni spotkali się, i po naradzie postanowili, że Imperium zostanie uśpione do chwili powrotu Wodza. Każdy z nich miał zostać wodzem wolnego plemienia,

postanowili jednak, że nie będą walczyć ze sobą. Neq, który pragnął tylko wolności, rozwiązał swoją grupę całkowicie. Jego najlepsi wojownicy natychmiast zaczęli tworzyć własne, małe plemiona i przenosić się z nimi w inne miejsca. Neq, znów niezależny, wyruszył na samotną wędrowkę. Gdy po raz trzeci szukając noclegu w gospodzie stwierdził, że została ona obrabowana i zniszczona, był zdumiony i wściekły. Kto to robił i dlaczego? Gospody były nietykalne i otwarte dla wszystkich wędrowców. Gdy którąś z nich zniszczono, cierpieli na tym wszyscy.

Gdyby takie przestępstwa stały się zbyt częste, mogłoby to zaszkodzić całemu ludowi koczowników.

Nie było nadziei na szybkie schwytywanie sprawców. Od chwili, gdy dokonano tego czynu, upłynęły tygodnie. Łatwiej było zapytać o to Odmieńców, którzy wiele wiedzieli o sprawach koczowników.

Neq, który do tej pory nudził się okrutnie, ucieszył się na myśl o nowej przygodzie.

Miejscowa siedziba Odmieńców była obleżona. Jej szklane okna wybito. Oblegani zabarykadowali otwory okienne kawałkami drewnianych i metalowych mebli. Otaczające budynek klomby podeptano. Dwóch wojowników pełniło wartę krążąc dookoła budynku. Trzech innych gawędziło ze sobą przy pobliskim ognisku.

Neq podszedł do bliższego z wartowników, wielkiego wojownika z mieczem.

- - Kim jesteście i co tu robicie?

- - Zjeżdża}, pętaku - odparł tamten. - To prywatny teren.

Neq nie był już ani młody, ani porywczy. Odpowiedział spokojnie:

- Odnoszę wrażenie, że napadliście Odmieńców. Czy macie jakiś powód?

Mężczyzna wyciągnął miecz.

- To jest mój powód. Kapujesz, kurdupłu?

Neq ujrzał, że pozostali napastnicy dostrzegli go i zbliżają się szybko. Wszyscy byli

uzbrojeni w miecze. Neq nie ustąpił.

- - Czy wyzywasz mnie do walki w Kręgu?

- - Hej, ten karzeł się stawia! - krzyknął rozbawiony wartownik. - - Utnij mu jaja, jeśli je ma! - zawołał jeden z pozostałych, zbliżając się z wyciągniętym mieczem.

Neq był już pewien, że są to nie uznający Kręgu bandyci - nieudolni wojownicy, którzy zebrali się, aby gromadnie napadać na bezbronnych. Podobnych łotrów nigdy dotąd nie tolerowano na terytoriach Odmieńców, zaś Imperium ścigało ich bez litości. Schwytyanych tracono, zmuszając ich w walki w Kręgu z dobrymi wojownikami na śmierć i życie. Nie można było pozwolić, by Odmieńcy przerwali dostawy w powodu postępów bandytów. Lecz Imperium już nie istniało, więc chwasty zaczęły się rozpleniać. Takich tchórzów można było zabijać bez wyrzutów sumienia. Neq musiał się jednak upewnić:

- Podajcie mi swoje imiona. Otoczyli go pierścieniem. - - Podamy ci twoje zakrwawione flaki! - zawołał pierwszy. Pozostali roześmiali się.

- - Więc ja podam wam moje. Jestem Neq Miecz - wyciągnął broń. - Pierwszy, który mnie zaatakuję, wytyczy granice Kręgu.

- - Hej... słyszałem o nim! - krzyknął jeden z bandytów. Jest niebezpieczny.

Miał
własne plemię...

Lecz pozostali, którzy nie znali historii Imperium, ruszyli ze wszystkich stron, w nadziei, że zmiażdżą intruza liczebną przewagą.

Gdy tylko podeszli bliżej, Neq zaatakował. Zadał błyskawiczne pchnięcie w pierś przeciwnika znajdującego się przed nim. Natychmiast wyrwał broń i zatoczył zakrwawionym ostrzem łuk w lewo, trafiając następnego bandytę w szyję, nim ten zdążył unieść miecz. Taka rąbanina na odlew nie mogłaby być skuteczna przeciw dobrze wyszkolonemu wojownikowi, lecz to były niedouczone niedołęgi. Neq ciął w prawo, lecz trzeci napastnik zdążył wreszcie podnieść gardę i miecz uderzył o miecz.

Neq odskoczył na bok i przebiegł pomiędzy dwoma zakrwawionymi mężczyznami. Pozostało dwóch, gdyż piąty rozpoznawszy Neq'a uciekł. Neq odwrócił się w ich stronę.

Patrzyli przerażeni na leżących na ziemi towarzyszy. Nowicjusze bojący się krwi! - Zabierajcie rannych i wynoście się stąd! - zawołał do nich. - Jeśli was jeszcze raz zobaczę, zabiję natychmiast.

Neq z pogardą odwrócił się do nich plecami i podszedł do budynku. Zapukał do drzwi.

Odpowiedzi nie było.

- Oblężenie skończone! - zawołał. - Jestem Neq Miecz, wojownik Kręgu. Macie mnie w swoich rejestrach.

Ciągle milczenie. Neq wiedział, że Odmieńcy zapisują imiona wszystkich koczowniczych przywódców.

- Stań tak, abym cię widział - zawołał wreszcie jakiś głos. Neq podszedł do wybitego okna. Ujrzał, że bandyci oddalają się wlokąc swych towarzyszy.

- - Jest tu zapisany Neq Miecz - usłyszał inny głos. - Zapytaj go, kim jest jego ojciec.

- - Nem Miecz - odparł Neq, nie czekając na pytanie. - Moją siostrą jest Borna.

Przyjęła bransoletę Borna Sztyleta i urodziła mu dwóch chłopców. - - Tego nie mamy w kartotece - odpowiedział po krótkiej przerwie drugi głos - ale brzmi to prawdopodobnie. Czy on służył w koczowniczym Imperium Sola, Mistrza Wszystkich Broni?

- Bom? Nie. Jeśli jednak widzieliście mnie przed chwilą, to macie dowód, że ja w nim służyłem.

- Musimy mu zaufać - stwierdził pierwszy głos. Neq wrócił do drzwi. Rozległ się odgłos przesuwanych z mozołem mebli. Potem szcęknięty klucze i drzwi się otworzyły.

Wewnątrz stało dwóch starych mężczyzn. Byli to typowi Odmieńcy: mieli gładko wygolone twarze, krótko obcięte włosy uczesane z przedziałkiem, okulary, białe koszule z rękawami, długie spodnie z kantem oraz sztywne, wypastowane, skórzane buty. Ich śmieszne stroje nie nadawały się do jakiegokolwiek walki. Obaj jeszcze się trzęśli. Najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do niebezpieczeństwa, a także bali się samego Neq'a. - W jaki sposób udało wam się ich powstrzymać? - zapytał zaciekawiony Neq. Wojownik wyglądający tak, jak ci dwaj, mógłby co najwyżej wykopać dla siebie mogiłę.

Jeden z Odmieńców wyciągnął instrument przypominający trochę miecz. - - To jest wiertarka elektryczna. Włączałem ją i dotykałem ich rąk, kiedy usiłowali przedostać się do budynku. To mogło przyprawić o mdłości, ale było skuteczne. - - Mamy też broń - dodał drugi - ale nie umiemy się nią dobrze posługiwać.

- - Jak długo to trwało?

- - Dwa dni. Podobne napady powtarzają się ostatnio, lecz dotąd nasze ciężarówki zaopatrzeniowe zawsze rozpędzały napastników. Tym razem ciężarówka nie przyjechała.

- - Zapewne wpadła w pułapkę - odparł Neq po namyśle. - Widziałem już trzy ograbione gospody. Te szakale nigdy przedtem nie ważyły się was atakować. Jaki jest tego powód?

- Nie wiemy. Wystąpiły braki w dostawach i nie byliśmy w stanie zaopatrywać gospody w wystarczającym stopniu. To dlatego koczownicy wypowiedzieli nam wojnę. - - Nie koczownicy! To byli bandyci! Spojrzeli na niego z powątpiewaniem.

- - Nie kwestionujemy twoich słów, ale...

- - Czy macie dowody na to, co mówicie? - przerwał mu rozgniewany Neq.

- - Tak sądzimy.

- - Ależ to głupota! Nie jesteśmy całkowicie zależni od gospód, ale umożliwiają nam one wygodne życie. Ich nietykalność zawsze szanowano. - Tak nam się zdawało. Sam jednak widziałeś... Neq westchnął.

- Widziałem. Cóż, chcę, byście się dowiedzieli, że nie będę tolerował podobnego zachowania i sądzę, iż większość koczowników zgodziłoby się ze mną. W jaki sposób mógłbym wam pomóc?

Obaj Odmieńcy wymienili spojrzenia.

- - Czy zechciałbyś zanieść wiadomość do naszego centralnego ośrodka? - - Chętnie, ale teraz potrzebujecie obrony tutaj. Jeśli odejdę, nie pożyjecie długo.

- - Nie możemy opuścić naszej placówki - odparł jeden z mężczyzn smutnym głosem.

- - Lepsze to niż śmierć - powiedział Neq.

- To kwestia zasad. Neq wzruszył ramionami.

- Dlatego nazywają was Odmieńcami. Naprawdę jesteście stuknięci.

- - Jeśli zanieziesz wiadomość...

- - Zaniosę. Najpierw jednak zbiorę kilku ludzi...

- - Nie. Nigdy nie pracowaliśmy w ten sposób.

- - Posłuchajcie, Odmieńcy - powiedział gniewnie Neq. - Jeśli teraz nie zaczniecie pracować w ten sposób, jest pewne, że wasza placówka wkrótce pójdzie z dymem, a wy zostanieie pod nią pochowani. Nie możecie udawać, że nic się nie zmieniło. - - To przekonujący argument - przyznał jeden z mężczyzn. - Niewątpliwie masz doświadczenie w walce. Jeśli jednak nie będziemy postępować zgodnie z naszą filozofią, nie ma powodu, dla którego mielibyśmy robić cokolwiek. Neq potrzęsnał głową.

- Odmieńcy - powtórzył, podziwiając ich upartą odwagę. - Dajcie mi tę swoją wiadomość.

Centralny ośrodek był szkołą. Wiadomość była przeznaczona dla niejakiego doktora Jonesa i Neq zamierzał doręczyć mu ją osobiście.

Młoda, jasnowłosa dziewczyna, siedząca za biurkiem w pokoju przylegającym do gabinetu doktora Jonesa, była zdecydowana chronić swego wodza przed wszelkimi intruzami.

- - A kto chce się z nim widzieć? - zapytała obserwując bacznie Neq. Była umyta do czysta, co irytowało go lekko.

- - Neq Miecz.

- NEK czy NEG? Spojrzał na nią zakłopotany.

- Och, jesteś analfabetą - powiedziała po chwili. - Doktor Jones przyjmie cię teraz.

Wszedł do gabinetu i przekazał pisemną wiadomość. Starszy, łysiejący Odmieniec złamał natychmiast pieczęć i zaczął przyglądać się zabazgranej kartce papieru.

Jego twarz

przybrała poważny wyraz.

- Gdybyśmy tylko mogli przeciągnąć kable telefoniczne... A więc nasze ciężarówki nie docierają do celu?

Niewątpliwie znalazł odpowiedź na to pytanie.

- - Ci dwaj mężczyźni prawdopodobnie już nie żyją - odrzekł Neq. - Nie pozwolili się przekonać. Chciałem zapewnić im ochronę, ale...

- - Nasze ideały różnią się od waszych. W przeciwnym razie sami bylibyśmy koczownikami. Wielu z nas w młodości nimi było.

- - Byłeś wojownikiem? - zapytał z niedowierzaniem Neq. - Jakiej broni używałeś?

- - Miecza, tak jak ty. Ale to było czterdzieści lat temu.

- - Dlaczego przestałeś nim być?

- - Odkryłem doskonalszą filozofię.

- - Odmienicy giną z powodu swojej filozofii. Lepiej ich odwołaj.

- - Zrobię to.

Przynajmniej ten Odmieniec miał odrobinę rozsądku!

- - Dlaczego to się dzieje? Te ataki na wasze siedziby i na gospody. Nigdy przedtem tego nie było.

- - Być może nigdy za twojej pamięci. Mogę ci to wyjaśnić - doktor Jones siedział za biurkiem, licząc coś na palcach, które były długie i pokryte zmarszczkami. - W ostatnich miesiącach nie byliśmy w stanie zaopatrywać gospod w należyty sposób. W rezultacie niektóre z nich stały się bezużyteczne dla koczowników. Kiedy do tego dochodzi, niektórzy ludzie reagują niechęcią, a że brak im ogłady, jaką daje cywilizacja, uderzają na oślep. Są głodni, chcą ubrań oraz broni, a nie dostają tego. Wydaje im się, że niesprawiedliwie odmówiono im tych rzeczy.

- - Ale dlaczego nie możecie ich już zaopatrywać?

- - Dlatego, że nasze własne dostawy zostały odcięte. Zajmujemy się przede wszystkim dystrybucją. Nie produkujemy sprzętu. Mamy pewną ilość zmechanizowanych farm, lecz żywność stanowi tylko część naszych usług. - - Dostajecie broń i całą resztę od kogoś innego? - Neq nie zdawał sobie z tego sprawy.

- - Do niedawna tak było. Jednakże od kilku miesięcy nie otrzymaliśmy dostaw, a nasze własne zapasy są na wyczerpaniu. Szczerze mówiąc, nie możemy już zaopatrywać koczowników. Sam widziałem fatalne skutki tej sytuacji. - - Czy nie powiedzieli wam, co się stało? To znaczy ci, którzy was zaopatrują? - - Nie mamy z nimi kontaktu. Programy telewizyjne urwały się nagle. Wydaje się, że doszło do poważnej utraty mocy. Nasze ciężarówki nie wróciły. Obawiam się, że wzburzenie spowodowane przerwaniem dostaw zwraca się przeciwko nam. To efekt sprzężenia zwrotnego. Sytuacja jest poważna.

- - Czy gospody mogą przestać istnieć?

- - Obawiam się, że ten sam los spotka nasze szkoły, szpitale i farmy. Tak. Nie możemy wytrzymać skoordynowanych ataków wielkiej liczby uzbrojonych ludzi. Jeśli nie uporamy się szybko z tym problemem, to obawiam się, że grozi nam całkowita dezintegracja struktury naszego społeczeństwa.

- - Chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy mamy kłopoty - upewnił się Neq.
Doktor Jones skinął głową.

- - Wyrażasz się bardzo zwięźle.

- - Potrzebujecie kogoś, kto pójdzie sprawdzić, co się stało. Kogoś, kto umie walczyć. Jeśli kierowcy waszych ciężarówek przypominają ludzi, których spotkałem na placówce...

Jones ponownie skinął głową.

- - Ja to zrobię, jeśli chcecie.

- - Jesteś bardzo wspaniałomyślny, ale brak ci znajomości sytuacji. Potrzebny by nam był pisemny raport...

- - Nie umiem pisać, ale mógłbym strzec kogoś, kto umie.

Jones westchnął.

- - Nie powiem, że twoja propozycja nie jest kusząca. Byłoby jednak nieetyczne, gdybyśmy wykorzystali cię w ten sposób. Ponadto mógłbyś mieć trudności z ochroną „Odmieńca”.

- - Masz rację. Nie mogę pomóc człowiekowi, któremu nie można nic wytłumaczyć. - - A więc dziękuję ci za przysługę, którą nam zrobiłeś dostarczając tę wiadomość - Jones wstał z miejsca. - Możesz pozostać u nas jak długo zechcesz, sądzę jednak, że nasze spokojne życie szybko cię znudzi.

- - Wydaje mi się, że nie jest już ono spokojne - odparł Neq. - Ale to nie zgadza się z moją... moją filozofią - położył dłoń na rękojeści miecza. - Na tym opiera się moje życie.

- - Doktorze...

Obaj mężczyźni spojrzeli na stojącą w drzwiach jasnowłosą dziewczynę.

- - Słucham, panno Smith? - odezwał się doktor Jones. - - Słuchałam przez interkom - powiedziała zmieszana, lecz z buntowniczą miną. - Usłyszałam propozycję pana Neqa...

- - Jestem pewien, że przez „Q” - wtrącił się z uśmiechem Jones. - Jeden z najlepiej władających mieczem koczowników w dzisiejszych czasach. Neq poczuł, że się czerwieni, gdy dziewczyna popatrzyła na niego z podziwem. - Mogłabym pojechać z nim - ciągnęła panna Smith. Na jej ładnej twarzy pojawił się rumieniec. - Nie zapomniałam całkowicie dzikiego życia i mogłabym napisać raport.

Jones posmutniał. Jego twarz znakomicie potrafiła to wyrazić.

- Moja droga, to nie jest przedsięwzięcie...

- Doktorze, wie pan, że wszystko się zawali, jeśli czegoś nie zrobimy! - krzyknęła. - Nie możemy siedzieć beczynnienie!

Neq nie wtrącał się do rozmowy. Obserwował dziewczynę. Była młoda i całkiem atrakcyjna. Pod spódniczką kryły się zgrabne i piękne nogi. Mimo dziwacznych szat była warta uwagi mężczyzny. Słyszał, że określenie „panna” w odniesieniu do Odmieńca-kobiety oznaczało, że nie ma ona jeszcze męża. Odmieńcy używali słów zamiast bransolet. Jones spojrzał na Neqa.

- - To trochę niezręczna sytuacja, ale w zasadzie ona ma rację. Bezwarunkowo musimy coś zrobić, a ona nadaje się do tego zadania. Oczywiście nie jesteś zobowiązany...

- - Mogę pilnować kobiety równie łatwo, jak Odmieńca-mężczyzny - odparł Neq. - Pod warunkiem, że będzie robić to, co jej każę. Nie mogę pozwolić, żeby upierała się przy „zasadach”, gdy zostaniemy napadnięci.

- - Zrobię wszystko, co mi każesz - powiedziała pośpiesznie.

- - Niełatwo mi podjąć tę decyzję - rzekł Jones. - Ale potrzebujemy informacji. Nawet negatywny raport, a bardzo poważnie obawiam się, że takiego należy się spodziewać, umożliwi nam przygotowanie planów przetrwania. Jeśli oboje się zgadzacie... Neq zastanowił się nad tym głębiej. Jak wielką odległość zdoła pokonać w ciągu dnia objuczony tą ładną jak lalka „panną”? Będzie mdlała na widok krwi i padnie z nóg zanim przejdą sześćdziesiąt mil. A ponadto jaką śmiesznością się okryje, wędrując w towarzystwie Odmieńca, a zwłaszcza kobiety! Równie dobrze, zwyczajem Sosa, mógłby posadzić sobie na ramieniu małego ptaszka...

- To się nie uda - powiedział. Nawiedziło go znajome uczucie zawodu. Wiedział, że nieśmiałość wobec kobiet wpłynęła na jego decyzję w większym stopniu niż logika. - Musi się udać - odparła. - Doktor Jones potrafi dokonać zdumiewających rzeczy, ale tylko wtedy, gdy ma dokładne informacje. Jeśli się obawiasz, że nie dotrzymam ci kroku, to weźmiemy ciężarówkę. Nie muszę też wyglądać w ten sposób. Zdaję sobie sprawę z twojej pogardy. Mogę się ubrać jak koczowniczką, a nawet trochę pobrudzić...

Jones omal się nie uśmiechnął, lecz Neq wzruszył ramionami, jak gdyby nie było to dla niego ważne. Myśl o podróży z atrakcyjną dziewczyną, nawet Odmieńcem, stawała się coraz bardziej kusząca. Ostatecznie udzielenie pomocy Odmieńcom było sprawą honorową i to przeważyło.

- - Zgoda - oznajmił.

- - Zgoda? - wyglądała na zaskoczoną.

- - Ubrudź się trochę, weź ciężarówkę i pojedziemy. Spojrzała oszołomiona na Jonesa.

- - Zgoda?

Doktor Jones westchnął.

- Moim zdaniem nie jest to najlepszy pomysł, ale jeśli oboje jesteście chętni...

Rozdział trzeci

Zmiana, która zaszła w jasnowłosej pannie Smith, była zdumiewająca. Rozpuściła swe długie włosy na wzór koczowniczek i owinęła się w jednoczęściowy strój kobiet do wzięcia.

Zniknęły gdzieś jej osobliwe maniery. Odzywała się tylko wtedy, gdy do niej mówiono, znając swe miejsce w obecności wojownika. Gdyby Neq nie znał jej pochodzenia, mógłby dać się nabrać.

Niemniej to ona musiała prowadzić ciężarówkę. Neq widywał czasami pojazdy Odmieńców, lecz nigdy dotąd nie był wewnątrz żadnego z nich. Było oczywiste, że obsługa takiej maszyny wymagała niezwykłych umiejętności. Neq siedział obok dziewczyny z mieczem ściśniętym między kolanami. Wcisnęło go w siedzenie, gdy koła podskakiwały na wybojach. Prędkość tej maszyny była zatrważająca. Neq ciągle oczekiwał, że pojazd

zacznie dyszeć i zwolni bieg. Przecież nikt nie mógł tak gnać bez końca! Kiedyś mówiono mu, że ciężarówka na dobrej drodze może w ciągu godziny pokonać odległość równą całemu dniu marszu. Teraz w to uwierzył.

Podróż nie była przyjemna. Droga, wystarczająco dobra dla pieszych wędrowców, przy tej szybkości stała się niebezpieczna. Neq ogarnął lęk. Teraz rozumiał, dlaczego Odmieńcy dbali o swe drogi aż do przesady, wycinając krzaki i usuwając głązy. Takie naturalne przeszkody były dla pędzącego pojazdu groźne jak cios mieczem. Neq nie okazywał strachu, lecz jego zaciśnięte na mieczu dłonie były lepkie od potu, a mięśnie zesztyniały mu z napięcia.

Z czasem jednak przyzwyczał się. Zaczął obserwować ruchy panny Smith. Kierowała ona ciężarówką, obracając specjalnym kołem. Gdy chciała się zatrzymać, naciskała metalowy pedał na podłodze. Prowadzenie samochodu nie było jednak takie trudne! Jechali przez cały dzień. Zatrzymywali się tylko wtedy, gdy nie przyzwyczajony do kołysania Neq musiał zwymiotować lub w celu uzupełnienia paliwa. To pierwsze było upokarzające, lecz panna Smith udawała, że nic nie widzi, a z czasem wewnętrżności Neq pogodziły się z sytuacją. Benzyna miała dziwny zapach, a Neq za nic nie mógł zrozumieć, po co właściwie przelewa się ją z jednego pojemnika do drugiego. - - Dlaczego benzyna nie może lecieć wprost z tych blaszanych pudeł? - zapytał.

- - Te ciężarówki zaprojektowali i zbudowali Starożytni - odparła panna Smitha oni robili mnóstwo niewytłumaczalnych rzeczy, takich jak baki na benzynę zbyt małe na cały dzień jazdy. Może lubili nalewać ją z kanistrów.

Neq roześmiał się.

- A to dopiero! Odmieńcy uważają Starożytnych za odmieńców!

Uśmiechnęła się. Nie była obrażona.

- Wydaje się, że zdrowie psychiczne jest odwrotnie proporcjonalne do stopnia cywilizacji.

„Odwrotnie proporcjonalne”, wiedział, co to znaczy, podobnie jak wszyscy, którzy przeszli przez obóz w Złym Kraju. Używano tam liczb do określania miejsca wojownika w tabeli. Im mniejszy był numer wojownika, tym wyższą zajmował on pozycję. Jechali przed siebie, aż wreszcie musieli się zatrzymać, by usunąć przeszkodę leżącą na drodze. Z pobliskiego wzgórza osunęła się na nią lawina głązów. Tutaj Neq okazał się użyteczny, gdyż panna Smith z pewnością nie zdołałaby sama zepchnąć na bok wszystkich kamieni ani przerzucić łopatą zwał piasku i ziemi.

Mimo tej zwłoki Neq ocenił, że do wieczora przebyli odcinek, do pokonania którego pieszo potrzebowalby pięciu dni marszu.

- - Ile z reguły przechodzisz w ciągu dnia? - zapytała panna Smith, kiedy jej o tym powiedział.

- - Trzydzieści mil, jeśli jestem sam. Więcej, kiedy się śpieszę. Razem z plemieniem dwadzieścia.

- - A więc uważasz, że przejechalіśmy dziś sto pięćdziesiąt mil.

Neq sprawdził to, licząc na palcach. Umiał rachować, lecz to zadanie różniło się od tych, z którymi zwykle miał do czynienia.

- - Tak - odparł.

- - Według licznika dziewięćdziesiąt cztery - rzekła. - Musiało ci się wydawać, że jedziemy szybciej niż w rzeczywistości. Na równej drodze pokonalibyśmy dwa razy więcej.

- - Ciężarówka zapamiętuje przejechaną trasę? - zapytał zdumiony. - Może zapomniała policzyć odcinek między tankowaniem i naprawą drogi? Ponownie się roześmiała.

- - Możliwe! Maszyny nie są zbyt mądre.

Nigdy przedtem nie rozmawiał z kobietą w ten sposób. Był zdumiony przekonując się, że to nie jest trudne.

- - Jak daleko jest do tego dostawcy?

- - Około tysiąca mil od szkoły, w prostej linii. Tymi leśnymi drogami trochę dalej.

Neq ponownie dokonał rachunków.

- - A więc przed nami jakieś dziesięć dni drogi.

- - Mniej. Niektóre odcinki są łatwiejsze do pokonania od innych. Daj mapę, to pokażę ci drogę. Myślę, że najgorsze już za nami.

- - Nie.

- - Nie? - zamarła z mapą w ręku.

- - Najgorsze jest to, co nie pozwoliło wrócić waszym ciężarówkom. - - Och... - zamyślona wyglądała ładnie. - Cóż, przekonamy się. Tamci nie mieli ze sobą uzbrojonego strażnika. Rozłożyła mapę i zaczęła pokazywać Neqowi różne linie i kolorowe plamy. Większość z tego nie miała jednak dla niego znaczenia. Nie potrafił odczytać znaków na mapie.

- - Gdy już tam dotrzemy, trafię z powrotem - zapewnił ją.

- - To wystarczy.

Przyglądała się mapie jeszcze przez chwilę, po czym złożyła ją z cichym westchnieniem. Mieli ze sobą żywność w puszkach oraz mrożoną. Wieczorem panna Smith zapaliła małą kuchenkę gazową i ugotowała na niej fasolę, rzepę i bekon, po czym otworzyła lodówkę i nalała mleko do kubków. Neq od lat nie miał kobiety, która by usługiwała tylko jemu. To było intrygujące doświadczenie. Oczywiście panna Smith tylko wyglądała jak kobieta. W rzeczywistości była Odmieńcem.

Spali w ciężarówce. On z tyłu przy pojemnikach z benzyną, ona w kabinie. Najwyraźniej uważała, że byłoby nie w porządku, gdyby oboje spali z tyłu, choć było tam znacznie więcej miejsca i musiała wiedzieć, że żaden honorowy koczownik nie zakłóciłby jej spoczynku, nie dawszy jej uprzednio bransolety. Oczywiście nie miała pojęcia, że Neq nigdy nie żył z żadną kobietą i że jedyną dziewczyną, którą znał bliżej, była jego siostra. W gruncie rzeczy, gdyby panna Smith nie była Odmieńcem, czułby się strasznie niepewnie. W obecnej sytuacji jego niepokój był nieco mniejszy, cieszył się jednak, że śpi sam. Lecz w jego snach kobiety były wszechobecne, a on nie odczuwał nieśmiałości. Ale tylko w snach...

W drugim dniu podróży nie wydarzyło się nic szczególnego. Pokonali prawie dwieście mil. Jazda nie była już dla Neqa nowością. Patrzył więc obojętnie na mijające ich błyskawicznie zarośla, a ukradkiem na prawą pierś panny Smith, wyraźnie rysującą się pod ubraniem dziewczyny, która w tej chwili mniej niż zwykle przypominała Odmieńca. Zaczął nucić, najpierw po cichu, do swego miecza, a gdy panna Smith nie zaprotestowała, zaśpiewał głośno piosenkę, której nauczył się od Sava Drąga w radosnych dniach, gdy rodziło się Imperium.

Śmiali byli synowie proroka, Nie powstrzymał ich strach ani ból, Lecz najśmielszy był z nich, jak to mówią, Emir Abdullah Balbul.

Nazwy występujące w piosence nie miały znaczenia, podobnie jak imiona, lecz melodia zawsze sprawiała mu przyjemność. Odpowiadał mu jej wojowniczy nastrój. Od czasu do czasu odczuwał pokusę, aby zmienić trochę słowa i dostosować je do rzeczy, które znał, ale nigdy nie ośmielił się na to: „Śmiali byli wojownicy Imperium...”. Nie, piosenki musiały być nietykalne. W przeciwnym razie traciły swą magię. Po pewnym czasie zdał sobie, wstrząśnięty, sprawę, że panna Smith śpiewa razem z nim harmonijnym kobiecym głosem, jak niegdyś robiła to Nemi. Umilkł nagle mocno speszony. Panna Smith przerwała i nic nie powiedziała. Trzeciego dnia natknęli się na barykadę. Drzewo leżało w poprzek drogi. - To nie jest naturalna przeszkoda - stwierdził Neq, przeczuwając kłopoty. - Popatrz, tego drzewa nie zwałił wiatr. Zostało ścięte. Żaden koczownik nie zostawia drzewa, które ściął.

Zatrzymała ciężarówkę. Po chwili pojawili się wojownicy.

- - No dobra, Odmieńcy, wyłazić! - wrzasnął ich przywódca. - - Zostań na miejscu - rozkazał Neq. - To będzie dla ciebie nieprzyjemne. Może lepiej schył głowę, żeby nie patrzeć.

Wyskoczył na zewnątrz jednym susem i uniósł broń.

- Jestem Neq Miecz - oznajmił.

Tym razem nikt nie rozpoznał jego imienia.

- Patrzcie, jaki sprytny - powiedział wielki wojownik z maczugą. - Ubrał się jak mężczyzna.

Wiemy, że jesteście Odmieńcami. Co masz w ciężarówce? Panna Smith nie usłuchała rozkazu Neqa. Jej blada twarz ukazała się w oknie kabiny.

- Hej! - krzyknął przywódca. - Mamy tu samicę Odmieńca!

Neq ruszył w jego stronę.

- Nie tkniecie tej ciężarówki. Jest pod moją opieką. Mężczyzna roześmiał się chrapliwie i machnął maczugą. Zginął roześmiany.

Neq pozwolił mu upaść na ziemię, po czym zwrócił się w stronę następnego napastnika - pokrytego bliznami wojownika ze sztyletami. Patrzył uważnie, czy ktoś nie ma łuku. Bandyci byli zdolni do wszystkiego. Gdyby strzały pomknęły w jego kierunku, miałby nielichy kłopot.

- Uciekaj - poradził życzliwie nadchodzącemu.

Mężczyzna spojrział na zakrwawione zwłoki towarzysza i uciekł. Bandytów rzeczywiście łatwo było przestraszyć.

Neq zaatakował przywódcę, który również używał sztyletów. Ten przynajmniej miał trochę odwagi. Wyciągnął noże i zaczął wymachiwać nimi nieudolnie. Już dawno stwierdzono, że dobre sztylety przegrają z dobrym mieczem, jeśli walka jest poważna. Ale ten mężczyzna nie był dobry i Neq powalił go w pierwszym starciu.

Za moment nie pozostał już ani jeden napastnik.

- Krzyknij, jeśli coś zobaczysz - powiedział pannie Smith. - Pójdę się rozejrzeć po okolicy.

Musiał się upewnić, że wszyscy rzeczywiście uciekli, zanim weźmie się za drzewo. Panna Smith siedziała nieruchomo z kamienną twarzą. Wiedział, że nie spodobało jej się to, co widziała. Odmieńcy i kobiety byli do siebie podobni pod tym względem, a ona była i jednym, i drugim.

Odszukał obóz bandytów. Był pusty. Tchórzliwy wojownik ze sztyletami nie tracił czasu. Zdażył ostrzec pozostałych. Sądząc po śladach były tam przynajmniej dwie kobiety i czterech mężczyzn. Cóż, teraz pozostały dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Neq wątpił, by chcieli jeszcze atakować jakieś ciężarówki.

Wrócił do pojazdu.

- Wszystko w porządku - powiedział pannie Smith. - Usuńmy z drogi ten pień.

Wydawało się, jakby dopiero teraz się obudziła. Neq obejrzał drzewo i uznał, że jest

za duże, by mógł je poruszyć nie przeciąwszy go najpierw na pół. Wyciągnął miecz i zamachnął się, lecz panna Smith zawołała do niego:

- Jest łatwiejszy sposób.

Wyciągnęła sznur i przywiązała go do podstawy pnia. Drugi koniec umocowała do przedniego zderzaka ciężarówki. Następnie włączyła silnik i zaczęła powoli cofać samochód, który pociągnął za sobą drzewo, aż ułożyło się ono wzdłuż drogi. Neq gapił się na to z podziwem i zakłopotaniem.

Gdy panna Smith skończyła, Neq pozbawił drzewo gałęzi i stoczył goły pień z drogi.

Zwinął sznur i wrócili do kabiny.

- Jedźmy - powiedział ochryplym głosem. Prowadziła samochód nie patrząc na niego.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział po chwili. - Nigdy bym nie wpadł na to, by użyć ciężarówki w taki sposób.

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią i dostrzegł, że wargi ma zaciśnięte i niemal całkowicie białe, a oczy przymrużone, choć światło nie było silne.

- - Wiem, że wy, Odmieńcy, nie lubicie przemocy - ze zdumieniem stwierdził, że się tłumaczy - ale ostrzegalem, żebyś nie patrzyła. Zabiliby nas, gdybym tego nie zrobił. Nie zastawili zasadzki tylko po to, żeby nas pozdrowić.

- - Nie o to chodzi.

- - Jeśli natkniemy się na więcej podobnych band, będzie to wyglądało tak samo.

To dlatego wasze ciężarówki nie wracają. Wy, Odmieńcy, nie walczyście. Myślicie, że jak będziecie dla wszystkich mili, to nikt nie zrobi wam krzywdy. Może kiedyś tak było, ale ci bandyci tylko się z tego śmieją.

- - Wiem o tym.

- - Cóż, tak to już jest. Wykonuję tylko pracę, której się podjąłem. Zapewniam ochronę ciężarówce - wciąż jednak czuł się niezręcznie. - Mnie też się zrobiło niedobrze, kiedy w pierwszej swojej walce zraniłem człowieka. Można się jednak do tego przyzwyczaić.

Lepsze to niż samemu oberwać.

Przez chwilę prowadziła w milczeniu. Potem zatrzymała samochód.

- Chcę ci coś pokazać - powiedziała. Jej twarz złagodniała.

Wysiedli. Panna Smith podeszła do rozłożystego dębu, rosnącego przy drodze. Stanęła i odwróciła się do Neq, oddychając szybko. Zabłąkany promień słońca rozświetlił na chwilę jej złote włosy. W tej pozycji wydała mu się najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widział.

- Rzuć się na mnie. Neq zbaraniał.

- - Nie chciałem cię obrazić. Staralem się tylko wytłumaczyć... Nigdy nie zaatakowałem kobiety... - zaplątał się w słowach.

- - Udawaj, że jesteś bandytą, który chce mnie zgwałcić. Co byś wtedy zrobił?

- - Nigdy bym...

Neq poczuł się tak, jakby miecz przeciwnika prześliznął się przez jego gardę i wbił prosto w serce.

Panna Smith potrząsnęła dłonią i nagle zjawił się w niej nóż. Nie kobiecy nożyk do obierania jarzyn, lecz bojowy sztylet. Nie zaciskała palców na rękojeści niepewnie ani zbyt kurczowo. Panna Smith, sekretarka doktora Jonesa, trzymała sztylet dokładnie w taki sposób, jak wojownik wstępujący do Kręgu.

Nagle miecz Neqa nie wiedzieć kiedy znalazł się w jego ręku. Oczy wojownika spoczęły na sztylecie. Stał pewnie na obu nogach. Nie można było lekceważyć noża trzymanego w ten sposób!

Panna Smith nie zaatakowała go jednak. Odwinęła swój strój, odsłaniając jędrne, świeże piersi i wsunęła sztylet do płaskiego futerału ukrytego pod pachą. - - Chciałam tylko, żebyś zrozumiał - powiedziała.

- - Nigdy bym cię nie uderzył - odrzekł Neq, oszołomiony zarówno jej gotowością do użycia broni, jak i widokiem piersi. Zabrzmiało to jednak śmiesznie, gdyż wciąż stał z uniesionym mieczem. Pośpiesznie schował go do pochwy. - - Oczywiście, że nie. Sprawdziłam cię w kartotece, gdy tylko ustaliłam, jak się pisze twoje imię. Byłeś wodzem plemienia, ale nigdy nie wziąłeś sobie kobiety. Chodziło mi o to, żebyś zrozumiał mnie. To, że kiedyś byłam dzika. Nie jestem prawdziwym Odmieńcem.

Nie w naprawdę ważnych sprawach.

- - Czy... walczyłaś kiedyś sztyletem?

- - Kiedy zobaczyłam, jak się starłeś z tymi bydlakami, tę krew... Poczułam się, jakbym rzuciła z siebie dwanaście lat i znowu stała się koczowniczką. Tam w kabinie byłam gotowa ci pomóc.

- - Dwanaście lat! Walczyłaś jako małe dziecko? Skrzywiła usta.

- - Jak myślisz, ile mam lat?

- - Dziewiętnaście?

Większość zameźnych kobiet wcześniej traciła urodę. W wieku piętnastu lat były godne najwyższego pożądania, dziesięć lat później wędły. Kobietom niezameźnym brak było nawet tej początkowej świeżości. Panna Smith najwyraźniej miała już za sobą kwiat pierwszej młodości, jednak wciąż była ładna.

- Zgodnie z oceną doktora Jonesa mam dwadzieścia osiem. Nikt nie wie dokładnie, bo nie miałam rodziny.

Trzy lata starsza od samego Neqa? To było niewiarygodne! - Kiedy miałam dziewiętnaście... - zaczęła z głębokim namysłem. - Kiedy miałam dziewiętnaście lat poznałam pewnego wojownika. Silny, ciemnowłosy mężczyzna.

Może o nim słyszałeś. Sos... Sos Sznur?

Neq potrząsnął głową.

- Znałem kiedyś jednego Sosa, ale on nie nosił broni. Nie wiem, co się z nim stało.

- Odeszłabym z nim do koczowników, gdyby mnie

0to poprosił - zastanowiła się przez chwilę, oddychając szybko. - Odeszłabym z każdym.

Sytuacja była niezręczna. Dłonie Neqa pokrył lepki pot. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Przepraszam - odezwała się. - To przez tę krew

1walkę. Zareagowałam w nie cywilizowany sposób. Nie powinnam była chwalić się nożem.

- - Myślałem, że zrobiło ci się niedobrze. Tam w kabinie...

- - Niezupełnie. Zapomnijmy o tym.

Wdrapali się z powrotem do kabiny, lecz Neq o tym nie zapomniał. Starał się zrozumieć to, co zobaczył i usłyszał. Sterczące piersi i dwadzieścia osiem lat... Jaką tajemnicę znali Odmieńcy, że potrafili tak długo zachowywać urodę kobiety? I jeszcze jej nóż. Poruszyła nim szybko i pewnie. Naprawdę musiała być kiedyś dzika.

Takich umiejętności nie zdobywało się łatwo, a kobiety nie nosiły broni, jeśli nie umiały się nią posługiwać. Ale doktor Jones mówił, że wielu Odmieńców, w tym on sam, było kiedyś koczownikami.

W końcu zatrzymali się i odgrzali kolację. Po posiłku Neq przystąpił do rzeczy:

- - Dlaczego pojechałaś ze mną?

- - Pytasz o prawdziwy powód? W przeciwieństwie do tego, który podałam?

Skinął głową.

- Myślę, że wciąż pragnę tego, czego nie mogę zdobyć. Innego sposobu życia... wolności od odpowiedzialności... mężczyzny.

Przeszył go na wpół przyjemny dreszcz.

- - Wśród Odmieńców też są mężczyźni.

- - Mężczyzny - powtórzyła z naciskiem. - Takiego jak ty.

- Czy... czy prosisz mnie o bransoletę?

Nawet po ciemku mógł dostrzec, że jej twarz pokryła się rumieńcem. Miał nadzieję, że jego własne policzki nie zdradzą go w równie bezlitosny sposób. -' Kobieta nie prosi.

Serce biło mu mocno. Nagle poczuł gwałtowne pożądanie mimo jej wieku i odmienności. Na swój sposób poprosiła go i była bardziej przystępna niż kobiety, które spotykał dotąd. Umiejąca czytać, władająca nożem, dwudziestoosmioletnia kobieta

- Odmieniec!

Najpierw widział w niej tylko Odmieńca. Dopiero później zaczął myśleć o niej jak o kobiecie i kochance. To coś znaczyło. Trzy dni... dłużej niż kiedykolwiek spędził w towarzystwie kobiety... z wyjątkiem Nemi.

- - Nigdy nie dałem nikomu bransolety. Nawet na jedną noc.

- - Wiem o tym. Nie rozumiem tylko, dlaczego.

- - No... bałem się odmowy - nigdy dotąd się do tego nie przyznał. - Albo tego, że mi nie wyjdzie.

- - Czy to naprawdę byłoby takie straszne? Gdyby ci nie wyszło? Ujrzał teraz, że jej ubranie drga rytmicznie pod wpływem uderzeń serca. Ta rozmowa wywoływała w niej takie samo napięcie, jak w nim. To mu pomagało... ale też przeszkadzało.

- Nie wiem.

Na zdrowy rozum nie miało to sensu, gdyż mógł się pogodzić z porażką w Kręgu nie przeżywając podobnego wstydu. Gdy jednak w grę wchodziła kobieta, jego strach wydawał się nie do przezwyciężenia.

- Jesteś przystojny i silny - zauważyła. - Chyba nigdy nie widziałam atrakcyjniejszego koczownika. Umiesz też pięknie śpiewać. Nie sędzę, byś spotkał się z odmową. Ponownie przyjrzał się jej uważnie, zastanawiając się nad znaczeniem jej słów. Było teraz ciemniej, lecz jego przyzwyczajone do mroku oczy widziały ją wyraźniej niż kiedykolwiek. Drżał z napięcia pełen niedowierzania i pożądania. Sięgnął powoli prawą ręką do lewego nadgarstka i dotknął znajdującej się tam złotej bransolety. Panna Smith nie poruszyła się, wpatrzona w jego dłonie. Złapał za bransoletę i pociągnął. Ślizgała się wokół nadgarstka, ale nie chciała zejść.

Musiał ją odrobinę rozgiąć. Jego dłoń odmawiała mu posłuszeństwa. Panna Smith wciąż patrzyła. Na twarzy wciąż miała rumieniec, który dodawał jej uroku.

Neq zmusił wreszcie swe palce do uległości i wepchnął je w szczelinę w bransolecie.

Zaczął powoli naciskać. Pot spływał mu po karku, a ręka drżała nerwowo. W końcu udało mu się ściągnąć metalowy przedmiot. Jego nadgarstek wydał mu się nedorzecznie nagi. Uniósł bransoletę i ujrzał na niej ślady potu. Wytarł ją o koszulę, a następnie bardzo powoli zaczął zbliżać się do panny Smith. Ta uniosła lewą rękę. Ich drżące dłonie zetknęły się ze sobą. Złoto dotknęło jej nadgarstka.

Gwałtownie cofnęła rękę.

- Nie... nie... Nie mogę! - krzyknęła.

Neq pozostał z bransoletą w wyciągniętej ręce. Spełniło się to, czego obawiał się przez te wszystkie lata. Odmówiono mu.

- Och Neq, przepraszam cię! - zawołała. - Nie chciałam, żeby to tak wyszło. Nie wiedziałam, że tak się stanie.

Neq wciąż trzymał bransoletę w wyciągniętej ręce, wpatrując się w pannę Smith.

Nie potrafił określić, co czuł.

- To nie to, co myślisz - ciągnęła. - Wezmę ją. Pierwszy szok... - ponownie podniosła nadgarstek... i opuściła go. - Nie mogę!

Neq założył bransoletę z powrotem i powoli, lecz mocno, zacisnął rozgięty metal. - - Tak mi wstyd - mówiła panna Smith. - Nigdy nie myślałam... Proszę, nie gniewaj się.

- - Nie gniewam się - odparł. Język i krtań miał jak z drewna. - - Chciałam powiedzieć, nie czuj się odrzucony. To moja wina, nie twoja. Ja nigdy... jestem gorsza od ciebie. Och, to okropne!

- - Nigdy nie miałaś mężczyzny?

Neq odkrył, że znacznie łatwiej mu przychodzi zrozumieć jej problem niż zrobić coś ze swym własnym.

- Nigdy - odparła, zmuszając się do śmiechu. - Gdybym była normalną koczowniczką, byłabym już babcią.

Nie minęła się z prawdą.

- - A co z tym Sosem?

- - Chyba mnie nawet nie zauważył. Głowę wypełniła mu jakaś koczowniczką.

Dlatego przyszedł do szkoły.

- - Myślę, że dobrze się stało - powiedział Neq po krótkiej przerwie.

- - Nie rozumiem.

Teraz, gdy skurcz gardła już minął, powiedział zupełnie swobodnie:

- Tak naprawdę nie chciałem ci dać bransolety, a tylko przekonać się, czy potrafię to zrobić. Żeby nie musiał uważać się za tchórza.

- Och.

Zrozumiał, że był dla niej okrutny. Ponadto było to kłamstwo.

- Nie chciałem powiedzieć, że ciebie nie pragnę. Chodzi o... zasadę.

Teraz on sam mówił jak Odmieniec i nadal było to kłamstwo.

- Rzecz w tym, że jesteś stara... starsza ode mnie i jesteś Odmieńcem.

- Tak.

Nie była jednak prawdziwym Odmieńcem. Ironia losu polegała na tym, że gdyby była koczowniczką, w ogóle nie spróbowałby ofiarować jej bransolety. Jej prosta zgoda na jego kłamstwa i półkłamstwa pogarszała sytuację.

- Nie wyglądasz staro. Gdybyś mi nie powiedziała...

- Czy możemy zmienić temat?

Powinien był milczeć od początku. To zaoszczędziłoby mu niepotrzebnego wstydu i poprawiło jej wyobrażenie o nim. Zawiodł... nie dlatego, że nie dał jej bransolety, lecz dlatego, że próbował o tym rozmawiać. Porzucili więc ten temat. Lecz nie na długo.

Rozdział czwarty

Następnego dnia padało bez przerwy. Starali się jechać dalej, lecz droga stawała się coraz bardziej grząska. Gdyby dzisiaj tu utknęli, jutro mogliby się nie wydostać. Panna Smith wjechała na szczyt niskiego wzgórza i zatrzymała tam ciężarówkę. - Będziemy musieli długo poczekać - stwierdziła. - Minie co najmniej dzień, zanim te koleiny obeschną i stwardnieją.

Neq spojrział na zewnątrz, na padający nieustannie deszcz, i wzruszył ramionami. Deszcz nigdy dotąd mu nie przeszkadzał, lecz teraz był poważnym utrudnieniem w ich misji.

Neq miał zamiar pójść do lasu, by znaleźć coś do jedzenia i rozejrzeć się po okolicy. Nie mógł jednak zostawić panny Smith samej. Jej nóż nie pomógłby jej wiele, gdyby nadeszli bandyci.

- No więc - powiedziała z nutą udawanej wesołości - czy spróbujemy jeszcze raz?

Neq spojrział na nią, niepewny o co jej chodzi.

- Utknęliśmy tu na pewien czas - wytłumaczyła. - Obojgu nam potrzebne jest doświadczenie. Wczoraj było kiepsko, ale dziś czuję się silniejsza. Jeśli nie przestaniemy próbować, to może... Och, bransoleta!

- W tej chwili? Tutaj?

- Może za dnia jest łatwiej niż w nocy. Mniej strachów. Czy masz coś lepszego do roboty? A może rzeczywiście nie chcesz...

- Nie!

To była odpowiedź na oba pytania.

- Może jeśli zrobimy to szybko, nie spłoszymy się. Nagle wydało mu się, że to dobry pomysł. Było mu przykro, że obraził ją poprzedniego dnia. Teraz dawała mu szansę naprawienia tego. Nie czuła urazy. On sam dopiero zaczynał się pocić. Jeśli potraktują całą sprawę jak walkę w Kręgu, działając odruchowo, to może każde z nich zdoła wykonać

swoje zadanie, zanim narastający strach znowu ich obezwładni. Złapał ręką bransoletę, zerwał ją i wyciągnął w stronę panny Smith. Ich ręce spotkały się w połowie drogi.

Nadgarstki zderzyły się ze sobą. Bransoleta upadła na podłogę.

- Cholera! - krzyknęła, używając przekleństwa Odmieńców. - Podniosę ją. Pochyliła się w tej samej chwili co Neq. Zderzyli się głowami. Zawstydzony Neq zaczął się śmiać.

- To nie jest zabawne - powiedziała. - Staram się znaleźć...

Pod wpływem nagłego impulsu złapał ją za szczupłe ramiona i podciągnął do góry.

Przysunął jej twarz do swojej twarzy i pocałował ją.

Nie było w tym żadnej magii. Wargi panny Smith, zaatakowane z zaskoczenia, były mdłe.

Bransoleta zawisała w jej palcach.

- Załóż ją - szepnął. - Myślę, że nam się uda. Popatrzyła na złoty przedmiot, a potem z powrotem na niego.

Nagle coś uderzyło w szybę po jej stronie.

- Padnij! - krzyknął Neq. Sam już działał. Pochylił się, otworzył drzwi i zeskoczył w błoto obok koła. Z mieczem w ręku przykucnął obok ciężarówki, rozglądając się za wrogiem.

Rozpoznał odgłos uderzającej strzały. To oznaczało atak bandytów. Prawdopodobnie nie był dobrze przygotowany, gdyż zatrzymali się w przypadkowym miejscu, jednak nie można było tego zlekceważyć.

Miał rację. Wśród deszczu usłyszał głosy dwóch mężczyzn. Zastanawiali się, czy podejść do pojazdu, czy też spróbować jeszcze paru strzał. Nie zauważyli, że drzwi z drugiej strony kabiny otworzyły się.

Postanowili zaatakować.

- Ci Odmieńcy nie umieją walczyć - powiedział jeden z nich. - Po prostu otwórz drzwi i wyciągnij ich na zewnątrz.

Podeszli do ciężarówki i gdy dotknęli drzwi od strony kierowcy, Neq zaatakował ich z boku. Walka była krótka. Po chwili w krwawym błocie leżały dwa ciała. - - Uciekajmy - zawołał do panny Smith.

- - Jak? - otworzyła z wysiłkiem drzwi. - Nie możemy ruszyć...

- - Nie ciężarówką. Sami. Tam, gdzie było dwóch bandytów, może ich być więcej.

Nie możemy ryzykować.

Wyskoczyła na zewnątrz potykając się o zwłoki. Szybko odzyskała równowagę. Choć nie byli ubrani odpowiednio na deszcz, nie zwlekali. Pobiegli do lasu, daleko od ciężarówki.

Żadne z nich się nie odezwało.

Neq odnalazł sękata, żółtą brzozę i wspiął się na nią w poszukiwaniu miejsca, gdzie byłby niewidoczny z ziemi. Panna Smith podążyła za nim. Usadził ją okrakiem na grubym, okrągłym konarze, a sam zajął miejsce na drugim. Woda ściekała im po plecach, była to jednak dobra pozycja obronna i widzieli stąd ciężarówkę. Czekali tak trzy godziny.

W końcu pojawił się mężczyzna z maczugą. Przeszedł w odległości dziesięciu kroków od ich drzewa. Najwyraźniej kogoś szukał.

Dostrzegł ciężarówkę i to, co leżało przy niej. Natychmiast zawrócił. Był sam.

Neq zeskoczył z drzewa.

- Hej, bandyto!

Tamten odwrócił się w jego stronę, unosząc maczugę.

- Zabiłem ich - oznajmił Neq. - Ciebie również zabiję, jeśli nie... Napastnik nie był tchórzem. Rzucił się na Neq, wymachując zawzięcie maczugą. To było wszystko, czego Neq pragnął się dowiedzieć. Prawdziwy koczownik zaprotestowałby, gdyby nazwano go bandytą, i zażądał satysfakcji w Kręgu. Nie zaatakowałby od razu.

Neq uchylił się przed ciosem i ciął w odpowiedzi mieczem. Chciał wziąć napastnika żywcem. Potrzebna mu była informacja.

Przeciwnik zamachnął się po raz drugi. Tym razem Neq odparował cios. Ostrze miecza ześliznęło się po maczudze i obcięło napastnikowi jeden palec. Nie była to poważna rana, wystarczyła jednak, aby go zniechęcić do walki. Zresztą i tak nie miał szans.

- Powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć, a puszcę cię wolno. Mężczyzna skinął głową. Neq cofnął się. Napastnik odetchnął z ulgą. Panna Smith pozostała na drzewie. To był mądry postępek. Lepiej, żeby bandyta nie wiedział o jej obecności.

- Jeśli mnie okłamiesz, ruszę twoim tropem i zabiję cię - oznajmił Neq. - Zemszczę się, jeśli mnie oszukasz.

Tamten ponownie skinął głową. Zemsta była czymś, co nawet bandyci rozumieli dobrze. Ten człowiek mógł zdradzić Neq. Z pewnością jednak nie chciał ryzykować głową.

- - Ilu członków liczy wasze plemię?

- - Dwunastu. Teraz dziesięciu. I ich kobiety.

- - Sami bandyci?

- - Nie. Jesteśmy uczciwym plemieniem, ale utrzymujemy się z tego, co znajdziemy.

- - A jak znajdziecie ciężarówkę Odmieńców, zabieracie ją dla siebie, tak? - - Nigdy przedtem tego nie robiliśmy. To był pomysł Soga. Kiedy zobaczył, że zatrzymała się i ugrzęzła...

- - A waszego wodza to nie obchodzi?

- - On też musi jeść. W gospodach nie ma już...

- - Dlatego, że bandyci napadają na ciężarówki! - odparł Neq. - Odmieńcy nie mogą zaopatrywać gospod, jeśli ich samochody są ograbiane. - - Nic na to nie poradzę - odpowiedział tamten ponuro. Neq odwrócił się z niesmakiem. Miał nadzieję, że tamten zaatakuje go od tyłu, dając mu powód do zadania śmiertelnego pchnięcia. Bandyta jednak postąpił uczciwie.

Być może zdawał sobie sprawę, że to pułapka.

- Idź do swojego wodza i powiedz mu, żeby trzymał się z dala od tej ciężarówki -

powiedział na koniec Neq. - Zabiję każdego, kto się do niej zbliży. Mężczyzna podniósł swój obcięty palec i oddalił się. Neq upewnił się, że bandyta naprawdę odszedł, i powrócił na drzewo.

- - Czy myślisz, że to poskutkuje? - zapytała panna Smith. Dygotała, lecz zapewne z powodu zimna i wilgoci.

- - Zależy od wodza. Jeśli jest bandytą, spróbuje nas zaatakować. Jeśli jednak zostało mu trochę honoru, zostawi nas w spokoju.

- - W takim razie dlaczego pozwoliłeś temu człowiekowi odejść? Teraz jego plemię się dowie, gdzie jesteśmy.

- - Chcę się upewnić, co naprawdę zatrzymuje te ciężarówki. To jeden ze sposobów, by to sprawdzić.

Zeszła z drzewa. Ubranie przylepiało się jej do tułowia. Była sina z zimna.

- - Wolałabym, żeby był jakiś łatwiejszy sposób...

- - Nie ma takiego. Gdybym go nie powstrzymał i tak sprowadziłby tu całe plemię, a gdybym go zabił, inni przyszliby go szukać. Żadne plemię nie może pozwolić, żeby jego członkowie po prostu znikali. Lepiej było ich ostrzec.

- - To się może zdarzać za każdym razem, gdy któraś z ciężarówek się zatrzyma - powiedziała. - Czy wszyscy koczownicy są teraz bandytami? - - Nie. Ja nie jestem. Jeśli jednak tylko jeden na pięciu jest bandytą, to żadna ciężarówka się nie przedostanie.

- - Bardzo szybko zwrócili się przeciw swym dobroczyńcom!

Neq wzruszył ramionami.

- - Tak, jak powiedział ten wojownik, muszą jeść.

- - Nie spodziewałam się, że to będzie tak.

- - Wróćmy do samochodu.

- - Ale jeśli zaatakują...

- - Dlatego musimy teraz tam wrócić. Zastawię kilka pułapek i będę stał na straży. Ty możesz się przespać.

- - Nie mogę spać, w każdej chwili spodziewając się ataku! - - W takim razie ja się prześpię, a ty stój na straży - wziął śpiwór i ruszył z powrotem w stronę pojazdu.

Odciągnął zwłoki i pozostawił je przy żółtej brzozie jako ostrzeżenie dla innych, po czym sprawdził kabinę.

- Gdzie jest moja bransoleta? Panna Smith zaczerwieniła się. - - Ja... - wyciągnęła rękę spod przemoczonego ubrania. Miała na niej bransoletę.

Może trochę zbyt wysoko, ale...

- - Założyłaś ją! - powiedział zdumiony.

- - Nie mogłam z nią zrobić nic innego, kiedy wyskoczyłaś z ciężarówki - tłumaczyła się.

- - W porządku, Neqa. Krzyknij, jeśli coś zobaczysz.

- - Oddam ci ją! - zapewniła. - Nie chciałam...

- - Chciałaś, więc niech tam zostanie. Nigdy dotąd nie spoczywała na ręce kobiety.

- - Aleja nadal nie mogę...

- - A myślisz, że ja mogę? Niemniej jednak chciałbym. Może za parę dni...

Co dziwne, kiedy to mówił, nawet się nie zająknął. Po prostu mówił jak mąż do żony, a ona posłusznie słuchała.

- - Tak - powiedziała. - To by było piękne.

- - Zacisnę ją mocniej.

Ujął jej bezwładną rękę, przesunął bransoletę w dół, do nadgarstka, i nacisnął kciukami grube krawędzie. Złoto ustąpiło i bransoleta zacisnęła się na przedramieniu Neqi.

- - Eufemizmy znacznie to ułatwiają - szepnęła. - Dziękuję ci. Wciąż dygotała, choć w kabinie było ciepło. Bała się zarówno bandytów, jak i tego, co oznaczała bransoleta mężczyzny na jej ręce. Potrzebowała opieki.

- - Nikt mnie jeszcze nie całował... - powiedziała, jak gdyby od tamtej chwili nic się nie wydarzyło.

Czy rzeczywiście to zrobił? Nagle poczuł się słabo, zupełnie jakby miecz zadrasnął jego krtań.

Położył się z tyłu ciężarówki i zasnął, nie zwracając uwagi na nieustanną mżawkę. Był wojownikiem. Mógł spać gdziekolwiek bez względu na pogodę. Panna Smith - chwilowo Neqa - potrzebowała schronienia pod dachem.

Pogrążył się w snach. Potraktował lekko przekazanie bransolety, lecz była to sprawa o olbrzymim znaczeniu. Po raz pierwszy kobieta przyjęła ją od niego. Byli teraz małżeństwem, bez względu na to, jak słabe mogą być te więzy. Reszta z pewnością przyjdzie z czasem. To było jak sen: piękna kobieta, która nosiła jego bransoletę i kochała go. - Neq!

Zerwał się natychmiast, z mieczem w rękę. Miała rację: do ciężarówki zbliżali się jacyś mężczyźni. Po wysłuchaniu jego ostrzeżenia mogło im chodzić tylko o jedno.

Nie okażą miłosierdzia.

Neq zeskoczył bezgłośnie z samochodu i skrył się za nim. Napastnicy nie umieli skradać się cicho. Sześciu, siedmiu, ośmiu, może więcej... Zapadał zmierzch. Niebo było jeszcze jasne, lecz pod drzewami było ciemno. To było korzystne dla Neqa, gdyż mógł zaatakować każdego, podczas gdy napastnicy musieli uważać na siebie nawzajem.

Neq nie marnował czasu. Podbiegł bezszelestnie do najbliższego z mężczyzn. Chwycił go za gardło i przebił mieczem. Bandyta skonał zanim zdążył pomyśleć o obronie. Neq zajął jego miejsce i podkraadał się do ciężarówki razem z innymi. W kabinie nie było widać nikogo.

Neqa się schowała. Dobrze.

- Widziałeś coś? - zapytał wojownik z maczugą, gdy się zbliżyli do siebie. - Ten facet jest niebezpieczny.

Był to ten sam mężczyzna, z którym Neq rozmawiał pod brzozą. Podszedł teraz do niego, jakby chciał odpowiedzieć mu szeptem, i jednym cięciem odrąbał bandycie głowę.

Plusk krwi zaalarmował pozostałych.

- To on! - krzyknął ktoś.

Neq zaatakował wściekle. Tańczył tu i tam, zadawał ciosy, gdzie tylko mógł sięgnąć, i uskakiwał dając wspaniałe pokaz sztuki szermierczej. Otoczyło go sześciu mężczyzn; dwóch z mieczami, dwóch z maczugami i po jednym z drągiem i sztyletami. Neq najbardziej obawiał się drąga, gdyż ta broń mogła łatwo zbijać ciosy miecza, umożliwiając pozostałym okrążenie go. Zaczął wycofywać się w stronę ciężarówki.

Jeszcze dwóch mężczyzn wybiegło z lasu i zaczęło się wdrapywać na samochód. - - Broń się, Neqa! - krzyknął Neq. Był otoczony i nie mógł pośpieszyć jej z pomocą. Jeden z napastników otworzył szarpnięciem drzwi. - - Kobieta!

Wskoczył do środka, po czym runął do tyłu z jękiem bólu. W ciasnej przestrzeni kabiny sztylet Neqi był skuteczniejszy niż miecz.

Drugi z mężczyzn wycofał się i dołączył do pozostałych. Siedmiu bandytów. Neq liczył na to, że zdąży zabić więcej niż dwóch napastników, zanim pozostali otrząsną się z zaskoczenia. Gdyby pozostało trzech czy czterech sprawnych przeciwników, mógłby powalić ich wszystkich. Siedmiu stanowiło jednak zbyt wielką przewagę, chyba żeby były

to wyjątkowo nieudolne łamagi. Lecz nie zanosilo się na to. Neq mógł stosować uniki i uciekać, w końcu jednak musiał zostać zraniony, a wreszcie zabity. Nagle silnik ciężarówki ryknął głośno. Włączyły się reflektory oślepiając wszystkich.

Spod jej tylnych kół trysnęły grudy mokrej ziemi. Silnik zawył, jak drapieżne zwierzę, i pojazd potoczył się w stronę grupy mężczyzn.

Neq rzucił się na bok uskakując spod kół. Trysnęło na niego błoto. Nie wszyscy bandyci równie szybko zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nie jechali w tej maszynie trzy dni i nie nauczyli się szacunku dla jej możliwości.

Gapili się więc, zbici z tropu.

Przedni zderzak trafił dwóch. Przy tej prędkości nie uderzy! wystarczająco mocno, by zabić, niemniej z łatwością powalił ich na ziemię. Jeden krzyknął przeraźliwie, gdy koło przejechało po nim. Drugiemu ciężarówka zgmiotła tylko stopę. W zamieszaniu Neq ciął w twarz jednego z uzbrojonych w miecz wojowników. Jeszcze jeden! Dwóch, licząc tego, który dostał się pod koła. Neq starał się trzymać możliwie blisko pojazdu.

Potężna maszyna uderzyła w drzewo i rozbiła reflektor. Koła zakręciły się w miejscu, wyrывая dziury w ziemi. Silnik zawył. Samochód cofnął się, wyskakując z rowu potężnym zrywem.

Neq podbiegł i wskoczył na skrzynię. Wojownik z maczugą, który zrozumiał co się dzieje, spróbował podążyć za nim. Cios na odlew rzucił go w błoto. Neq zawróciła. Bandyci rozpierchli się. Pojedynczy reflektor schwytał jednego z nich. Przekładnie załomotały i pojazd pognał w jego stronę. Mężczyzna uciekł w bok, wymachując rękami. Jasne światło reflektora podążyło za nim. Neq nigdy do tej pory nie pomyślał, że ciężarówka może być bronią, i to tak straszną.

Nikt nie mógł wytrzymać jej ataku, mimo że w tym błocie poruszała się niezbyt pewnie.

Panna Smith, Neq! zamieniła ją w szalejącego potwora, który siał śmierć i przerażenie.

Jednooka bestia kręciła się w obie strony, rozrzucając błoto, atakując wszystko, co poruszało się w świetle jej reflektora i podskakując na leżących ciałach. Jeden z mężczyzn został pogrzebany twarzą w dół w czarnym błocie tak, że wystawały tylko jego nogi.

Napastnicy zniknęli. Sześciu z nich zginęło. Neq wiedział, że pozostali są ranni i przerażeni. Bitwa była wygrana.

Ciężarówka zatrzymała się. Silnik zgasł, podobnie jak reflektor. Neq zszedł ze skrzyni, okrążył samochód i podszedł do kabiny

- - Czy to ty, Neq? - zawołała. Ujrzał błysk jej noża.

- - Ja.

Wdrapał się do środka.

- - O Boże! - rozplakała się niczym mała dziewczynka. Neq objął ją ramionami i przycisnął do piersi. Przytuliła się do niego w nagłym przypływie ulgi. - - Tak się bałam, że podziurawią opony! - zawołała.

- - Nie przyszło im to do głowy - odparł Neq.

- - Och! - krzyknęła i zaczęła chichotać. Z jakiegoś powodu było to głupie i śmieszne zarazem.

Miała jego bransoletę, trzymał ją w ramionach, ona oszołomiona tym, co się wydarzyło, potrzebowała go i... nic więcej. Chwila nie była odpowiednia.

Rozdział piąty

Następnego dnia Neq znowu zaczął śpiewać. Słońce przebiło się przez chmury i suszyło drogę, która znowu stawała się twarda. Udawał, że śpiewa do swej broni, w rzeczywistości jednak śpiewał do niej i ona o tym wiedziała.

Znam mojej miłej kroków brzmienie
I znam jej włosów cudne lśnienie
Znam też dobrze jej strój niebieski
Cóż ja pocznę, gdy opuści mnie?

- - Bardzo ładnie śpiewasz - powiedziała, rumieniąc się lekko. - - Wiem o tym. Ale nie wszystko z tego jest prawdą. Kiedy śpiewam o walce, to wiem, co ona oznacza. Ale miłość... tych słów nie rozumiem. - - Skąd to wiesz?

Sprawiała wrażenie, jakby bała się zadać to pytanie, lecz było to silniejsze od niej.

Neq spojrział na swój nagi nadgarstek.

- Nigdy nie dałem...

Uniosła do góry lewą rękę na której była zaciśnięta ciężka, złota bransoleta.

- - Dałeś. Ja przyjąłem. Czy to jest miłość?

- - Nie wiem.

Jego oddech był urywany.

- - Ja też nie wiem, Neq - przyznała. - Nie czuję się inna. To znaczy, nadal jestem sobą, ale wydaje mi się, że to złoto mnie pali, prowadzi naprzód, nie wiem dokąd. Chcę się tego dowiedzieć. Pragnę dać ci... wszystko. Staram się. Jestem jednak stara, jestem Odmieńcem i boję się, że nie mam nic do dania.

- - Jesteś piękna, dobra i odważna. To, co zrobiłaś ciężarówką... - - Nienawidzę tego! To znaczy zabijania. Musiałam jednak to zrobić. Bałam się o ciebie.

- - To musi być miłość.

- - Podobają mi się twoje słowa, Neq, ale wiem, że to nieprawda. Nawet gdybym cię nienawidziła i tak byłbyś mi potrzebny. Jeśli coś ci się stanie, nie zdołam wrócić do domu.

To było niezwykle; bała się go tak samo, jak on jej. Wolą walczyć niż pozwolić, by coś mu się stało, lecz nie potrafiła przyjść do niego w pokoju. Musiała wynajdować powody, aby usprawiedliwić to, co nie wymagało usprawiedliwienia. On zresztą robił to samo.

- - Pokaż mi swoje piersi - poprosił.

- - Co?

Nie była zgorzonna, po prostu go nie rozumiała.

- Twój nóż... Kiedy go chowałaś...

- - Nie rozumiem. Rozumiała jednak.

- - Pokaż mi swoje piersi.

Powoli, rumieniąc się aż po koniuszki uszu, odwinęła górną część sukni, odsłaniając biust.

- One mają dziewiętnaście lat - powiedział. - Podniecają mnie. Żadna z nich nie może być stara, być Odmieńcem, bać się, czy nie mieć nic do dania. Trzeba je kochać. Spojrzała na siebie.

- - Przez ciebie czuję się rozwiązła...

- - Zaśpiewam dla twoich piersi.

Zaczerwieniła się ponownie i jej biust zaróżowił się również. Nie zakryła go jednak.

- - Gdzie się nauczyłeś tych wszystkich piosenek?

- - Są ogólnie znane. Niektórzy mówią, że pochodzą sprzed Wybuchu, ale ja w to nie wierzę.

Trochę jednak w to wierzył, zbyt wiele piosenek nie miało sensu w świecie koczowników.

- Książki też pochodzą sprzed Wybuchu - jej rumieniec zaczął wreszcie znikać.

Zaśpiewał, spoglądając na jej piersi:

Czarne włosy ma moja dziewczyna
Usta czerwone niczym płatki róż
Zgrabne dłonie, buzię
jak malina
Kocham nawet pod jej stopami kurz.

Znowu się zarumieniła.

- - Kiedy śpiewasz, brzmi to tak prawdziwie. Cieszę się, że moje włosy nie są czarne.

- - Naprawdę?

Poczuł się odrobinę rozczarowany.

- - Nie. Wolałabym, żeby słowa do mnie pasowały.

- - Większość pasuje. Wszystko oprócz włosów.

- - Naprawdę? - zapytała pełna nadziei.

- - Nie. Chciałbym, żeby pasowały... Neqa - dodał po chwili.

Wciąż nie mogła uwolnić się od rumieńca.

- Wszystko mi się miesza, kiedy mówisz do mnie Neqa.

- - To z powodu bransolety.

- - Wiem. Dopóki ją noszę, jestem twoją żoną. Ale to nie jest prawda.

- Może kiedyś będzie. Gdybyż to było takie proste!

- - Wy, koczownicy, po prostu dajecie bransoletę i to wszystko. Natychmiastowa miłość, na godzinę albo na całe życie. Nie rozumiem tego. - - Przecież byłaś kiedyś koczowniczką.

- - Nie. Byłam dziką dziewczyną bez rodziny. Odmiericy przyjęli mnie, uczyli i uczynili podobną do nich. Robią to dla każdego, kto tego potrzebuje. Nigdy nie byłam częścią społeczności koczowników.

- - Może dlatego nie rozumiesz, jak to jest z bransoletą?

- - Może. A co z tobą?

- - Ja rozumiem, ale po prostu nie potrafię tego zrobić.

- - Może na tym polega nasz problem. Ty jesteś zbyt łagodny, a ja zbyt bojaźliwa

-roześmiała się nerwowo. - To śmieszne po tym, jak zabiliśmy tych wszystkich ludzi. Łagodny i bojaźliwa!

- - Mogliśmy trzymać się w nocy w objęciach. To powinno pomóc.

- - A co, jeśli bandyci wrócą? Westchnął.

- - Będę stał na straży.

- - Robiłeś to wczoraj. Tej nocy kolej na mnie.

- - Zgoda.

Roześmiała się ponownie, z większą swobodą. Jej piersi poruszyły się figlarnie. - Jesteś taki rzeczowy! A co, jeśli powiem: weź mnie w ramiona, przytul mocno, kochaj się ze mną! Zastanowił się nad tą możliwością.

- Mógłbym spróbować, jeśli powiesz to zanim stanę się zbyt przerażony.
- - Nie mogę tego powiedzieć, mimo że chcę.
- - Pragniesz to zrobić, ale nie możesz mnie poprosić?
- - Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Tym razem zapomniała się zarumienić. - - Chcę to zrobić - ciągnęła poważnym tonem. - Nie mogę tylko postawić pierwszego kroku. Gdybyś ty mnie poprosił. Ale nawet wtedy... Wiesz, to śmieszne. Wiemy, czego chcemy, wiemy, co każde z nas czuje, ale nie możemy przejść do czynów. Potrafimy rozmawiać, jak to by było, gdybyśmy o tym rozmawiali, ale nie umiemy mówić o tym wprost.
- - Może jutro - powiedział.
- - Może.

Serce wojownika zatrzymało się na chwilę, a potem zabiło gwałtownie pod wpływem tęskiego spojrzenia, jakie posłała mu Neqa zakrywając piersi. Następnego dnia pogoda znów była ładna, do południa droga wyschła całkowicie. Zwłoki leżące wokół ciężarówki zaczęły puchnąć i śmierdzieć. W dalszą drogę ruszyli więc nie zwlekając.

Tej nocy Neqa spała razem z nim, w jego śpiworze. Przycisnęła się do niego i znieruchomiała. On też nic nie uczynił. Obojgu było przykro. Rozmawiali o tym ze sobą i zgodzili się, że cała sprawa jest śmieszna, lecz na tym koniec. Musieli mieć się na baczności przed bandytami, spali więc na zmianę. Gdy Neqa zasnęła, Neq zapragnął dotknąć jej piersi, lecz nie zrobił tego... Gdy jednak przyszła znów jego pora czuwania, obudził się z dłonią na jej biuście. Następnego nocy spali razem nago. Dotykał delikatnych sutków Neqi i jej jędrnych pośladków. Rozpłakała się, gdy nie mogła mu odwzajemnić pieszczoty i na tym się skończyło.

Kolejnej nocy zaśpiewał dla niej i pocałował ją. Po raz pierwszy sama zaczęła go dotykać. Przycisnęła się do niego i spróbował w nią wejść... Gdy krzyknęła ze strachu i bólu, wycofał się przerażony. Neqa płakała cicho przez jakiś czas. W tym czasie coraz bardziej zbliżali się do miejsca, skąd pochodziły dostawy. Nie dopełniwszy swego związku dotarli do gospody położonej u stóp Góry, z której stoków sterczały posępne, zardzewiałe dźwigary zasłaniające szczyt. Kiedyś mieszkała tam śmierć.

Tak przynajmniej sądzili koczownicy.

Lecz Tył, Mistrz Dwóch Broni i Wódz obiegli tę twierdzę, gdyż w jej środku znajdowali się jednak żywi ludzie. Od tamtej pory Góra była naprawdę martwa. - - Tak, to tutaj.

- - Czy to stąd... pochodziły wasze dostawy? - zapytał zdumiony Neq.

- - To Helikon. Ale coś tu jest nie w porządku.

- - Zniszczyliśmy go - powiedział Neq. - To znaczy Nieuzbrojony to zrobił. Mnie przy tym nie było. Mogłem to powiedzieć doktorowi Jonesowi, gdybym wiedział, że chodzi mu o Górę!

- - Och, nie! - krzyknęła. - W Helikonie produkowano wszystkie urządzenia techniczne! Nie poradzimy sobie bez niego!

- - Może wewnątrz ktoś jeszcze żyje.

Znając solidność Tyła Neq wątpił w to. Nie chciał jednak rozwiewać złudzeń Neqi. Tymczasem ona obeszła dokoła środkowy filar gospody. Wyraźnie szukała czegoś.

Tej

gospody nie ograbiono, nie było w niej jednak jedzenia. Neqa otworzyła drzwi prowadzące do

prysznic i weszła do środka.

- - Nie zdjęłaś ubrania - upomniał ją Neq.

- - Wiem, że to tu jest - odezwała się, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Dokładnie zapamiętałam instrukcje.

Policzyła kafelki na ścianie i nacisnęła na jeden z nich. Policzyła je w innym kierunku i nacisnęła jeszcze raz. Potem znowu. Nic się nie wydarzyło. - - Musisz odkręcić kurki - powiedział jej. - Jeden do gorącej wody, drugi do zimnej.

Ale nie ma potrzeby, żebyś brała prysznic. Dopiero zaczniesz pachnieć jak prawdziwa koczownicza...

- - Na pewno zrobiłam to za wolno - mruknęła do siebie. - Teraz, kiedy już wiem, które kafelki nacisnąć, spróbuję to wykonać szybciej.

Powtórzyła tajemniczy rytuał. Neq przyglądał się temu z wyrozumiałością. Ci Odmieńcy byli całkiem zwariowani!

Nagle za zewnętrzną ścianą coś trzasnęło. Neq nacisnęła kolejny kafelek, który odchylił się, odsłaniając klamkę. Neq otworzył usta z wrażenia. Nigdy by nie pomyślał, że za ścianą prysznic ukrywają się klamki! Jeśli nie służyły do puszczenia gorącej i zimnej wody, to w takim razie do czego?

Neq pociągnęła za nią. Szarpnęła mocno i cała ściana obróciła się w jej stronę. Za prysznicem, w samym środku kolumny podtrzymującej dach gospody, znajdowało się małe pomieszczenie!

- Chodź - powiedziała, wchodząc do środka.

Neq podążył za nią, zaciskając dłoń na mieczu. Wewnątrz ledwie starczało miejsca dla dwojga. Neq zamknęła ścianę i nacisnęła znajdujący się w pomieszczeniu guzik.

Rozległo się brzęczenie, a potem podłoga zaczęła opadać.

Neq szarpnął się, zaniepokojony, lecz Neq parsknęła śmiechem. - To jest cywilizacja, koczowniku! To urządzenie nosi nazwę windy. Mamy je w naszych budynkach. Podziemie również ich używa. W tej gospodzie odbieraliśmy części towarów produkowanych przez Helikon.

Podłoga zatrzymała się po dłuższej chwili. Neq otworzyła jedną ze ścian. Przed nimi rozciągał się tunel, który zakręcał i znikał w ciemności.

- Niedobrze - powiedziała. - Winda czerpie energię z gospody, która otrzymuje ją z promieni słońca, ale ten tunel jest zasilany z Helikonu. To oznacza, że Podziemie rzeczywiście zostało zniszczone, tak jak mówiłeś.

Włączyła latarkę.

- Musimy to jednak sprawdzić - dorzuciła.

Tunel prowadził do pomieszczenia, w którym leżały puste skrzynie. - - Ktoś tu był - zauważyła Neq. - Zabrali towary, ale skrzyń już nie napełniono na nowo.

- - Zapewne ostatnia ciężarówka. Ta, która nie wróciła. - - Nasi ludzie docierali tylko do tego miejsca - ciągnęła - z pewnością jednak można tędy dojść do Helikonu. Chodźmy.

- To może być niebezpieczne - mruknął Neq. Słyszał opowieści o pułapkach i podziemnych tunelach wypełnionych trupami.

- Wiem o tym.

Pocałowała go. Była z siebie dumna, że potrafi to zrobić. Potem znowu zaczęła naciskać różne miejsca na ścianie.

- - Jeśli nie chcieli, żebyście wchodzili do środka, nie otworzysz drzwi w ten sposób - stwierdził Neq. - Mogą tam nawet być pułapki.

- - Nie sądzę - odparła. - Nie zrobiliby nic, co mogłoby zrazić do nich Odmieńców.

Helikon potrzebował nas nie mniej niż my jego. Pozbyli się większości swoich upraw hydroponicznych i nie mogli uprawiać jadalnych roślin. Rzecz jasna nie mieli też drewna.

Oplącała im się wymiana z nami. Dzięki niej mogli się skoncentrować na przemyśle ciężkim, z którym my nie potrafiliśmy sobie poradzić. Doktor Jones może mówić o tych rzeczach bez końca. Twierdzi, że tego rodzaju wzajemne zależności są podstawą cywilizacji. - - A więc uważasz, że możemy tam wejść? - spytał Neq. Nadal stukala w płytki, lecz bez skutku. Neq przyjrzał się uważnie śladom na podłodze.

- Tutaj - powiedział, dotykając fragmentu ściany. - Otwiera się tutaj.

Podbiegła do niego natychmiast.

- Jesteś pewien? Wygląda na litą skałę.

Bez słowa wskazał jej ślady na podłodze. Zrozumiała. Chwilę potem odnaleźli wyraźną szczelinę.

- - Nie otwierają się do środka - stwierdził. - Po tej stronie nie ma zawiasów. - - Nie mogę znaleźć żadnej innej szczeliny - odparła. - Muszą się jakoś otwierać. - Udrzyła w skałę trzonkiem latarki. - Chyba, że porusza się na rolkach...

Neq wepchnął klingę miecza w szczelinę i podważył. Ściana odsunęła się, ale tylko kawałek.

- - Są zamknięte - stwierdził.

- - Dasz radę je otworzyć?

- - Nie mieczem. Możemy jednak przynieść łom z ciężarówki.

Wrócili do pojazdu i zabrali z niego narzędzia. Po pewnym czasie drzwi ustąpiły.

Za nimi znajdowały się szyny.

- Używali kolei! - zawołała zdziwiona Neqa.—Jak sprytnie pomyślane! Nie było tu jednak żadnego wózka, musieli więc wędrować między szynami na piechotę. Neq był niespokojny. Nie lubił zamkniętej przestrzeni. Neqa jednak najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Ujęła jego dłoń i ucisnęła ją. Neq zaczął liczyć kroki. Przeszli ponad milę, zanim szyny się skończyły. Ujrzeni zastawione skrzyniami pomosty oraz bocznice, na których stały wózki. Neq otworzył jedną ze skrzyń. W środku były pałki, może z pięćdziesiąt sztuk. A więc to była prawda. Broń koczowników produkowano w Podziemiu. Czy Nieuzbrojony o tym wiedział, gdy postanowił je zniszczyć? Dotarli do końca pomostu. Dalej zaczynała się prowadząca w górę pochylnia. Ruszyli tędy, przeszli przez wypalony otwór i znaleźli się w większej hali. Tutaj unosił się nieprzyjemny zapach spalenizny. Neqa oświetliła podłogę. Wokoło leżały popioły. Tu i ówdzie wznosiły się zwęglone wzgórki.

- - Co się stało? - zapytała zakłopotana.

- - Ogień - odparł Neq. - Nie zdążyli wydostać się na czas.

- - Kto?

Rozpoznała kształt najbliższego wzgórką i krzyknęła. To były szczątki człowieka.

Neq poprowadził ją z powrotem w dół rampy.

- Popatrz. Kiedy już byli martwi, to drewniane drzwi w końcu się przepaliły.

Musiały być zamknięte albo zablokowane...

Wyłączyła latarkę i zwróciła się ku niemu w całkowitej ciemności.

- - Koczownicy to zrobili?

- - Tyl mówił, że to się stało, zanim wdarli się do środka. Ogień wciąż się tlił i wszędzie pełno było dymu, więc nie zostali tu długo. Nie wiem. Neq zakrztusiła się spazmatycznie. Neq poczuł coś ciepłego na ramieniu i zrozumiał, że wymiotowała oparta o niego.

- - Helikon był ostatnią nadzieją ludzkości! - zawołała z rozpaczą. - - Chyba nie musimy oglądać nic więcej - stwierdził Neq. Wziął latarkę z jej bewładnej ręki i poprowadził dziewczynę do windy.

Rozdział szósty

Neq upierała się, że musi napisać raport.

- Jeśli coś się stanie, on opowie o wszystkim - wyjaśniła. - Chcę opisać to, co widzieliśmy, i jak najszybciej o tym zapomnieć.

Tej nocy spali w ciężarówce. Tapczany w gospodzie były wygodniejsze, lecz sąsiedztwo tunelu prowadzącego do grobowca, jakim stał się Helikon, było nie do zniesienia.

Wydawało im się, że wydostają się stamtąd opary śmierci. W Helikonie Neq zachowywał zimną krew, lecz w nocy jego wyobraźnia wyolbrzymiała widziane tam okropności.

Śmierć w Kręgu, czy z ręki bandyty, była niczym w porównaniu z zagładą w podziemiach bez żadnej drogi ucieczki.

Nie próbowali się kochać. Przytulili się do siebie, aby przetrwać ciemność nocy.

Następnego dnia Neq sporządziła raport i zamknęła go w skrytce pod tablicą rozdzielczą.

Ruszyli w drogę. Neq nie rozumiał sensu spisywania tego, co widzieli. Helikon był martwy, to wszystko. Podobny Raport nie przyniesie Odmieńcom żadnego pocieszenia. I tak czeka ich koniec, a koczownicy staną się barbarzyńcami. Zastanawiał się, jakie szaleństwo pchnęło Nieuzbrojonego do oblężenia Helikonu? Zdołał go zniszczyć, a wraz z nim Odmieńców i koczowników. Czy tego właśnie chciał?

Zaczynała się epoka ciemności.

Neq również nie mówiła wiele. Neq był pewien, że dręczą ją podobne myśli. Jeśli szukali tylko wiedzy, ich misja zakończyła się pomyślnie... Los zakpił z nich okrutnie!

Drugiego dnia podróży powrotnej natknęli się na barykadę na drodze. Neq od razu chwycił za miecz.

- - Przypadek? - zapytała Neq.

- - Niemożliwe. Widzieli nas przedtem i wiedzieli, że będziemy wracać tą samą drogą. Dlatego ustawili barykadę.

Musieli się zatrzymać.

- Jeśli mamy szczęście, napotkamy tylko jednego strażnika albo dwóch. Nie mogli wiedzieć, kiedy dokładnie będziemy wracać - powiedział Neq. Nie mieli szczęścia. Z obu stron otoczyli ich mężczyźni. Przynajmniej dwudziestu wojowników uzbrojonych w miecze, maczugi i drągi. Kilku stało z boku z naciągniętymi łukami.

- - Czy myślisz, że w tym miejscu zginęły pozostałe ciężarówki? - zapytała Neq.

- - Na pewno większość z nich - mruknął. - To jest dobrze przygotowana zasadzka

-

rozejrzał się uważnie. - Jest ich zbyt wielu, walka nie ma sensu. Nie możemy się teraz wycofać. Popatrz, łucznicy celują w opony. Będziemy musieli z nimi rozmawiać. Mężczyzna uzbrojony w miecz podszedł wielkimi krokami do kabiny.

- Jesteś wojownikiem. Co robisz w ciężarówce Odmieńców?

Zanim Neq zdążył odpowiedzieć, ktoś z drugiej strony zawołał:

- Hej, tu jest kobieta!

- - Mamy szczęście! - opowiedział inny. - Czy jest młoda?

- - Około dwudziestki...

- - Dobrze. Wyłazić oboje! - zawołał pierwszy z wojowników. Neq był wściekły, lecz spojrzawszy na wycelowane w nich strzały, usłuchał rozkazu.

Żaden uczciwy koczownik nie użyłby myśliwskiego łuku przeciwko człowiekowi. W niczym jednak nie zmieniało to faktu, że była to bardzo skuteczna broń. Neqa prześliznęła się na fotel męża, by wysiąść razem z nim. Trzymała się blisko, stała jednak tak, by nie przeszkodzić mu w wyciągnięciu miecza. Wiedział, że jest gotowa, by złapać za sztylet. Cała była napięta.

- - Wiesz, co sobie myślę? - odezwał się pierwszy z napastników. - Oboje są pewnie Odmieńcami, którzy udają koczowników. Chcą, żebyśmy pomyśleli, że sami porwali ciężarówkę, i zostawili ich w spokoju. Popatrz, ona ma gładkie ręce, a on jest za mały, żeby dać sobie radę z mieczem. Poza tym nie ma ani jednej blizny. - - Bardzo sprytne - odrzekł wojownik z drągiem.

- - Odmieńcy są strasznie sprytni, ale strasznie głupi.

- - No dobra, Odmieńcu! - zawołał pierwszy. - Zabawimy się w tę grę. Mamy czas.

Jak się rzekomo nazywasz?

- - Neq Miecz.

- - Czy ktoś słyszał o jakimś Nequ Mieczu? - krzyknął mężczyzna.

- - Ja - powiedział wojownik ze sztyletami.

- - Ja też - oznajmił drugi, z maczugą. Był w plemieniu Sola. - Jeden z lepszych Mieczy, trzeci, albo czwarty spośród setki, jak słyszałem. Pytający uśmiechnął się.

- Odmieńcu, wybrałeś sobie złe imię. Teraz będziesz musiał udowodnić, że powiedziałeś prawdę. W Kręgu. A twoja laleczka będzie się przyglądać. Jeśli ci się nie uda...

Neq nie odpowiedział. Krąg był dokładnie tym miejscem, w którym pragnął się znaleźć. To z pewnością byli bandyci, lecz było ich tylu, że musieli przestrzegać reguł Kodeksu Kręgu. Jeden silny mężczyzna mógł sobie podporządkować kilkunastu wojowników, lecz przy trzydziestu czy czterdziestu potrzebna była hierarchia władzy. Kodeks Kręgu nie był tylko kwestią honoru, lecz również praktyczną metodą zapanowania nad wielką liczbą mężczyzn i narzucenia im posłuszeństwa.

A tam, gdzie istniał Kodeks Kręgu, Neq miał szansę. Rzeczywiście był trzecim Mieczem spośród setki. Pierwszym był Tyl, który zajmował się głównie rządzeniem w imieniu Wodza Imperium, drugi Miecz zginął w wypadku poza Kręgiem. Ponadto Neq przez cały czas ćwiczył. W rezultacie w chwili rozpadu Imperium był uznawany za drugiego spośród trzech tysięcy Mieczy. Potrafił walczyć przeciwko wszystkim rodzajom broni, a na dodatek

wiedział jak radzić sobie z dowolną parą przeciwników. Tak więc w Kręgu Neq nie obawiał się nikogo.

Zaprowadzono ich do obozu przypominającego imperialny. Wielki brezentowy namiot był otoczony przez szereg małych. Nieco dalej znajdował się Krąg oraz kuchnia i kilka ziemianek.

Wodzem tego plemienia był wielki wojownik z mieczem, posiwiasty i pokryty bliznami. Wodzowie z reguły używali mieczy. Tą bronią bowiem najłatwiej było zabijać.

Równie sprawny wojownik posługujący się drągiem nie mógłby wzbudzać podobnego postrachu. Tutejszy wódz był znacznie wyższy od Neqa. - - Neq Miecz, hę? - mruknął. - Ja jestem Yod Miecz. I ona nosi twoją bransoletę?

- - Tak.

- - Otóż słyszałem o Nequ - stwierdził Yod. - Był może najlepszym mieczem w Imperium, kilka lat temu. Nigdy nie dał bransolety żadnej kobiecie. Czy to nie dziwne?

Neq wzruszył ramionami. Yod myślał, że bawi się ze swym więźniem.

- Cóż, przekonamy się - ciągnął Yod. - Oprowadzę cię po obozie.

Tak też zrobił.

- Mam pół setki znakomitych wojowników - oznajmił, wskazując na namiot - ale mamy za mało młodych kobiet, przez co mężczyźni są niespokojni. Tak więc dziewczyna ma u nas zapewnione miejsce.

Neqa zbliżyła się do męża, ukazując bransoletę w obronnym geście.

- Mam dosyć zapasów na wiele miesięcy - chwalił się Yod. - Popatrz. Za głównym namiotem stały cztery ciężarówki Odmieńców. Nie było już wątpliwości, kto jest najgroźniejszym bandytą. Nie miało to jednak większego znaczenia, skoro Helikon nie istniał.

- Mam też coś dla rozrywki - Yod wskazał na wiszącą klatkę. Neq spojrzał na nią z ciekawością. W środku siedział mężczyzna owinięty w brudny koc. Na podłodze z prętów leżały metalowe naczynia, w których podawano mu jedzenie.

Odchody gromadziły się pod klatką. Więzień mógł się w niej poruszać, przy czym cała klatka kołysała się i podskakiwała. Sądząc po wyglądzie i zapachu mężczyzna musiał tam siedzieć od kilku miesięcy.

- - Złapaliśmy tego Odmieńca, jak spał w naszej gospodzie - wyjaśnił Yod. -

Twierdził, że jest chirurgiem, daliśmy mu więc szansę, by wykroił dla siebie wolność. Nie lubimy oszustów - spojrzał znacząco na Neqa.

- - Chirurgiem? - zapytała Neqa. - Nie mamy...

Urwała, przypomniawszy sobie, że zachowuje się niestosownie. To jednak powiedziało Neqowi, że więzień nie jest Odmieńcem, gdyż w przeciwnym razie słyszałyby o nim. Być może zasługiwał na swoją karę.

Więzień spoglądał na niech tępo. Był to niski mężczyzna z siwiejącymi włosami, według pojęć koczowników bardzo stary.

- - Mówi, że umie czytać i pisać! - powiedział ze śmiechem Yod. - Pokaż naszym gościom swoje pismo, Dick.

- - Wszyscy Odmieńcy noszą śmieszne imiona - dodał zerkając na Neq.
Więzień pomacał wokół siebie i znalazł postrzępiony kawałek. Uniósł go ku górze.
Był pokryty liniami przypominającymi pismo używane przez Odmieńców.
- - Czy to coś dla ciebie znaczy? - zapytał Yod Neq.
- - Nie.
- - Dlatego, że nie umiesz czytać, czy że on nie umie pisać?
- - Nie umiem czytać. Nie wiem, jak jest z nim. Może nie umie pisać. - - Możliwe.
Przydałby nam się ktoś, kto umie czytać. Znaleźliśmy trochę książek i nie wiemy, co w nich jest. Może coś dobrego?
- - Dlaczego nie wypróbujecie ich na Odmieńcu w klatce? - zapytał Neq. - - Skłamał, mówiąc, że jest chirurgiem. Przynieśliśmy mu rannego i daliśmy sztylet, a on nie chciał operować. Mówił, że nie jest czysty, czy coś w tym rodzaju. Z książkami też by nas okłamał. Mógłby nam powiedzieć byle co. Skąd byśmy wiedzieli, czy to prawda?

Neq wzruszył ramionami.

- Nie mogę wam pomóc.

Wiedział, że Nega by mogła, lecz nie miał zamiaru zdradzić jej pochodzenia.

- - Nadal jesteś Neqiem Mieczem?

- - Zawsze nim byłem.

- - Jeśli to udowodnisz, nie zabijemy cię i będziesz mógł się przyłączyć do mojego plemienia. Zabierzemy ci, rzecz jasna, twoją dziewczynę, ale dostaniesz swoją kolejkę.

- - Każdy, kto jej dotknie, zginie - ostrzegł Neq, dotykając ręką miecza.

Yod roześmiał się.

- Dobrze powiedziane. Świetnie się wyuczyłeś swej roli. Teraz będziesz mógł ją odegrać.
Oto Krąg.

Rozejrzał się wkoło i machnął ręką. Gotowi na jego wezwanie członkowie plemienia zebrali się przy Kręgu.

Korzystając z chwilowego zamieszania Neq szepnęła do męża:

- Ten człowiek w klatce rzeczywiście umie pisać. Może nie jest lekarzem, ale jest ocalonym z Helikonu. Oni mieli najlepszego chirurga, o jakim słyszałam. Warto go wypytać.

Neq zastanowił się nad tym. Jeśli ktokolwiek ocalał z Helikonu... - - Uwolnij go, gdy będę walczył. Ja odwrócę ich uwagę. Zabierz go do ciężarówki i uciekaj. Nie wahaj się użyć noża. To niebezpieczna banda. Znajdę cię później. - - Ale jak...

- - Dam sobie radę. Chcę, żebyś stąd zniknęła, zanim się zaczniesz.

Przycisnęła ją nagle do siebie i pocałował. Ten przelotny pocałunek smakował bardzo słodko.

- - Kocham cię.

- - Kocham cię - powtórzyła. - Neq! Teraz już mogę to powiedzieć! Naprawdę cię kocham!

- - Wzruszające - stwierdził Yod, przerywając im. - Oto twój pierwszy przeciwnik, Odmieńcu.

Neq puścił ją i zwrócił się w stronę Kręgu. Stał tam, rozgrzewając się, wielki wojownik uzbrojony w maczugę. Większość mężczyzn używających tej broni z uwagi na jej ciężar odznaczała się potężną budową. Z reguły poruszali się oni niezgrabnie i nie byli szybcy. Mimo to nikt nie mógł lekceważyć miazdzącego uderzenia maczugi, które w najlepszym

razie mogłoby wyrzucić Neqę z Kręgu. Legendarny Gog Maczuga nie przejmował się żadnym przeciwnikiem!

Neq przypomniał sobie, w jakich okolicznościach Gog został powstrzymany. Raz dokonał tego Soi, Mistrz Wszystkich Broni, najlepszy wojownik wszechczasów, a drugi raz Nieuzbrojony, który zabił go, łamiąc mu kark kopniakiem w brodę. Pomiędzy tymi dwoma walkami dokonał tego też wojownik, którego Neq nie potrafił sobie dotąd przypomnieć.

Sznur! Sos Sznur! Mężczyzna, którego zapamiętała panna Smith. Owinął on linę wokół maczugi, rozbroił Goga, a następnie namówił go do wspólnej walki w parze. Ciągłe jeszcze wspominano ten zuchwały wyczyn. W końcu jednak Sznur posunął się za daleko i wyzwiał samego Sola, który wysłał go na Górę.

Neq postanowił opowiedzieć o tym żonie, kiedy już wydostaną się z tych tarapatów.

Zapyta ją, czy jej Sos przypadkiem nie nosił na ramieniu małego ptaszka. Co prawda dziś to już nie miało znaczenia.

- To jest Nam Maczuga - oznajmił Yod. - Powiedział, że wygrzmoci twoją jasnowłosą zaraz po tym, jak wygrzmoci ciebie. Nie powinien być kłopotem dla... czwartego miecza spośród stu, ha, ha!

Neq uściskał na pożegnanie ramię Neqi i popchnął ją lekko w kierunku klatki z więźniem. Znajdowała się ona za gromadą gapiów, częściowo ukryta przed ich wzrokiem przez drzewo, na którym wisiała. Jeśli wszyscy zwrócą się w stronę Kręgu Walki i będzie dostatecznie dużo hałasu, Neqę powinna bez trudu wykonać swoje zadanie. Musiał tylko narobić zamieszania...

Neqę odeszła na bok, a on podszedł powoli do namalowanego na ziemi Kręgu, wyciągając miecz. Wkroczył do środka bez wahania.

Nam ryknął i rzucił się do ataku. Neq uskoczył na bok, pozostał jednak wewnątrz Kręgu. Przeciwnik, nie napotkawszy oporu, wyleciał na zewnątrz. - Jeden z głowy - oznajmił Neq. - Grzmocić to jednak trzeba umieć. Na oba sposoby...

Chciał obrazić zarówno Nama, jak i całe plemię. Gdy będą źli, zapragną zobaczyć, jak obcy obrywa. Neq nie chciał, by ktokolwiek z nich odszedł od Kręgu zbyt wcześnie.

Nam ryknął i wpadł z powrotem do Kręgu. Udowodnił w ten sposób, że jest pozbawionym honoru bandytą. Nie zasługiwał na litość. Jednak Neq nie zamierzał zbyt wcześnie ujawniać, jak biegle włada mieczem. Gdyby to zrobił, gra byłaby skończona, gdyż wszyscy zrozumieliby, że naprawdę jest tym, za kogo się podaje i że żaden z nich nie ma z nim szans. Yod będzie grał uczciwie tylko tak długo, dopóki będzie pewny zwycięstwa.

Neq walczył więc z Namem. Robił uniki przed jego nieudolnymi ciosami w jego kierunku, tańczył wokół niego i w pewnym momencie skaleczył go w tyłek. Widzowie zawyli z wściekłości. Neqę tymczasem zbliżała się do klatki. Szła tyłem, krok po kroku. Gdy Neq spostrzegł, że zainteresowanie zaczyna opadać, zadał Namowi nieudolne pchnięcie, bardzo podobne do tego, którym powalił Higa Pałki podczas swej pierwszej walki.

Tak jak tego pragnął Neq, wyglądało to na przypadkowe trafienie zadane przez nowicjusza.

- A więc umiesz walczyć - zauważył Yod. - Myślę jednak, że nie tak dobrze, by zasłużyć na swe imię. Tif!

W stronę Kręgu ruszył wojownik z mieczem. Zakrwawionego, jęczącego Nama odciągnięto na bok. Neq na pierwszy rzut oka poznał, że Tif jest znakomitym wojownikiem.

Stawka została podniesiona. Bandyci gapili się z rosnącym zainteresowaniem.

Neqą była już blisko klatki.

Walka z Tifem nie była zabawą. Jego ataki były szybkie i pewne. Nie pozostawiały one Neqowi zbyt wielkiego wyboru. Tif nie stanowił jednak żadnego zagrożenia.

Tańczyli wokół siebie. Miecze uderzały z brzękiem jeden o drugi, przyciągając uwagę widzów. Każdy koczownik lubił dobre widowisko, nawet bandyta.

Nagle Tif cofnął się.

- On się ze mną bawi - zawołał do Yoda. - To mistrz. Nie mogę nawet dotknąć... Neq chlasnął go w szyję. Z rozciętej tętnicy trysnęła krew. Tif padł martwy na ziemię.

Było już jednak za późno. Tajemnica się wydała.

Neqą była zajęta przy klatce.

- - A więc rzeczywiście jesteś Neqiem Mieczem! - zawołał Yod. - W takim razie nie możemy ci zaufać. Będziesz chciał zawładnąć plemieniem. - - Rozwiązałem plemię dziesięciokrotnie liczniejsze od tego! - odparł z pogardą Neq. - To jest dla mnie niczym, podobnie jak ty sam. Nazwałeś mnie jednak Odmieńcem, walczyć więc ze mną o swoje plemię!

To mogłoby być najlepsze wyjście: zdobyć plemię, ponownie zrobić z nich uczciwych koczowników i przyprowadzić wszystkie ciężarówki z powrotem do doktora Jonesa. Yod parsknął śmiechem.

- Nie jestem aż takim durniem. Będziemy musieli cię zastrzelić.

Jeżeli ponownie wyciągną łuki, szansę Neqą będą znikome. - Słuchajcie, załosni tchórze! - krzyknął. - Pokonam w pojedynkę każdego z was!

Yod szybko skorzystał z szansy częściowego uratowania twarzy. Zawsze lepiej wyglądało, gdy wódz kazał zabić swego rywala w honorowej walce. W przeciwnym razie szybko pojawiliby się nowi żądni władzy wojownicy, którzy rzuciliby mu wyzwanie. - Jut! Mip! - krzyknął.

Wystąpiło dwóch wojowników uzbrojonych w sztylety i drąg. Nie byli już jednak tak skorzy do walki, jak ich poprzednicy. Neq znał powód. Oni wiedzieli, że jeśli mają go pokonać, to jeden z nich musi zginąć. Szybko przekonają się, że szansa na zadanie Neqowi decydującego ciosu znajdzie się tylko wtedy, gdy jego miecz na chwilę utknie w ciele któregoś z nich. Ani Sztylet, ani Drąg nie chciał wystąpić w tej roli. Ponadto bandyci wyraźnie zaczęli zastanawiać się nad możliwością zmiany wodza. Jeśli Neq był lepszym wojownikiem niż Yod, ich los mógł się poprawić pod jego władzą. Pozycja Yoda uległa więc zachwianiu, a on z pewnością zdawał sobie z tego sprawę. To była sprytnie dobrana para. Drąg mógł blokować ataki Neqą i zapewniać osłonę obydwu wojownikom, podczas gdy sztylet mógł uderzać zza tej zasłony. Neq jednak, jak wszyscy wojownicy dawnego Imperium, był dobrze wyszkolony w walce przeciwko parze. Jego reakcje odruchowo przestawiły się na sytuację:

„Partner pokonany, przeciwnicy Drąg i Sztylet”. Na dodatek nie miał za sobą rannego partnera, którego należało osłaniać. To ułatwiało mu zadanie.

Zawdzięczał to wszystko Sosowi. Nie kończące się ćwiczenia przeciwko wszystkim możliwym parom wydawały się stratą czasu, gdyż regułą była walka w pojedynkę. Sos jednak twierdził, że czołowy wojownik powinien być przygotowany na każdą ewentualność.

Miał świętą rację!

Wdał się w walkę widząc, że Neqa wciąż pracuje przy klatce. Wkrótce uwolni więźnia.

Neq starał się, by pojedynek wyglądał efektownie. Nie ukrywał już niczego ze swych umiejętności. Ciągłymi pchnięciami miecza trzymał shtylety na dystans i zmuszał drąg do odwrotu, atakując trzymające go dłonie. Przeciwnicy nie walczyli dotąd w parze.

W krytycznych momentach przeszkadzali sobie nawzajem. Mógł ich pokonać. To była tylko kwestia czasu. Tamci wiedzieli o tym. Byli zdesperowani, ale nie mieli wyjścia.

Tymczasem plemię przyglądało się temu. Ich lojalność skłaniała się coraz bardziej w stronę silniejszego kandydata na wodza.

- Odmieniec ucieka! - wrzasnął Yod.

Głowy odwróciły się w stronę klatki. Neqa i Dick Chirurg biegli w stronę lasu.

Niewiele brakowało, by podstęp Neqa się udał. Wszystko popsuło przypadkowe spojrzenie Yoda, szukającego rozpaczliwie sposobu przerwania niekorzystnego dla siebie biegu wydarzeń.

Teraz Neq musiał drogo za to zapłacić.

Rozdział siódmy

- Za nimi! - krzyknął Yod. - Nie zabijajcie dziewczyny! Bandyci posłuchali rozkazu.

Gdyby Neqa i człowiek z klatki zdążyli uciec daleko, Neq miałby szansę podważyć autorytet Yoda Miecza, zabić go i przejąć władzę nad plemieniem. Zły los unicestwił tę możliwość.

Wyskoczył z Kręgu i rzucił się na Wodza. Miał jeszcze szansę. Mógł wziąć Yoda jako zakładnika, by zyskać na czasie, albo wytargować w zamian za niego wolność dla siebie i pozostałej dwójki. Mógł też zabić go natychmiast, nie pozostawiając plemieniu wyboru.

Yod był jednak na to za sprytny. Skoczył na Neqa z wyciągniętym mieczem i zaczął zwoływać swych ludzi.

Wojownicy zawrócili, ale nie zbliżali się zbyt do dwójki walczących. Neq wciąż mógł zwyciężyć, więc czekali na rozstrzygnięcie, uniemożliwiając mu tylko ucieczkę.

Wyciągnięto łuki, lecz Neq i Yod poruszali się tak szybko, a tłok wokół nich był tak wielki, że łucznicy nie odważyli się strzelać.

- Pistolet! - krzyknął Yod.

Neqa ogarnęła rozpacz. Wiedział, co to jest pistolet. Plemię Tyła wróciło z Góry uzbrojone w pistolety i granaty. Wiele razy pokazywali ich działanie, strzelając do celu.

Karabinów i pistoletów używano podczas oblężenia Góry. Za pomocą takiej broni byle kaleka mógł zabić Mistrza Miecza.

Tyl uznał później, że broń palna zagraża trwałości społeczeństwa koczowników. Odebrał więc wojownikom broń palną i gdzieś ją ukrył. Nie miał jednak władzy nad całym Imperium i niektóre sztuki zniknęły...

Jeśli plemię Yoda ma pistolet, Neqa i chirurg nie zdołają uciec. Kula mogła przebić kabinę ciężarówki.

Neq zaatakował z rozpaczą. Ominął zasłonę Yoda i zranił go w udo. W tym momencie rozległ się głośny huk i coś uderzyło w jego własną nogę. Nie była to strzała. Wystrzelono do niego z pistoletu.

W pierwszej chwili poczuł ulgę, że nie strzelali do Neqi.

Potem zdał sobie sprawę, że oznacza to jego zgubę. Mogli go zabić z tej broni. Nigdy już nie spotka Neqi, która będzie musiała wracać. Chirurg na pewno jej nie obroni. Nie potrafił nawet ustrzec się przez zamknięciem w klatce! - Poddaj się! - wydyszał Yod. - Poddaj się, albo cię zastrzelimy! Neq nie miał wyboru. To nie była czcza pogroźka. Bandyty mogli go zabić, nawet gdy się podda, ale z pewnością zrobią to, jeśli zaraz nie złoży broni. Neqa miała już wystarczająco dużo czasu, by uciec. Nie mógł jej pomóc, przedłużając walkę. Neq odrzucił miecz. Stał i czekał.

- Jesteś mądry - powiedział Yod, gdy jego ludzie złapali Neqa za ramiona. - Uratowałeś sobie życie - dotknął ostrożnie swej nogi. - Udowodniłeś też, kim jesteś. Żaden gorszy wojownik nie mógłby mnie zranić w uczciwej walce. To była przesada. Yod był dobry, ale każdy z pierwszych dwudziestu Mieczu Imperium mógłby go z łatwością pokonać. Neq nie miał jednak zamiaru rozwścieczać go, mówiąc to głośno. Był zdany na jego łaskę i im bardziej Yod będzie się czuł jak honorowy zwycięzca, tym bardziej honorowo się zachowa.

- Narobiłeś nam mnóstwo niepotrzebnych kłopotów przez to, że nie poddałeś się wcześniej - ciągnął Yod. - I nie możemy ci zaufać. Obiecałem darować ci życie, zastanowię się jednak, jak cię ukarać. Zwiążcie go.

Bandyty usłuchali go natychmiast. Związali Neqowi ręce z tyłu oraz spętali mu nogi w kostkach. Potem przywiązali go jeszcze do drzewa, na którym wisiała pusta klatka, i zajęli się swoimi sprawami. Rana na nodze piekła coraz bardziej. Otwór był mały, lecz znajdował się w jednym z wielkich mięśni uda. Pocisk musiał zatrzymać się gdzieś w środku. Krwi było niewiele. Rana zadana mieczem wyglądałaby gorzej, ale ostrze nie pozostawiłoby odłamków, dzięki czemu łatwiej by się zagoiła.

Rozległy się krzyki. To wracali ścigający.

- Mamy ją! - zawołał jeden z mężczyzn.

Neq z rozpaczą stwierdził, że to prawda. Dwóch bandytów ciągnęło Neqę. Jej ubranie było podarte, ale chyba nie została zraniona.

- Miała nóż. Dźgnęła nim Bafa - powiedział drugi bandyta. - To prawdziwa dzikuska.

Nie zrobiliśmy jej jednak krzywdy.

- Odmieniec uciekł - dodał kolejny. - Ale to nieważne. Zabandażowano ranę Yoda, która nie była poważna.

Zapewne odczuwał taki sam ból jak Neq, nie okazywał tego jednak. Musiał zachować twarz przed swoimi ludźmi.

- A więc uwolniła Odmienca i zraniła nożem jednego z naszych ludzi - Yod zamyślił się. - A jej mężczyzna oszukał nas wszystkich, udając, że jest Odmieńcem i zabił Tifa.

Spojrzał na Neqa zadumany.

- No dobra, damy im obojgu porządną nauczkę. Yod podszedł do Neqi. Podczas gdy mężczyźni trzymali ją za ręce, zdarł z niej resztki ubrania i cisnął je na bok.

Rozległ się radosny ryk.

- Patrzcie, ale piękność!

Neq szarpał się z więzami. Trzymały jednak mocno. Niektórzy z obserwujących go bandytów parsknęli śmiechem. Tak samo patrzyliby na Yoda, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

- Han! - krzyknął Yod.

Młodziutki wojownik uzbrojony w sztylety zbliżył się niepewnie. Neq dostrzegł, że był to nowicjusz, może czternastoletni.

- - Nigdy jeszcze nie byłeś z kobietą, prawda? - zapytał Yod.

- - Nie... nie - odparł Han, nie patrząc na nagość Neqi.

- - Teraz masz szansę. Do roboty. Han cofnął się.

- - Nie rozumiem.

- To laleczka Odmieńców z gładką skórą i słodkimi piersiami... Ty dostaniesz ją pierwszy. W tej chwili.

Han spojrział na Neqę, po czym zawstydzony opuścił wzrok.

- - Ale ona... ma jego bransoletę!

- - Tak. Na tym polega zabawa. Zostaw ją tam gdzie jest.

- - Ale...

- - Będzie się temu przyglądał. Z jego własną bransoletą. To kara dla niego. I część kary dla niej.

Ciało Hana drżało.

- To nie w porządku. Nie mogę tego zrobić.

Neq szarpnął się wściekle, lecz zdołał tylko zetrzeć sobie skórę na nadgarstkach.

- Zabiję każdego, kto jej dotknie! - krzyknął. Neqa stała z zamkniętymi oczyma, wciąż trzymana przez dwóch mężczyzn. Sprawiała wrażenie, że nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół. Neq widział, że niektórzy bandyci wręcz ślinią się na jej widok. Yod roześmiał się.

- Będziesz musiał zabić nas wszystkich, sługusie Odmieńców. Dlatego, że każdy mężczyzna w tym plemieniu ją weźmie. Tutaj, na twoich oczach. - - Nie! - krzyknął Han i rzucił się na Yoda. Ten powalił go jednym ciosem na odlew.

- Straciłeś swoją szansę, smarkaczu. Teraz moja kolej. Han ocierając krew z ust oddalił się chwiejnym krokiem i siadł obok Neqa. Jeden z jego sztyletów upadł na ziemię.

Yod opuścił pantalon. Bandyci znów wybuchnęli śmiechem. Neqa otworzyła oczy, szarpnęła się w milczeniu i kopnęła go.

- Złapcie ją za nogi - rozkazał Yod. Jeszcze dwóch mężczyzn skoczyło z gromady i chwyciło Neqę za nogi.

Neq trącił Hana związanymi nogami. Gdy młodzieniec spojrział na niego nieprzytomnie, Neq wskazał głową na sztylet leżący pod drzewem. Han popatrzył na czterech mężczyzn, którzy złapali opierającą się Neqę i rozpostarli ją na ziemi, po czym przesunął sztylet w stronę Neqa. Ten jednak wciąż nie mógł go dosięgnąć.

Nagle Neqa krzyknęła. Neq nie patrzył w tamtą stronę. Musiał natychmiast chwycić nóż. Przekręcił się, upadł na bok i sięgnął po sztylet związanymi dłońmi. Ostrze skaleczyło go w rękę, jednak zdołał je złapać.

Nikt nic nie zauważył. Wszyscy skupili uwagę na przedstawieniu, które urządzał Yod.

Nega krzyknęła rozdzierająco, gdy opadło na nią ciało wodza bandytów. Wiła się i szarpała. Wyrwała jedną rękę, lecz Yod pozostał na niej. Chrząknął. Mężczyźni trzymający ją za nogi uśmiechnęli się.

Neq obrócił nóż, nie mógł jednak przystawić go do więzów pod odpowiednim kątem. Dłonie miał śliskie od własnej krwi. Wreszcie włókna zaczęły powoli puszczać, gdy ostrze wciskało się pomiędzy nie.

Wydawało się, że minie wieczność zanim sznur ustąpi.

Wódz bandytów podniósł się. Brak mu było tchu. Neqa łkała nierówno.

- Hej, ona była dziewicą! - zawołał Yod. - Popatrzcie na to! Mężczyźni skupili się wokół niego, by się przyjrzeć. Neq, zobojętniały na ból, wciąż piłował piekielny sznur.

- - W takim razie dlaczego nosiła jego bransoletę? - zapytał ktoś.

- - Słyszałem, że on poza Kręgiem nie był prawdziwym mężczyzną! Więzy wciąż trzymały. Han Sztylet podniósł się i uciekł. Wyglądał, jakby miał zwymiotować.

- No dobra, ustawić się w kolejce - rozkazał Yod. - Wszyscy. Ona jest niezła. Mężczyźni wykonali polecenie. Neqa przestała płakać. Trzech bandytów nadal ją trzymało.

Jeszcze trójka mężczyzn zdażyła zrobić swoje, zanim ręce Neqa wreszcie stały się wolne. Przeciął sznur krępujący mu stopy i zerwał się na nogi, po czym zatopił nóż w plecach piętego z gwałcicieli. Zostało czterech.

- Hej! Uwolnił się!

Rzucili się na niego całą gromadą. Neq walczył zaciekle, lecz sztylet nie był jego bronią, a przeciwnicy mieli ogromną przewagę. Po chwili znowu był więźniem.

Musiał patrzeć bezradny, jak jeszcze czterdziestu czterech mężczyzn zgwałciło jego żonę.

To jednak nie był koniec.

- Zabił drugiego z nas - powiedział Yod. - I zranił jeszcze trzech.

- - Zabij go! - krzyknęło kilku mężczyzn.

- - Nie. Darowałem mu życie. Chcę, żeby ten sukinsyn cierpiał - Yod zastanowił się.

Utniemy mu obie dłonie.

Podniósł miecz.

Neqa, o której na chwilę zapomniano, dźwignęła się powoli. Sztylet, którym walczył Neq, leżał na ziemi obok niej. Podniosła go wstając.

Jednym skokiem rzuciła się na Yoda. Nóż ześliznął się po jego twarzy i trafił w oko.

Yod odwrócił się błyskawicznie i machnął odruchowo mieczem. Ostrze wryło się w szyję Neqi.

- Cholera! - krzyknął Yod, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, jak poważną ranę sam odniósł. - Nie chciałem jej zabić! Potrzebujemy kobiet! Neqa upadła na ziemię, brocząc krwią. Neq odepchnął trzymających go mężczyzn z taką siłą, że wszyscy się przewrócili.

Dla Neqi było już za późno. Wyszczrzyła zęby w agonialnym skurczu. Jej czerwona krew wypływała na suchą ziemię.

- Cholera! - powtórzył Yod. - To jego wina. Trzymajcie go! Zgodnie z rozkazem herszta bandyci związali z przodu obie ręce Neqą. Drugim sznurem opasano go w połowie tułowia. Każdą linę chwyciło po dwóch mężczyzn. Na znak Yoda pociągnęli za sznury wyciągając do przodu ramiona Neqą. Yod podszedł i zamachnął się mieczem, jakby miał zamiar rąbać drewno.

Neq poczuł potworny ból i zemdlał.

Odzyskał przytomność natychmiast, a przynajmniej tak mu się zdawało. Ból wzmocił się jeszcze. Był nie do zniesienia. Nozdrza wypełnił mu odór spalenizny. Kikuty przypalano pochodniami. Mięso kipiało i skwierczało. Potem nie czuł już nic.

Rozdział ósmy

Ocknął się o zmierzchu. Końce jego ramion pokrywały wielkie bryły bandażu. Ból był straszliwy. Neqą leżała przy nim, biała i zimna. Bransoleta wciąż spoczywała na jej nadgarstku.

Gdy obudził się ponownie też było ciemno. Dygotał z zimna. Nie zmieniło się nic, oprócz godziny.

Przed świtem zaczął majaczyć.

Znowu było jasno i ktoś się nim opiekował. To był człowiek z klatki.

- Będziesz żył. Pochowam ją. Uratowaliście mnie. Jestem wam to winien.

- Ja ją pochowam! - krzyknął słabym głosem Neq. Nie miał jednak rąk. Przeklinał bezradnie, gdy patrzył jak Dick zasypuje ziemią jej śliczną twarz, jego bransoletę, jego sny, jego miłość. Panna Smith odeszła na zawsze. Neqą nie żyła. Czas upływał. Okazało się, że Dick Chirurg nie był oszustem. Znał się na leczeniu.

Gorączka i dreszcze ustąpiły, siły powracały powoli. Rana na udzie, oczyszczona, zagoiła się.

Dłonie jednak zniknęły, a wraz z nimi miłość. Dick robił wszystko co mógł. - - Jestem ci to winien - powiedział. - To wszystko przeze mnie - jej życie i twoje ręce.

- - I tak by to zrobili - odrzekł Neq. Było mu wszystko jedno, jak wina zostanie rozdzielona. - Wpadliśmy w zasadzkę. Kiedy zobaczyliśmy ciebie, byliśmy już więźniami.

- - Minęło kilka minut zanim wydostała mnie z tej klatki. Oczekała jeszcze, aż wróci mi krążenie w nogach, żebym mógł iść. Gdyby nie to, udałoby się jej uciec. - - Nie możesz wrócić jej życia. Jeśli chcesz się mi odwzajemnić, zabij mnie również. Wtedy nie będę już cierpiał.

- - Jestem dawcą życia, nie śmierci. W porównaniu z zagładą Helikonu to, co stało się tutaj, było tylko drobnym nieporozumieniem. Odwdzięczę ci się, ale nie w ten sposób - rozejrzał się wokół. - Powinniśmy odejść stąd. Ludzie Yoda zaciągnęli was oboje do lasu i zostawili, ale w każdej chwili mogą wrócić. Miałem szczęście, że mnie nie zauważyli, gdy ich śledziłem.

Neq nie był w stanie dłużej się z nim spierać. Tylko drobna część jego świadomości była zajęta rozmową z Dickiem. Resztę wypełniały powracające wciąż myśli o tym, co się stało, i o jego bezsilności wobec przemocy.

Tylko jedna rzecz trzymała go przy życiu. Z początku było to nieuchwytne, mgliste uczucie, które dodawało mu sił, choć nie potrafił go nazwać. Stopniowo, z upływem dni, stawało się ono silniejsze, aż wreszcie wypełniło całą jego świadomość i wtedy poznał jego nazwę. Zemsta.

- Jesteś chirurgiem - powiedział Neq. - Podobno najlepszym na świecie.

- - Niekoniecznie. Wyszkolił mnie mistrz, który miał również innych uczniów.

Słyszałem, że na Aleutach dokonują nadzwyczajnych operacji.

- - Nie rozumiem cię, gdy mówisz jak Odmieniec. Czy możesz mnie zoperować?

- - Bez narzędzi, laboratorium, lekarstw i biegłych asystentów, nigdy.

- - Czy to samo powiedziałaś Yodowi?

- - Mniej więcej. Chirurgia bez sterylizacji i środków znieczulających...

- - Moje nadgarstki wysterylizowano bardzo dobrze. Płonącymi pochodniami!

- - Wiem o tym. Yod jest bandytą, ale dotrzymuje słowa. Chciał, żebyś wyżył. - - Ja też dotrzymuję słowa - odparł Neq. - Ale jeśli są sposoby sterylizacji, dlaczego nie mogłeś...

- - Spróbuj użyć płonącej pochodni przy operacji brzucha!

Neq skinął głową.

- - Yod doszedł do wniosku, że kłamiesz.

- - I tak nie zamierzałem mu pomóc. Każde życie, które mógłbym uratować dla niego, oznaczałoby śmierć dla innych. Jego plemię zasługuje na całkowitą zagładę.

- - To jeszcze może się zdarzyć - powiedział Neq, wolał jednak nie mówić na ten temat nic więcej. - Znajdziemy gdzieś narzędzia.

- - Jeśli warunki będą odpowiednie, mogę dokonać operacji. Ale jakiej? Nie mogę ci zwrócić rąk. Nikt nie potrafiłby tego dokonać.

- - Tyl mówił, że Bezimiennego, ostatniego Wodza Imperium, Nieuzbrojonego - nie wiem, pod jakim imieniem go znasz - uczynił silnym chirurg z podziemia. Ty nim byłeś?

- - Miałem wielu asystentów, a i tak istniało duże ryzyko niepowodzenia.

Zresztą,

jak słyszałem, uczyniłem go bezpłodnym.

- - Jeśli mogłeś to zrobić dla niego, możesz i dla mnie.

- - Co mam ci dać?

Neq uniósł go góry kikut prawej ręki.

- - Mój miecz.

- - Bez ręki?

- - Miecz zastąpi mi rękę. Dick przyjrzał mu się uważnie.

- Tak, mógłbym tego dokonać. Wszczepić w kość metalową klamrę, przytwierdzić do niej miecz... Nie mógłbyś zginać ręki w nadgarstku, ale siła uderzenia zrekompensowałaby tę niedogodność.

Neq skinął głową.

- Będzie ci niewygodnie spać i jeść - ciągnął Dick, zastanawiając się nad tym głębiej. -

Nie będziesz mógł używać tej ręki do niczego innego, poza rąbaniem drewna. Gdy jednak przyzwyczaisz się do niej, będziesz mógł powrócić do Kręgu. Jestem pewien, że większa część twoich umiejętności mieści się w mózgu. Brak dłoni to poważny problem, ale przy odpowiednich ćwiczeniach dasz sobie z tym radę. Nie będziesz takim wojownikiem jak niegdyś, lecz wciąż lepszym niż większość.

Neq ponownie skinął głową.

- - Mógłbym na drugim kikucie umieścić hak, może nawet szczypce, by umożliwić ci ubieranie się i jedzenie.

- - Zaczynaj już teraz.

- - Mówiłem ci, że potrzebuję środków znieczulających, narzędzi, sterylizacji...

- Ogłusz mnie. Ogrzej nóż nad ogniem. Dick roześmiał się bez krzty wesołości.

- To niemożliwe! - Po chwili dodał: - Mówisz poważnie? - Każdy dzień, gdy ona leży w grobie, a jej mordercy żyją, jest dla mnie torturą.

Muszę mieć miecz.

- - Ale właściwie tylko Yod ją zabił.

- - Wszyscy są winni. Każdy, który jej dotknął... wszyscy zginą.

Dick potrząsnął głową.

- - Boję się ciebie. Myślałem, że nauczyłem się absolutnej nienawiści podczas pobytu w klatce, gdy dławiał mnie smród własnych odchodów, obawiam się jednak tego, co uczynisz.

- - Nie będziesz musiał na to patrzeć.

- - Będę jednak odpowiedzialny.

- - Jeśli się nie zgadzasz, powiedz mi to, a potem zabij mnie we śnie.

Dick zadrzał.

- Zgoda. Doprowadzę cię do porządku, ale zrobię to na swój sposób. Będziemy musieli udać się do ruin Helikonu po moje narzędzia. Nie wszystkie spłonęły.

Wróciłem tam raz, żeby się upewnić. Okropny widok.

- Wiem o tym. Ale taka podróż wymaga czasu! Dick spojrział na niego. - Możesz nie zwracać uwagi na ból, gdy walczysz w Kręgu, lub poza nim, ale kiedy jesteś spokojny... pozwól mi na mały pokaz. Wyciągnij rękę. Neq uniósł zabandażowany kikut.

Dick ujął go w dłoń i zaczął naciskać.

Ból narastał powoli, lecz wkrótce stał się prawie nie do zniesienia. Neq wytrzymał go bez słowa. Zdawał sobie jednak sprawę, że to tylko próba... Nie wiedział, jak długo zdoła ją wytrzymać.

- To był tylko ucisk dłoni - powiedział Dick. A teraz, jakby ci się spodobało, gdybym zaczął ciąć? Zdrapywać świeżą tkankę bliznowatą, odsuwać żywe mięso, odsłaniać mięśnie i ścięgna, i przytwierdzać do nich druty? Wbijać jeden pręt w kość promieniową, to jest jedna z kości przedramienia, a drugi w łokciową, abyś mógł obracać ostrzem miecza, jak niegdyś obracałeś dłonią. Masz szczęście, że ucięto ci dłonie poniżej nadgarstków. Dzięki temu długie kości wciąż są połączone, co da nam znacznie więcej swobody przy rekonstrukcji.

Jednakże ból... - mówiąc to szarpnął Neq'a za rękę.

- - Ogłusz mnie! - krzyknął z furią wojownik.

- - Nie mogę ogłuszyć cię na tak długi czas. Dodałbym tylko wstrząs mózgu do braku rąk.

Będzie mi też potrzebna twoja współpraca ze względu na brak asystentów. Musisz zachować przytomność. To oznacza tylko znieczulenie miejscowe. Krótko mówiąc:

będzie porządnie bolało. Jak teraz Neq'a oblał pot. Nie wiedział, że w jego obciętych kończynach pozostało aż tyle bólu.

- - Pójdziemy do Helikonu.

- - Jeszcze jedno - dorzucił Dick. - Nie chcę wykorzystywać twojej słabości, targując się z tobą teraz, muszę jednak zadbać o własne interesy. Gdy już będziesz miał swój miecz, nie będziesz potrzebował ani pragnął mojego towarzystwa. - - To prawda.

- - Nie jestem silny. Spędziłem w tej klatce tygodnie, może miesiące. Straciłem rachubę czasu. Mogłem się trochę gimnastykować, nigdy jednak nie byłem wystarczająco silny, by samemu dać sobie radę. Dzicy znowu mnie złapią, albo zabiją. - - Tak.

- - Odprowadź mnie do Odmieńców, zanim rozpoczniesz swoją zemstę.

- - Ale to zajmie miesiące!

- - Ukradniemy jedną z ciężarówek Yoda. Przy okazji możesz zabić paru bandytów.

Umiem prowadzić. Ty również możesz się tego nauczyć, nawet z protezami rąk. To jest rzecz, którą warto umieć.

- Dobrze - zgodził się Neq. Zrozumiał, że Dick odwdzieczył się już za uwolnienie z klatki, gdy zaopiekował się nim i przynosił mu jedzenie, które kradł z plemienia Yoda ryzykując głową. Gdyby nie to, Neq by umarł. Operacja oznaczała nowe zobowiązanie, więc propozycja Dicka była uczciwa.

Ponadto po tym, kiedy ukradną ciężarówkę i być może zabiją strażnika, bandyci będą się strzec. Neq w tym czasie odwiezie Dicka do Odmieńców i wróci, gdy tamci uznają, że niebezpieczeństwo minęło.

W sumie więc było to korzystne rozwiązanie.

Dick znalazł inne wejście do Helikonu. Była to klatka schodowa ukryta pod grobową płytą na koczowniczym cmentarzu. Schody wiodły do przejmująco wilgotnego tunelu, który z kolei prowadził do głównych pomieszczeń podziemi. Neq pomyślał, że z pewnością istnieje wiele takich wejść. To znaczyło, że więcej ludzi miało szansę uciec przed pożarem.

Znaleźli lekarstwa i narzędzia. Większa część Helikonu była nietknięta przez ogień.

Gdyby mieszkańcy podziemi mieli trochę odwagi, mogliby je szybko odbudować.

Koczownicy z pewnością by to zrobili.

Neq mógł nosić plecak.

Dick musiał mu go tylko pakować i rozpakowywać. W ten sposób we dwóch przenieśli wszystko, czego potrzebowali do operacji, do pobliskiej gospody. Upłynęło kilka dni.

Gdy Neq ocknął się z otumanienia wywołanego narkotykami i bólem, jego prawa ręka zakończona była bojowym mieczem przytwierdzonym do niej na stałe. Na końcu lewej znajdowały się tępe szczypce. Neq mógł je otwierać i zamykać, co początkowo przychodziło mu z dużym trudem.

Gdy pierwszy raz próbował ćwiczyć mieczem, ból był nie do wytrzymania, kiedy jednak ciało otaczające metal pokryło się blizną oraz wytworzyły się stwardnienia skóry, problem ten przestał istnieć. Po pewnym czasie Neq mógł już zadawać silne uderzenia nie krzywiąc się z bólu.

Brak nadgarstka sprawiał, że mógł poruszać mieczem tylko za pomocą łokcia i barku, ale za to nikt nie był w stanie wytrącić mu broni! Umiejętności powracały w miarę ćwiczeń.

Cały talent szermierczy Neqa przetrwał w jego umyśle i teraz przystosował się do nowej sytuacji.

Neq musiał również nauczyć się korzystania ze szczypiec. Ćwiczył nimi każdego dnia, nie mniej niż mieczem. Gdy nauczył się należycie nad nimi panować, okazało się, że ich

możliwości są całkiem duże. Po miesiącu mógł już chwytać drobne i delikatne przedmioty, nie uszkadzając ich. Szczypce dysponowały również wielką siłą. Po dwóch miesiącach Neq i Dick wrócili na terytorium Yoda, by ukraść ciężarówkę. Natknęli się na strażnika. Neq powalił go jednym ciosem, uderzając mieczem niczym toporem. Mało brakowało, a głowa odpadłaby od tułowia. Zemsta została rozpoczęta...

- - Znajdź dobry samochód - polecił chirurgowi. - Załaduj mnóstwo paliwa. Ja będę pilnował, czy nikt się nie zbliża.

- - Dobra - odpowiedział Dick i oddalił się pośpiesznie. Neq wiedział, że chirurg nie lubił zabijania, mimo jego nienawiści do ludzi, którzy się nad nim znęcali. Nienawiść Dicka była uczuciem, którego nie potrafiłby skierować przeciwko żadnemu człowiekowi. U Neqa wyglądało to całkiem inaczej...

Gdy znalazł się sam, odciągnął trupa na bok, chwyciwszy go szczypcami. Miał zamiar obciąć członek, który zhańbił Neqę, zdał sobie jednak sprawę, że nie byłoby to dość wymowne. Potrzebował wyraźnego symbolu, który pojmą wszyscy członkowie plemienia Yoda.

Uderzył mieczem w okrwawioną szyję. Gdy zadał drugi cios, głowa odpadła.

Zostawił ją na ziemi, podszedł do młodego drzewka i ściał je jednym uderzeniem. Ujął pień w szczypce i zaczął oczyszczać go z gałęzi. Na koniec zaostrzył mieczem oba końce tyczki i wrócił do leżącej na ziemi głowy. Nadepnął ją stopą i zaczął dźgać żerdzią. Po kilku próbach udało mu się wbić kołek w mózg. Podniósł trofeum do góry przytrzymując tyczkę szczypcami i mieczem, po czym spróbował wetknąć drugi drewniany szpic w ziemię. Nic z tego. Neq był wściekły. Zdał sobie sprawę, że ryzykuje marnując tak wiele czasu. Pośpiesznie zrobił mieczem jamę w ziemi, opuścił do niej koniec żerdzi i przydeptał mocno. Stała krzywo, ale wystarczająco pewnie.

Znak był gotowy. Wpatrzona przed siebie i usmarowana ziemią, sterczała na tyczce głowa jednego z mężczyzn, którzy zgwałcili żonę Neqa. Pierwszego z gwałcicieli zabił sztyletem na gorącym uczynku. Ten był drugi.

Zostało jeszcze czterdziestu czterech...

Jeśli nawet bandyci usłyszeli odjeżdżającą ciężarówkę, było już za późno. Nikt nie ruszył za nimi w pościg. Gdyby byli tak nieuważni wtedy, gdy jechali tędy Neq i Neqa... Neq myślał o tym ze ściśniętym gardłem.

Dick poradził sobie świetnie. Mieli nie tylko zapas benzyny, lecz również koce, narzędzia i żywność. Najwyraźniej Yod używał samochodów jako magazynów, a również pilnował, by ich nie uszkodzono.

Droga powrotna przebiegała bez większych przeszkód. Natknęli się na kilka barykad, ustawionych przez pomniejszych plemiona. Neq nie miał większych trudności ze zniechęcaniem napastników. Były to znakomite ćwiczenia dla jego ramienia oraz broni. Nauczył się też prowadzić ciężarówkę przy użyciu miecza wetkniętego między ramiona kierowcy. Szczypce i stopy wykonały resztę roboty. Dostarczył Dicka do doktora Jonesa. Raport Neqi pozostał wprawdzie w innym pojeździe, ale Dick, który przeżył oblężenie i pożar Helikonu, mógł powiedzieć Jonesowi znacznie więcej.

Wreszcie Neq wyruszył z powrotem. Sam prowadził ciężarówkę. Oczekiwała na niego misja. Czterdziestu czterech mężczyzn...

Zemsta.

Rozdział dziewiąty

W obozie Yoda wzmocnione straże stały co noc przez cały okres nieobecności Neq. Dobrze. Chciał, żeby się bali. Pragnął ich lęku i cierpienia. Znęcali się nad nim, a teraz on odpłaci im tym samym. Chciał, żeby każdy z nich cały czas pamiętał, co ich plemię uczyniło tego dnia, w którym zginęła Neq i czuł, że nadchodzi dzień zapłaty. Dzień, w którym głowy wszystkich mężczyzn z plemienia Yoda zostaną zatknięte na tyczkach. Najpierw zabijał strażników, po jednym każdej nocy. Gdy zaczęli chodzić parami, po dwóch. Gdy pojawiły się czwórki, zaprzestał ataków. To było zbyt ryzykowne. Nie zależało mu na życiu, nie chciał jednak zginąć, ani zostać poważniej okaleczonym, zanim nie dopełni zemsty.

Dwa razy zakradał się do obozu, unikając straży. Zabijał wojownika we śnie i zabierał jego głowę. Potem już wszyscy bandyci w obozie mieli się na baczności; jeden spał, drugi pracował, trzeci pilnował. Liczba członków plemienia spadła do trzydziestu siedmiu.

Wszyscy byli przerażeni.

Przez następny tydzień Neq nie zabił nikogo, pozwalając im zmęczyć się wzmogoną czujnością, po czym, gdy się nieco uspokoili, uderzył ponownie, dwa razy. To doprowadziło ich do szaleństwa.

Następnego dnia zaczęli przeczesywać las, by uwolnić się od czającej się w nim grozy. Wtedy Neq zabił kolejnych dwóch i zostawił ich głowy tam, gdzie mogli je znaleźć spół poszukiwacze.

Wojownicy Yoda zaczęli się bać własnych cieni. Na ich twarzach widać było brak snu. Musieli jednak czasem opuszczać obóz, aby przynieść wodę, polować, czy szukać żywności. Trzech mężczyzn odpoczywających w lesie ogarnęło zmęczenie. Zasnęli i nie obudzili się już nigdy.

Zostało trzydziestu.

W obozie było piętnaście kobiet i dwadzieścioro dzieci. Teraz zaczęły one strzec swych mężczyzn i ojców. Ta sytuacja nie podobała się Neqowi. Nie myślał o tym, co się z nimi stanie, gdy mężczyźni zginą. Kobiety jednak też były winne, gdyż nie starały się skłonić mężczyzn do opamiętania. Przez cały dzień, w którym doszło do tego łotróstwa, żadna z nich nie pokazała się ani na chwilę. Lecz dzieci nie zawiniły. Neq przypomniał sobie jednak rozdzierający krzyk Neqi, to, jak usiłowała się wyrwać, gdy Yod ją gwałcił, a potem nie mogła już nawet płakać. Jego serce stwardniało. Jak często takie rzeczy zdarzały się tutaj przedtem? Kobiety i dzieci wiedziały o tym, lecz nie czyniły nic. Nikt, niezależnie od wieku, kto nie zaprotestował głośno przeciw tak oczywistemu złu, nie zasługiwał na litość, gdy skutki tego zła spadały na niego. Trzech kolejnych mężczyzn wyruszyło do lasu. Jeden z maczugą, dwóch ze sztyletami. Prowadził ich pies. Musieli go kupić od jakiegoś innego plemienia, gdyż przedtem w obozie nie było żadnych zwierząt. Neq spodziewał się, iż dojdzie do tego, że małe grupki będą go tropić bez przerwy. Był na to przygotowany.

Zatoczył pętlę, aby zmylić psa, po czym zaatakował ich od tyłu. Zabił jednego z posiadaczy sztyletów, zanim ten zdążył się odwrócić, i ruszył w stronę drugiego. - Zaczekaj! - krzyknął tamten. - My...

Miecz Neq przeszył mu gardło, uciszając go na zawsze. Gdy jednak ostrze zadało cios, Neq rozpoznał ofiarę i zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. To był Han Sztylet.

Chłopiec, który odmówił zgwałcenia Neqi. Który pomógł Neqowi uwolnić się. Han uciekł, gdy trwała ponura orgia, lecz przedtem starał się ją powstrzymać.

- Zaczekaj! - krzyknął trzeci mężczyzna, uzbrojony w maczugę. Tym razem Neq powstrzymał cios. - My tego nie zrobiliśmy. Popatrz, mam bliznę - pokazał na swój brzuch. -

Trafiłeś mnie tutaj, kiedy walczyliśmy w Kręgu i...

Teraz Neq rozpoznał również jego.

- Nam Maczuga. Pierwszy z ludzi Yoda, z którym walczyłem - powiedział. Nam był już zdrowy, lecz wtedy, gdy rana była świeża, nie mógł wziąć udziału w gwałcie.

- Ten trzeci to Jut - wyjaśnił Nam, wskazując na pierwszego z zabitych. - Walczyłeś z nim i Mipem Dągiem jednocześnie. Nie zraniłeś ich, ale Jut się schował.

Wiedział, co się święci. On nigdy..Neq zamyślił się. Zdał sobie sprawę, że nie widział twarzy Juta pośród gwałcących.

Przed chwilą zabił dwóch niewinnych ludzi.

Niezupełnie. Jut nie gwałcił, lecz również nie protestował. Uciekł i pozwolił, by do tego czynu doszło. Nawet Han miał więcej odwagi.

- W plemienu Yoda było czterdziestu dziewięciu mężczyzn, plus sam Yod - zaczął Neq. - Razem pięćdziesięciu. Czterdziestu sześciu zgwałciło Neqę, usłyszawszy moją przysięgę. Jeśli wy trzej nie braliście w tym udziału... Kto jeszcze jest niewinny?

Tif - odparł Nam. - Tif Miecz. Zabiłeś go w Kręgu zanim... - - Zgadza się - Neq zawahał się. Gdy spojrział w dół, na Hana, ogarnęły go mdłości.

- Tifa nie żałuję, gdyż to była uczciwa walka. Juta mógłbym oszczędzić, gdybym tylko wiedział. Ale pomógł mi i... - słowa uwieźły mu w gardle.

- - Dlatego właśnie przyszliśmy do ciebie - powiedział Nam. - Wiedzieliśmy, że nie masz powodu, by się na nas mścić. Myśleliśmy...

- - Chcieliście zdradzić własne plemię?

- Nie! Przyszliśmy błagać o litość dla niego! Neq przyjrzał mu się. - Posłuchaj, Namie Maczugo. Chwaliłeś się, że wygrzmocisz moją żonę. Czy zgwałciłbyś ją, gdybyś nie był ranny?

Mężczyzna zaczął dygotać.

- Ja..Neq uniósł miecz. Z klingi skapywała krew.

- - Jestem kiepskim wojownikiem - powiedział z wysiłkiem Nam. - Ale nigdy nie byłem kłamcą. I jestem wierny swemu wodzowi.

- - Czy byłeś przyjacielem Hana Sztyleta?

- - Nie bardziej niż wszyscy. To był dzieciak. Miał miękkie serce.

Tak jest, Nam nie był kłamcą.

- - Oszczędzę cię - powiedział Neq. - W zamian za tego chłopca, który był niewinny i którego niesłusznie zabiłem. Chętnie położyłbym cię trupem, ale daruję ci życie. Przekaż jednak Yodowi tę wiadomość: nie oszczędzę nikogo więcej. - - Zabij mnie więc teraz - odrzekł prosto Nam. - Yod jest dobrym przywódcą. Nie lubi, gdy mu się sprzeciwiać i jest straszny, gdy się rozgniewa. Kiedy więc każe nam coś zrobić, nawet coś takiego, musimy go słuchać, gdyż w przeciwnym razie zostalibyśmy srogo ukarani. On jednak dba o swoje plemię. Musiał dać przykład. - - Nie na mojej żonie!
- Chodziło o posłuszeństwo. Musiał pokazać... Miecz Neqą wyprzedził myśl. Lśniące ostrze odrąbało nos oraz część ust mówiących te słowa. Ujrzawszy to zawstydzony Neq dobił Nama jednym ciosem.

Potem zaczął wymiotować, zupełnie jak wtedy, gdy jako czternastoletni chłopiec pierwszy raz w życiu przelał krew.

Na koniec pochował ciała z honorem. Wykopał mieczem grób i uklepał płazem mogiłę. Nie nadział ich głów na tyczki.

Wkrótce zostało dwudziestu pięciu. Ginęli teraz łatwiej niż dotąd, lecz Neq dopełniał rytuału zemsty z poczuciem daremności. Wiedział, że nie przywróci do życia Neqi, ani nie naprawi krzywdy, jaką uczynił członkom plemienia nie biorącym udziału w gwałcie.

Han

Sztylet - tego morderstwa nie można było usprawiedliwić. Neq był winny. Popełnił czyn równie zły, jak te, które popełniono przeciwko niemu. Nie mógł się jednak zatrzymać.

Druga grupa, która go odszukała, składała się z samych kobiet. Neq nie zaatakował ich. Było ich pięć i były młode. Wyszedł i stanął naprzeciw nich. Ciągnęły za sobą wózek nakryty brezentem. Neq przyjrzał się mu i ocenił, że jest wystarczająco duży, by mógł się w nim ukryć mężczyzna z pistoletem. Starał się więc stać w taki sposób, by zawsze jedna z dziewcząt znajdowała się pomiędzy nim a wózkiem. - Nequ Mieczu - powiedziała najstarsza kobieta. - Nasze plemię wyrządziło ci wielką krzywdę. Pragniemy ci to wynagrodzić. Przyjmij jedną z nas w zamian za swoją żonę.

Zaskoczony przyjrzał się uważniej. Wszystkie były ładne. Najładniejsze w plemieniu Yoda.

- - Nie mam nic przeciwko kobietom - odparł - oprócz tego, że nie stanęłyście w obronie przedstawicielki waszej płci. Nie mogę wam jednak zaufać i nie chcę was. Wasi mężczyźni muszą umrzeć.

- - To nasz wódz był winien - odpowiedziała kobieta. - Pozostali musieli spełnić jego rozkazy, albo zginąć w okrutny sposób. Zabij Yoda i będziesz miał swoją zemstę.

- - Jego zabiję na końcu - oświadczył rozwścieczony Neq. - Musi cierpieć tak, jak ja cierpiałem przez niego. Nawet tego będzie za mało. Neqą była warta więcej niż całe wasze żalosne plemię.

Kobieta przez chwilę milczała zmieszana. Wyraźnie zbierała odwagę.

- Przyniosłyśmy ci go - powiedziała.

Skinęła dłonią i pozostała czwórka podeszła do wózka. Neq chwycił ją błyskawicznie i zasłonił się nią jak tarczą przed pistoletem Yoda. Nie opierała się. Jej pośladki dotknęły jego ud.

Kobiety uniosły brezent, odsłaniając mężczyznę leżącego w środku. Był to Yod. Nie miał jednak pistoletu. Był martwy. Ręce mu odrąbano, a z jego ust sterczała rękojeść sztyletu. Cały był zalany własną krwią. - - Nasi mężczyźni bali się go - powiedziała kobieta, którą trzymał. - Ale my nie.

Przyniosłyśmy ci twoją zemstę, byś oszczędził pozostałych wojowników, gdyż nasze dzieci zginą z głodu jeśli ich zabraknie.

- - To nie jest zemsta - odrzekł zmieszany Neq. - Pozbawiłyście mnie mojej zemsty.

- Więc zabij nas, gdyż to my, w piątkę, uśmierciłyśmy Yoda. Tylko potem opuść to miejsce.

Neq zastanowił się, czy nie zabić ich, tak jak tego chciały. W ten sposób miały zamiar kupić łaskę dla winnych. Ogarnęło go zniechęcenie. Najpierw odebrano mu Neqę, a teraz zemstę. Cóż więcej mu pozostało?

Puścił kobietę, która nie odeszła, oczekując na jego odpowiedź. Pozostałe stały nieruchomo niczym żywe trupy. Wszystkie były młode i ładne, lecz strach, zmęczenie i napięcie odcisnęły swe piętno na ich twarzach. Zbrodnia, którą popełniły, również zostawiła swój ślad.

Neq uniósł miecz i dotknął nim biustu przywódczyni. Ta pobladła, lecz nie cofnęła się. Czubkiem miecza rozciął jej strój kobiety do wzięcia i ukryty pod nim stanik. Tkanina rozsunęła się odsłaniając piersi. Były pełne i bujne.

Neq zamierzał tylko sprawdzić, czy dziewczyna nie ma broni. Gdyby miała przy sobie nóż, wiedziałby, że był przeznaczony dla niego i to pozwoliłoby mu ją zabić bez wyrzutów sumienia. Noża jednak nie było. Te piersi zaś tak bardzo przypominały piersi Neqi... I wtedy Neq zapragnął tylko zapomnieć.

Zemsta była zbyt skomplikowana.

Odepchnął kobietę i odszedł.

Rozdział dziesiąty

Upłynęły trzy lata, zanim ponownie zastanowił się nad swoim życiem. Był pokrytym bliznami, dwudziestoosmioletnim weteranem. Bardzo niewielu wojowników dożyło aż tylu lat. Neq zabił więcej ludzi niż jakikolwiek koczownik, o którym słyszał. Większość tych walk stoczył poza Kręgiem, gdyż Kodeks Kręgu był martwy. I nagle Neq zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy, a może to właśnie one skłoniły go do zadumy. Po pierwsze, miał teraz tyle samo lat co Neqą, w chwili, gdy ją poznał. Po drugie, zemsta niewiele zmieniła, bo rzeczywistym winowajcą nie był Yod i jego plemię, lecz sytuacja, która spowodowała rozkład Kodeksu Kręgu. W dawnych czasach nie napastowano żadnej kobiety, a żaden mężczyzna nie musiał walczyć, jeśli tego nie chciał.

Zrozumiał, że tylko zmiana tego stanu rzeczy przyniesie mu spokój. Zabijanie mogło być jedynie doraźną karą. Należało zlikwidować nie ludzi, którzy wyrządzili mu krzywdę, lecz system, który ich do tego skłonił.

To znaczyło, że trzeba odbudować Helikon.

Być może podświadomie myślał o tym przez cały czas. Ta myśl dojrzewiała powoli, aż w końcu znowu odnalazł swą misję. Ból wywołany utratą Neqi zelżał, a krew na jego mieczu zyskała usprawiedliwienie. Neq nie pragnął już zadawać śmierci. Poznał zabijanie do głębi i

wiedział, że nie prowadzi ono do niczego. Nie musiał wzbudzać zachwyty kobiet, gdyż istniała dla niego tylko jedna. Niepotrzebne mu było plemię ani Imperium, gdyż dawno już poznał smak szczytów władzy i sam z tego zrezygnował. Miał nową misję i to było najważniejsze.

Jeśli Helikon zostanie odbudowany, Kodeks Kręgu powróci. Odmieńcy będą mieli towary, dzięki którym będą mogli znowu zaopatrywać gospody, i będą to robić na własnych warunkach. Koczownicy, chcąc nie chcąc, podporządkują się i wróci świat, jaki znał Neq.

Zapewne nie szybko. Może to potrwać dziesięciolecia, lecz stanie się tak z pewnością. Gdy Kodeks Kręgu ożyje, bandyci tacy jak Yod nie będą mieli szans. Kobiety będą chodzić swobodnie od gospody do gospody i od bransolety do bransolety, nie przymuszane i nie krzywdzone. Kodeks Kręgu to była cywilizacja, a jej podstawą był Helikon. Na początek pomaszzerował do ruin Góry. Wszedł do środka wejściem Dicka Chirurga. Pogrzebał wszystkie kości i usunął popioły. Odbudował uszkodzone wejścia tak, jak mógł, i zamknął je, by uniemożliwić intruzom dostanie się do środka. Stopniowo doprowadził do tego, że podziemie znów stało się zdatne do zamieszkania. Pracował powoli i systematycznie.

Robił przerwy tylko na posiłki i poszukiwanie zapasów. Stwierdził, że zdumiewająca ilość wyposażenia ocalała przed płomieniami. Prawdopodobnie ogień zgasł z braku powietrza wkrótce po śmierci ludzi. Większość znajdujących się wewnątrz Helikonu maszyn nadawała się do użytku. Neq nie prosił nikogo o pomoc, choć jego metalowe kończyny źle nadawały się do pracy innej niż zabijanie. Przesuwanie mieczem szmat po niekończących się podłogach, ścianach i sufitach, by zetrzeć sadzę i brud, było uciążliwe. Jego szczypce nie były odpowiednim narzędziem do umocowywania zawiasów w nowych drzwiach. To jednak było miejsce, które dzielił z Neqą i jej wspomnienie było dlań niczym błogosławieństwo.

Gdy skończył swą pracę, upłynął rok.

Następnie wyruszył do Odmieńców.

Ich mniejsze placówki już dawno przestały istnieć, lecz przypominający fortecę budynek administracyjny doktora Jonesa stał nienaruszony. Stary wódz Odmieńców rządził w nim tak, jak zawsze. Doktor Jones wyglądał jakby nigdy nie był młody i wcale się nie starzał. Tylko za biurkiem w jego sekretariacie nie siedział już nikt. - Jak udało się wam przetrwać bez żadnej obrony? - zapytał Neq. - Minęły cztery lata, kiedy byłem tu ostatni raz. Ludzie żyją według prawa miecza. Nikt mnie jednak nie zatrzymał, gdy tu wchodziłem. Każdy mógł splądrować ten budynek. Jones uśmiechnął się.

- Czy strażnik przeszkodziłby ci w wejściu do środka? Gdy Neq spojrział wymownie na swój miecz, Jones podjął:

- - Chciałbym móc ci powiedzieć, że nasza pacyfistyczna filozofia odniosła triumf... lecz nie byłaby to cała prawda. Mielśmy nadzieję, że usługi w zmniejszonym zakresie, które oferowaliśmy, powstrzymają koczowników przed przemocą, wydaje się jednak, że zawsze znajdzie się bardziej barbarzyńskie plemię, do którego członków rozum nie przemawia. Nasze centrum zostało spustoszone wiele razy.

- - Ale żyjecie wciąż tak samo?

- Tylko na pozór, Neq. Każdy dzień jest ryzykiem. Doktor Jones zaczął rozpinać swą śmieszna kamizelkę. Sędziwy Odmieniec musiał się kryć, gdy nadchodzili bandyci - pomyślał Neq. Gdy okolica znowu stawała się bezpieczna, wychodził z ukrycia i

rozpoczął odbudowę. Bandy nie mogły pozostawać tu długo, gdyż w budynku nie było wiele jedzenia, a sam gmach był czymś budzącym niepokój. Wyglądało na to, że doktor Jones musiał posiadać zdolności i odwagę, które na pierwszy rzut oka nie były widoczne. Odmieniec wreszcie uporał się z guzikami. Nie wiedzieć czemu rozchylił kamizelkę i zabrał się do czystej, białej koszuli pod spodem.

- - Skąd mnie znasz? - zapytał Neq. Zadał to pytanie by sprawdzić, czy staremu Odmieńcowi przypadkiem nie pomieszał się rozum.

- - Spotkaliśmy się już, nie pamiętasz? Zabrałaś pannę Smith i uwolniłaś doktora Abrahama...

- - Kogo?

- - Chirurga z Helikonu. Był dla nas bardzo pomocny. Czy rozpoznajesz jego robotę?

Rozchylił koszulę, odsłaniając kościstą klatkę piersiową. Była pokryta bliznami. Wyglądało to, jakby sztylet otworzył jego ciało, przecinając żebra i rozpruwając chudy brzuch. W jakiś sposób jednak wszystko to zostało poskładane z powrotem i zagoiło się jak należy.

- - Dick Chirurg - powiedział Neq. - Tak, mnie również operował. - - Sądzę, iż można założyć, że ten incydent doprowadziłby do mojego zgonu - oświadczył doktor Jones, przystępując do długotrwałego zadania, jakim było ponowne pozapinanie koszuli i kamizelki. - Jednakże doktor Abraham przywrócił mnie do zdrowia.

Ponieważ nie byłby tu obecny, gdyby nie twoja udzielona w odpowiedniej chwili pomoc, sądzę, że konkluzja, iż zawdzięczam me ocalenie właśnie tobie, nie jest naciągana.

- - Na każdego człowieka, którego mogłem ocalić - odparł Neq - przypada pięćdziesięciu, których zabiłem.

Wydawało się, że doktor Jones tego nie usłyszał.

- - I, rzecz jasna, jego raport umożliwił nam zaprzestanie dalszych wypraw w okolicy Helikonu.

- - Neqa zginęła.

- - Panna Smith... twoja bransoleta... tak... - szepnął doktor Jones. - Doktor Abraham poinformował nas o tym. Mówił, że byliście ze sobą bardzo blisko. Z radością się o tym dowiedziałem. Ona była wspaniałą kobietą, lecz bardzo samotną. Nie powiedział nic więcej, ale Neq był pewien, że sędziwy Odmieniec wie wszystko.

- - Przyszedłem, by ją pomścić.

- - Dotarła do nas twoja sława mściciela. Czy sądzisz, że dalsze zabójstwa wynagrodzą twoją stratę?

- - Nie!

Neq wyjawiał swoje podejrzenia odnośnie prawdziwej przyczyny śmierci Neqi i oświadczył, że jest zdecydowany odbudować Helikon. Doktor Jones nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, jakby cierpiał z powodu swej rany. Oczy miał przymknięte. Oddychał płytko.

Neq odczekał kilka minut, po czym podniósł szczypce, by go dotknąć i sprawdzić, czy nie mu nie jest. Śmierć ze starości była czymś, z czym nigdy dotąd się nie spotkał, ale słyszał o niej. Nie wiedział tylko, jakie były jej objawy...

Jednakże doktor Jones żył. Jego oczy otworzyły się na nowo. - Czy pragniesz ujrzeć dowód, że naprawdę byłem w Górze? - zapytał Neq. - Przyniosłem ze sobą papiery. Nie wiem, co w nich jest. Zabrał ze sobą te przypalone karty ze względu na to, że Neqa umiała czytać.

Wszelkie pismo przypominało mu o niej.

Tym razem Odmieniec zareagował.

- Papiery z Helikonu? Jestem w najwyższym stopniu zainteresowany! Nie poddaję jednak w wątpliwość twojej prawdomówności. Moje myśli na chwilę powędrowały gdzie indziej.

Na chwilę? Gdzie indziej? No tak, Odmieńcy zawsze byli zwariowani!

Nagle doktor Jones wstał i wyszedł z pokoju.

Zbity z tropu Neq pozostał w gabinecie.

Po kilku minutach doktor Jones powrócił w towarzystwie drugiego mężczyzny, grubego Odmieńca w okularach.

- Opowiedz, proszę, o swoich planach doktorowi Abrahamowi - zwrócił się do Neqa.

-

Tak samo, jak opowiedziałeś mnie.

To był Dick Chirurg - człowiek, którego Neqa uwolniła z klatki! Zupełnie nie przypominał teraz wychudzonego zbiega sprzed czterech lat. Neq powtórzył mu swe przemyślenia i swój plan.

- - Dlaczego przyszedłeś do nas? - zapytał Dick.

- - Dlatego, że jestem wojownikiem, a nie budowniczym. Nie umiem czytać, ani obsługiwać maszyn z Helikonu. Wy Odmieńcy to potraficie. - - Zna granice swych możliwości - zauważył doktor Jones.

- - Ale jest zabójcą.

- - Jestem - zgodził się Neq. - Ale mam już dosyć zabijania.

Uniósł rękę.

- - Chciałbym przekuć swój miecz...

- - Na lewiesz? - zapytał doktor Jones.

Neq nie odpowiedział, gdyż nie znał tego słowa.

- - Czy wasz dawny przywódca, Robert z Helikonu, nie był człowiekiem bezlitosnym? - zapytał Dicka doktor Jones.

- - Robert? Och, chodzi ci o Boba. Tak, był okrutny, lecz skuteczny w działaniu. Może masz rację - Dick spojrzał na Neqa. - To brzydka sprawa, ale... Neq nie rozumiał większej części ich rozmowy.

- - Oczyszczałem Górę i przywróciłem ją do porządku, nie mogę jednak zrobić nic więcej bez waszej pomocy. Nie zdołałem wypełnić jej ludźmi, którzy wprawiają maszyny w ruch. Dlatego przyszedłem tutaj.

- - Ależ człowiek w twoim stanie potrzebował by co najmniej roku, by zrobić porządek w tej rzeźni! - zawołał Dick.

- - Zgadza się.

Zapadła cisza. Odmieńcy nie sprawiali wrażenia ucieszonych.

Wreszcie doktor Jones wydobył kartkę papieru.

- - Sprowadź mi tych ludzi - powiedział, wręczając ją Neqowi. - Tych spośród nich, którzy jeszcze żyją.

- - Nie umiem czytać. Czy to jest przysługa, której żądacie w zamian za waszą pomoc?

- - W pewnym sensie. Muszę cię prosić, byś nikomu nie mówił o swoim planie, a również ostrzec, że twoja broń nie przyda ci się w tym przedsięwzięciu, a nawet może być zawadą.

Wydawało się, że to koniec jego odpowiedzi. Neq spojrzął na miecz. Zastanowił się, czy powinien przypomnieć sędziwemu Odmieńcowi, że nie może rozstać się ze swą bronią, bez względu na to, czy jest dla niego użyteczna, czy nie. - - Wymień mi ich imiona.

- - Potrafisz zapamiętać je dokładnie?

- - Tak.

Doktor Jones wziął kartkę ze szczyptic Neqą i zaczął czytać:

- - Sos Sznur, Tyl, Mistrz Dwóch Broni, Jim Pistolet. Neq przerwał mu zdumiony. - - Sos Sznur poszedł na Górę... och, rozumiem, może się okazać, że mimo to żyje.

Tyl jest wodzem największego istniejącego plemienia. Jim Pistolet...

- - Możesz znać Sosa pod jego późniejszym mianem: Nieuzbrojony.

- - Nieuzbrojony!? Wódz Imperium?

Oczywiście. To się zgadzało. Sos poszedł na Górę, a Nieuzbrojony z niej wyszedł.

Po to, by zdobyć żonę, której zawsze pragnął - Solę. Neq powinien był już dawno się tego domyślić.

- Czy zmieniłeś zdanie?

Rozgniewany Neq zastanawiał się w milczeniu. Odmieńcy zamierzali obarczyć go zadaniem nie do spełnienia! Czy chcieli być pewni, że mu się nie uda? A może w ten okrężny sposób odmawiali mu pomocy? Albo Jones mówił poważnie, uznawszy, że aby odbudować Helikon trzeba najpierw zabić tych, którzy go zniszczyli?... Nieuzbrojony, Tyl i Jim Pistolet byli twórcami zguby Helikonu. Nieuzbrojony dostarczył powodu, Tyl ludzi, a Jim broni.

Być może miało to sens. Jak jednak odnaleźć teraz nieuzbrojonego! Jeśli on żył, Imperium wciąż istniało i sam Neq nadal był jego poddanym! - - Myślę, że Nieuzbrojony nie żyje - powiedział wreszcie.

- - Sprowadź więc jego żonę.

- - Albo dziecko - dorzucił Dick.

- - Czy, jeśli sprowadzę wam tych ludzi, udzielicie mi pomocy niezbędnej do odbudowy Helikonu?

- - Jest tu jeszcze więcej imion.

Doktor Jones odczytał je. Wszystkie były nieznane.

- Sprowadzę wszystkich, którzy żyją! - krzyknął nierozważnie Neq. - Czy wtedy mi pomożecie?

Doktor Jones westchnął.

- - Będę się czuł do tego zobowiązany.

- - Nie wiem, gdzie ich wszystkich odnaleźć.

- Wyruszę z tobą - obiecał Dick Chirurg. - Znam z widzenia wielu uciekinierów z Helikonu. Mam też pewne wyobrażenie, gdzie mogli się ukryć. Twoim zadaniem będzie przekonanie ich, by poszli z nami. Nie możesz ich zmuszać, ani zabijać. Neq zastanowił się nad tym. Nie uśmiechało mu się towarzystwo chirurga, ale mogło to ułatwić wykonanie zadania.

- Nie mogę im nic powiedzieć, nie mogę nikogo zabić, ale mam ich jednak namówić, by tu przyszli. Największych wojowników dawnego Imperium, łącznie z człowiekiem, który... - zirytowany potrząsnął głową. - I wszystko dlatego, że chcę odbudować Helikon - wasze źródło dostaw, byście mogli przywrócić Kodeks Kręgu. Doktor Jones najwyraźniej nie zrozumiał ironii Neqa.

- Wyraziłeś sedno sprawy, wojowniku.

Wściekły i rozczarowany Neq wyszedł z pokoju. Dick Chirurg podążył za nim.

Rozdział jedenasty

Plemię Tyla nie było tak liczne, jak w dniach rozkwitu Imperium. Poniosło duże straty podczas oblężenia Helikonu oraz w wyniku anarchii, która nastąpiła później. Terytorium Tyla było jednak większe niż ongiś ze względu na znaczne zmniejszenie liczby koczowników w ostatnich latach. Była to wyspa w oceanie barbarzyństwa. Budowano tu domy, uprawiano pola, produkowano broń i przestrzegano Kodeksu Kręgu. Najczęściej używanym orężem były teraz drewniane drągi, maczugi i pałki, gdyż metal produkowany przez koczowników był o wiele gorszy niż ten pochodzący z Helikonu. Stara broń była w coraz wyższej cenie. Ci, którzy nosili miecze, byli doświadczonymi wojownikami. W tych czasach mężczyznę wyzywano do walki o jego broń równie często, jak o jego kobietę czy życie. - - Przyszedłeś, aby mnie wyzwać? - zapytał z niedowierzaniem Tyl. - Czy zapomniałeś o Kodeksie Imperium? Namiestnicy Nieuzbrojonego nie mogą walczyć przeciwko sobie.

- - Nie mogą walczyć o panowanie - odparł Neq. - Nie, nie zapomniałem. Imperium jednak jest martwe, a wraz z nim jego prawa.

- - Nie jest martwe, dopóki nie dowiemy się na pewno, że Nieuzbrojony nie żyje, a jego niełatwo jest zabić. Wiedziałbyś o tym, gdybyś kiedykolwiek zmierzył się z nim w Kręgu. Również Kodeks Kręgu nie jest martwy tam, gdzie przechodzi moje plemię. - - Ginie jednak wraz z jego odejściem.

Mimo wszystko Neqowi podobał się stary porządek utrzymywany przez Tyla.

- Nie powiedziałem, że chcę cię wyzwać do walki - dodał szybko. - Podczas tej misji nie wolno mi używać miecza. Gdyby jednak ktoś poddał w wątpliwość moje umiejętności w Kręgu, z chęcią mu je zademonstruję. Nie będę jednak walczyć o panowanie czy życie, tylko na pokaz, bez rozlewu krwi. Wyzywam cię, byś zrobił przysługę mnie i być może wszystkim koczownikom.

Tyl uśmiechnął się.

- Zrobiłbym ci przysługę nawet bez groźby Kręgu, gdyż w lepszych dniach byliśmy przyjaciółmi. Chętnie też pomógłbym ludowi koczowników, gdybym tylko wiedział jak.

Czego pragniesz?

- Chodź ze mną do Odmieńców. Tyl roześmiał się.

- Mimo wszystko - powiedział z naciskiem Neq, przypominając sobie, jak Soi zareagował na niedowierzanie, wiele lat temu.

Tyl przyjrzał mu się uważniej.

- - Słyszałem, to była tylko plotka, że zostałeś ranny w starciu z bandytami.

- - Wiele razy.

- - Chodzi o pierwszy raz. Mówiono, że pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych w pistolet wzięło cię do niewoli i że obcięto ci dłonie.

Neq spojrział w dół, na swe skryte pod płaszczem ręce i skinął głową.

- - I że mimo to dokonałeś zemsty.

- - Zabili moją żonę.

- - Była Odmieńcem?

- - Tak.

- - I teraz znowu zostałeś ich sprzymierzeńcem? Miecz Neqa poruszył się nerwowo pod płaszczem.

- - Czy chcesz obrazić moją żonę?

- W żadnym wypadku - odparł pośpiesznie Tyl. - Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że przeżyłeś przygody, których ja nie doświadczyłem, i że z pewnością do podjęcia tej misji skłoniły cię poważne powody.

Neq wzruszył ramionami.

- - Pójdę do Odmieńców - oznajmił Tyl. - Ale jeśli nie znajdę powodu, by tam zostać, wrócę do mojego plemienia.

- - To wystarczy.

- - Czy mogę ci pomóc w czymś jeszcze? - zapytał Tyl oschłym tonem.

- - Gdybyś potrafił mi powiedzieć, gdzie jest Nieuzbrojony...

Tyl z trudem zapanował nad swym zaskoczeniem.

- - Był nieobecny przez pięć lat. Wątpię, by przebywał na terytoriach Odmieńców.

- - A jego żona?

- - Jest moim gościem. Zaprowadzę cię do niej.

- - Dziękuję ci.

Tyl podniósł się z miejsca. Mimo swego wieku był wciąż silnym i zwinnym wojownikiem.

- Teraz, skoro załatwiliśmy już nasze sprawy, chodź ze mną do Kręgu. Chcę pokazać moim ludziom szermierkę w dawnym stylu. Bez warunków i rozlewu krwi. Teraz Neq mógł się uśmiechnąć. Na takich zasadach wolno mu było wstąpić do Kręgu. Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz walczył dla przyjemności, zgodnie z regułami obowiązującymi w Imperium.

Rzeczywiście była to przyjemność. Nikt nie mógł powiedzieć, czy Tyl wciąż jest od niego lepszy, gdyż sposób walki Neqa z konieczności bardzo się zmienił, a poza tym nie walczyli na poważnie. Sztuka walki Tyła była jednak wspaniała, godna porównania z umiejętnościami Sola, Mistrza Wszystkich Broni. Pokaz urządzony przez nich sprawił, że młodszy członkowie plemienia gapili się z ustami otwartymi z wrażenia. Pchnięcie i parowanie, atak i obrona. Słońce błyszczało i migotało na żywych ostrzach. Melodia walki porывała serca.

Gdy skończyli, zdyszani i złani potem, koczownicy nadal siedzieli w milczeniu wokół Kręgu - cztery zwarte pierścienie uzbrojonych, pełnych podziwu mężczyzn. -

Opowiadałem wam o Solu - zawołał Tyl. - I o Torze i Nequ. Teraz ujrzeliście Neqa.

Jest wojownikiem, choć utracił obie ręce. Takie było nasze Imperium. Neq poczuł przyjemne ciepło, którego nie doświadczył od lat. Tyl publicznie wyraził mu uznanie.

Nagle znowu zatęsknił za Imperium i wszystkimi dobrymi rzeczami, jakie z sobą przyniosło. Jego pragnienie, aby dopełnić misji mimo przeszkód wznoszonych przez Odmieńców, wzrosło w dwójnasób.

Sola postarzała się. Neq pamiętał ją jako niezwykłą piękność - obiekt marzeń samotnego mężczyzny. Teraz była przygarbiona, a jej twarz pokrywały bruzdy. Długie, ciemne włosy nie układały się już w fale. Stały się rzadkie. Trudno było uwierzyć, że jest tylko dwa, albo trzy lata starsza od Neqa.

- - To jest Neq Miecz - powiedział do niej Tyl i wyszedł.

- - Nie poznałabym cię - odrzekła Sola. - Wyglądasz staro. A przecież masz mniej lat ode mnie. Gdzie się podział ten młody, nieśmiały wojownik z zaczarowanym mieczem i złotym głosem?

- - Czy Nieuzbrojony żyje?

- - Obawiam się, że nie. Zresztą nawet gdyby żył, nie wróciłby do mnie.

Neq był zaskoczony.

- A do kogo?

- - Do swej drugiej żony. Kobiety z podziemi. Zainteresowanie Neqa wzrosło.

- - Słyszałaś o Helikonie?

- - Wiem, że mój mąż przystąpił do oblężenia Góry dlatego, że ta kobieta tam była.

Nosiła jego bransoletę i imię.

- - Czy ona żyje?

- - Nie wiem. Czy w ogóle ktokolwiek ocalał spośród tych, którzy byli tam w chwili, gdy wybuchł pożar?

- - Tak - powiedział Neq. - Tak przynajmniej mówią - dorzucił pośpiesznie. Sola natychmiast zauważyła jego przejęzyczenie. Nigdy nie była głupia. To ona uczyła wojowników rachować.

- - Jeśli ktokolwiek ocalał, to na pewno ona. Jestem tego pewna. Odszukaj ją i powiedz jej, że chcę się z nią spotkać. Zapytaj ją... zapytaj, czy moje dziecko... Neq czekał, lecz Sola tylko płakała w milczeniu.

- - Musisz iść do Odmieńców - powiedział wreszcie.

- - Dlaczego nie? Nie mam już po co żyć.

- - Ta kobieta Nieuzbrojonego, czyje imię nosi?

- - Jego dawne imię brzmiało Sos. To ja bym je nosiła, gdybym nie była głupią smarkułą zaślepioną blaskiem władzy. Kiedy go w końcu zdobyłam, nie należał już do mnie i był bezimienny.

- - Więc ona jest Sosą. Sądzisz, że będzie wiedziała, czy Nieuzbrojony żyje? - - Jeśli żyje, jest z nią. Ale moje dziecko... zapytaj ją... Neq skojarzył to wreszcie.

- - Twoje dziecko? To, które poszło z Solem na Górę?

- - Mniej więcej - odparła.

Pomyślał o nadpalonych szkieletach, które wynosił z podziemnych sal. Wiele z nich było małych - należały do dzieci. Istniało jednak kilka wyjść podobnych do tego, z którego skorzystał Dick Chirurg. Było też kilka komór, do których płomień nie dotarł, a także tunele kolejki prowadzące do rozsianych po okolicy składów. Niektórzy z dorosłych uciekli, być może wielu. Nikt nie wiedział, ilu mieszkańców liczył Helikon. Niektóre dzieci również mogły przeżyć...

- Mam dla ciebie jeszcze jedno imię - powiedziała Sola. - Var. Var Pałki. Neq przypomniał sobie niejasno tego wojownika - pomocnika Nieuzbrojonego, który zniknął w tym samym czasie, co on.

- - Czy on będzie wiedział, gdzie znaleźć twojego męża? - - Musi wiedzieć - odparła żarliwie. - Był jego przyjacielem. Obaj byli bezpłodni.

Neq zadał sobie pytanie, skąd Sola mogła wiedzieć podobną rzecz. Przypomniał sobie jednak plotki, jakie krążyły o tej kobiecie oraz to, jak zakradła się do namiotu Sosa w obozie w Złym Kraju, i zrozumiał.

- - Poszukam Sosy - obiecał. - I Vara Pałki.

- - I mojego dziecka, Soli. Ma teraz trzynaście lat, prawie czternaście. Ma ciemne włosy i...

- - zawałała się. - Pamiętasz, jak kiedyś wyglądałam? - - Tak.

Jej kształty piętnaście lat temu podniecały go niejedną raz.

- Myślę, że jest podobna do mnie.

W takim razie Soli musiała być piękna. Neq skinął głową.

- - Jeśli żyją, przyprowadzę ich wszystkich do Odmieńców.

- - Będę tam czekała.

Z jakiegoś powodu rozplakała się. Być może była to słabość starej kobiety, która sądziła, że nigdy już nie zobaczy męża ani córki, i że ich kości leżą zwęglone w pobliżu Góry Śmierci. W ciągu najbliższych kilku miesięcy Dick Chirurg odnalazł garstkę uciekinierów o niezwykłych imionach, takich jak: John, Charles i Robert. Byli to starzy i słabi mężczyźni, zupełnie nie nadający się do życia wśród koczowników, mimo że spędzili ostatnie lata pomiędzy nimi. Niektórzy z nich byli ocalonymi z Helikonu, inni wyglądali na Odmieńców odciętych od centrali przez upadek cywilizacji. Gdy Dick przemówił do nich, na ich zrozpaczonych twarzach pojawił się uśmiech nadziei. Zgodzili się pójść z Neqiem, który z trudem powściągnął swą niechęć. Musiał szukać dla nich żywności i strzec ich przed bandytami, gdyż sarni nie mogliby dotrzeć do doktora Jonesa. To było śmieszne - mężczyzna pozbawiony rąk opiekujący się mężczyznami pozbawionymi charakteru. Te niedołęgi przeżyły dotąd dzięki temu, że posiadały umiejętności, których potrzebowały niektóre plemiona, jak czytanie i pisanie, znajomość rzemiosł czy broni palnej.

Wydawało się, że większość ludzi na liście nie ocalała. Niewątpliwie to właśnie ich kości Neq uprzętnął z Helikonu.

Wszędzie, gdzie mógł, dopytywał się o najważniejsze imiona: Var, Sosa, Soli. Jednak nikt z koczowników nie słyszał o nich od chwili zniszczenia Helikonu. Minął prawie rok zanim doprowadził swą małą grupkę do siedziby Odmieńców.

- Czy nadal jesteś zdecydowany odbudować Helikon? - zapytał wtedy doktor Jones.

- Tak.

O mało nie dodał: „Na przekór wara”.

- - Nie odnalazłeś wszystkich osób na liście.

- - Nie skończyłem jeszcze poszukiwań. Po prostu doprowadziłem do was tych, którzy nie mogli przyjść sami. Wielu z pozostałych nie żyje. Widziałeś się z Tyłem i Solą?

- - Są tutaj.

A więc Tyl został! Co takiego ten Odmieniec mu powiedział? - - Nie znalazłem Nieuzbrojonego, ale szukam teraz jego żony z podziemi, Sosy, a także dziecka Soli oraz Vara Pałki. Oni pomogą mi odnaleźć jego, lub jego mogiłę.

- - To ciekawe, że wymieniles te imiona - szepnął doktor Jones. - O ile pamiętam nie umiesz czytać.

- - Jestem wojownikiem.

- - Te dwie umiejętności, czytanie i walka, nie muszą się nawzajem wykluczać. Niektórzy z wojowników umieją czytać. Nie orientujesz się, co się znajdowało w zapiskach, które nam dostarczyłeś?

- - Nie.

- - W takim razie pozwól, bym przeczytał ci kilka fragmentów.

Sędziwy Odmieniec wydobyl z biurka plik papierów.

4 SIERPNIĄ W 118 - Ataki ustały, lecz nastrój pozostaje ponury. Bob zorganizował jakiś rodzaj pojedynku reprezentantów, nie wybrał jednak jeszcze nikogo, kto wystąpiłby w naszym imieniu. To szaleństwo. Nie jesteśmy przygotowani do tej ich walki w Kręgu. Mamy tutaj Sola Koczownika, jednego z najgroźniejszych barbarzyńskich wojowników tej epoki, wiem jednak, że on nie zgodzi się wystąpić z bronią w rękę przeciw swym pobratymcom.

Nienawidzi Helikonu. On naprawdę przyszedł tu umrzeć. Ma do nas pretensję o to, że zmusiliśmy go do pozostania przy życiu ratując jego córkę. Sosa uspokoiła go w jakiś sposób.

Nie wiem, jak ta cudowna kobieta to robi. Córka Sola jest całym jego życiem. Za dużo jednak piszę o cudzych sprawach, jak każdy stary mól książkowy. Z pewnością mam dosyć własnych zmartwień. Dręczy mnie przecucie, że zbliżamy się do zagłady życia, które znaleźmy, a może nawet całej cywilizacji...

- - Góra! - zawołał Neq. - Oblężenie Helikonu.

- - To są zapiski Jima Bibliotekarza. Był wykształconym i wrażliwym człowiekiem.

- - On jest na twojej liście! To człowiek z podziemi!

- - Tak, oczywiście, lecz już nie trzeba go szukać.

- - Chodziło wam o odbudowę! - krzyknął Neq, który wreszcie zrozumiał, w czym rzecz. - Szukacie ludzi, którzy mają wiedzę!

- - Oczywiście. Koczownicy z pewnością nie zdołaliby bez niczyjej pomocy uruchomić nieznanej im techniki Helikonu, bez względu na to, jak szlachetne byłoby ich motywy. Gdy jednak ocaleni z Helikonu utworzą zaczątek, do którego doda się najzdolniejszych spośród koczowników i, hmm, Odmieńców, a także silnego i uczciwego przywódcę, podejrzewamy, że mogłoby się to okazać możliwe. - Doktor Jones popatrzył na Neqę ze współczuciem.

- - Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany, iż nie uważamy cię za odpowiedniego kandydata do pokierowania odbudową - ciągnął. - To, co próbujesz osiągnąć, jest szlachetne i z pewnością spotkasz się z należnym uznaniem za twe wysiłki i poświęcenie, lecz skomplikowane zagadnienia techniki i utrzymanie dyscypliny... - - Masz rację - odparł Neq z mieszanymi uczuciami. Był rozczarowany, lecz równocześnie poczuł ulgę. - Nigdy nie miałem zamiaru pozostać w Helikonie. Tylko Odmieńcom mogłoby się podobać życie z dala od słońca i drzew... - mówiąc to zrozumiał, dlaczego Tyl znalazł się na liście. Potrzebowali silnego i rozumnego przywódcy, a on nim był. Zajmował drugie miejsce w Imperium po Nieuzbrojonym, a przedtem po Solu, Mistrzu Wszystkich Broni. Miał najwięcej doświadczenia w rządzeniu ludźmi. Był też wielkim wojownikiem, który nigdy nie pozwalał na rozluźnienie dyscypliny. Nowy Helikon będzie czymś w rodzaju Imperium.

- - Cieszę się, że to rozumiesz. Praktyka i doświadczenie mają podstawowe znaczenie. W krytycznej sytuacji, gdy miecze i maczugi nie przyniosą rozwiązania...

- - Ale Nieuzbrojony... to on zniszczył Helikon! Dlaczego miałyby teraz pomóc w jego odbudowie?

Najwyraźniej jednak doktor Jones liczył nie tylko na Nieuzbrojonego. - - Sos Nieuzbrojony wywodził się z Helikonu. Doktor Abraham uczynił go tym, czym był, na niefortunny rozkaz swego przywódcy - Wódz Odmieńców pograżył się na chwilę w rozmyślaniach. - On nie zdawał sobie sprawy z politycznych uwarunkowań, które doprowadziły do katastrofy. Spał, gdy pożar wybuchł, a kiedy uciekł, wciąż był oszołomiony.

Sądził, że to koczownicy podpalili Helikon.

- - A nie zrobili tego?

- - Nie. Oto ostatnia z notatek Jima.

8 SIERPANIA W118 - Jak mam wyrazić grozę, którą czuję? Soli była również moim dzieckiem, w tym sensie, że nauczyłem ją czytać i kochałem jak własną córkę.

Przychodziła do biblioteki niemal codziennie, czarująca dziewczynka. Wierzę, że dzieliła swój czas równo pomiędzy moje książki i broń swego ojca. Teraz jednak... Obciążam winą siebie. Nie dalej jak trzy dni temu przysłała do mnie zapłakana i opowiedziała historię, w którą nie chciałem uwierzyć. Mówiła, że Bob zamierza zabić Sosę i Solę, jeśli ona nie zgodzi się udać na niebezpieczną misję na zewnątrz. Twierdziła, że przysięgła zachować tajemnicę, gdyż Bob zagroził, iż zabije ich oboje, jeśli komukolwiek ją zdradzi, musiała to jednak komuś powiedzieć. Zgodziłem się nie powtarzać tego nikomu w przekonaniu, że jest to wytwór dziecięcej fantazji. Zapewniłem ją, że musiała źle zrozumieć Boba, że jemu leży na sercu wyłącznie dobro Helikonu i że chodziło mu o to, iż życie jej rodziców może być zagrożone, tak, jak życie nas wszystkich, przez nie kończące się oblężenie.

Poradziłem jej, aby zgodziła się na tę tajną misję, gdyż z pewnością miała ona na celu wysianie jej daleko, w bezpieczne miejsce. „Cenimy nasze dzieci ponad wszystko” - **tłumaczyłem jej jak kretyn.**

Teraz Soli nie żyje, a ja mogę tylko opłakiwać moją beznadziejną naiwność. Bob wysłał ją na Górę Muz, by stanęła do walki z reprezentantem koczowników, i rzecz jasna to zwierzę ją zabiło. Koczownicy świętują. Docierają do nas odgłosy ich ohydnej hulanki. „Var Pałki!” - krzyczą, nie wierzę jednak, by wiedzieli, iż ich znakomity, barbarzyński reprezentant, na płaskowyżu, na szczycie góry odległej o dwanaście mil na południe stąd, zmagił się z ośmioletnią dziewczynką.

Do diabła z obietnicą, którą złożyłem Soli! Powtórzyłem Sosie wszystko, co powiedziała Soli, gdyż to Sosa jest prawdziwą matką tej kochanej dziewczynki, a nie jakaś koczownicza dziewczucha, która ją wydała na świat. I tak zresztą wkrótce by się o tym dowiedziała. Z pewnością opowie o wszystkim Solowi. Wolę nie myśleć o tym, do czego teraz dojdzie. Gdybym był typem wojownika, z pewnością w takiej sytuacji zemściłbym się okrutnie.

Jestem jednak tylko starym, bezużytecznym człowiekiem. Zamierzam zażyć truciznę. Nastąpiła przerwa.

- - Var Pałki był reprezentantem koczowników? Zabił dziecko Solę?

- - Na to wygląda. Gdybyś był na miejscu Solę...

- - To jasne! Zatknałbym głowę Vara na żerdzi w lesie tak, aby wszyscy mogli ją ujrzeć! I Boba. I wszystkich, którzy byli odpowiedzialni. I... Doktor Jones złożył dłonie w charakterystyczny dla siebie sposób.

- - I co...?

- - I nie osiągnąłbym nic - odparł powoli Neq. - Zemsta to nie jest rozwiązanie. To tylko zemsta. Przynosi jedynie więcej smutku.

Doktor Jones skinął głową.

- - Sądzę, że potrafisz zrozumieć motywy, które kierowały postępowaniem Sola w tamtej chwili i później. Mimo lat, które spędził w Helikonie, był on koczownikiem z krwi i kości. Czy mógłby podpalić znajdujące się tam magazyny substancji łatwopalnych? - - Nie wiem tego - odparł Neq, który nie zrozumiał terminu „substancje łatwopalne”. - Myślę jednak, że była tam benzyna i inne rzeczy, które się palą. Sądzę, że Soi podpalił to wszystko. W imię zemsty. Te ciała były spalone! - - A później... czy by wrócił?

- - By obejrzeć ruiny, gdy już zrozumiał, że to nic nie dało? Nie, nie wróciłby...

- - Rozumiem. Jeśli jednak mamy odbudować Helikon, w jaki sposób możemy się upewnić, że podobna rzecz się nie powtórzy?

- - Nie wiem - odparł szczerze Neq.

- - Pójdź się dowiedzieć.

- - Ale zgodziliście się mi pomóc, jeśli sprowadzę tych ludzi! - - Zrobimy to. Jaka jednak będzie korzyść z odbudowy Helikonu, jeśli może on zostać zniszczony z tych samych powodów, co uprzednio? Neq nie potrafił udzielić na to odpowiedzi.

- Zapomnij o reszcie imion na liście - powiedział życzliwym tonem doktor Jones.

-

Mamy wystarczająco dużo ludzi na początek. Zamiast tego odszukaj Sola, Sosę i Vara, jeśli w jakiś sposób umknął on przed zemstą Sola. Dowiedz się, czy Sos Nieuzbrojony był w to bezpośrednio zamieszany. Być może jego zniknięcie ma coś wspólnego z tą sprawą.

Ustal prawdę i znajdź sposób zapobieżenia powtórzeniu się tej sytuacji. Dopijstro wtedy będziemy spokojni o przyszłość naszego przedsięwzięcia.

Rozdział dwunasty

Trop Vara Pałki i Sosy musiał zaczynać się w Helikonie. Sześć lat temu Var przybył tu z koczownikami, a ona przebywała w Podziemiu. Oboje zniknęli wkrótce po pojedynku na szczycie Góry Muz. Prawdopodobnie oboje nie żyli, lecz w takim przypadku wyprawa Neqą była skazana na niepowodzenie. Soi i Nieuzbrojony mieli znacznie większą szansę na przeżycie, lecz żaden z nich nie znał tego, co stało się przyczyną upadku Helikonu, czyli tajemnic kryjących się w umyśle Boba. Gdyby bowiem Bob nie wysłał niewinnego dziecka na śmierć, zarówno on, jak i Helikon mogliby przetrwać oblężenie. Umocnienia Podziemia były z pewnością wystarczająco potężne. Dlaczego Bob, o którym wszyscy mówili, że był zdolnym przywódcą, popełnił tak brutalny i straszliwy w skutkach błąd? Czy jego następcą postąpi podobnie?

Neq zastał Helikon taki, jakim go opuścił, zamknięty i czysty. Ponownie zbadał kilka wyjść, zastanawiając się, czy kobieta mogłaby wykorzystać któreś z nich do ucieczki. Z pewnością tak! Sosa, która wiedziała, co zamierza Soi, miała największą szansę przeżycia ze wszystkich mieszkańców Podziemia. Soi mógł zostać odcięty przez płomienie, które sam

rozniecił, zaś przebywający na zewnątrz Nieuzbrojony mógł wejść do środka w rozpaczliwej próbie odnalezienia Sosy i zginąć.

Neq ponownie zbadał zewnętrzne stoki Helikonu i poszedł na Górę Muz, aby sprawdzić, gdzie mógł się udać Var po zabiciu dziecka. Neq nie zdołał jednak wdrapać się na sam szczyt. Wtedy przypomniał sobie, że Tyl mówił, iż widział Vara po pojedynku reprezentantów i że zniknął on następnego dnia, a wkrótce po nim Nieuzbrojony. Żaden z nich nie uprzedził go, co ma się zdarzyć. Nie było dowodów na to, by padli ofiarą przemocy.

W pobliżu Helikonu koczowały zdziczałe plemiona. Neq i Dick znali już niektóre z nich. Nikt z ich członków nie słyszał o Varze czy Sosie. Bardzo trudno było znaleźć koczowników, którzy sześć lat temu mieszkali w tej okolicy. Na dodatek napotkani wojownicy niechętnie odpowiadali na pytania Neqa. Często potrzebny był miecz, aby zmusić ich do mówienia. Mimo to Neq nie dowiedział się niczego. Ruszył w drogę, zataczając wielkie kręgi wokół Helikonu. Szukał ludzi i plemion, których nie spotkał wcześniej. Wiele razy ostrze miecza spłynęło krwią, zanim pytania Neqa spotykały się z odpowiedziami. Zawsze jednak były one przeczące. Upłynęło zaledwie sześć lat, a wielu z tych ludzi nie wiedziało nawet o co mu chodzi, gdy mówił o „Helikonie”.

Mijały miesiące. Zataczane przez niego kręgi były coraz szersze. Nie osiągnął jednak nic. Mimo to Neq nie zamierzał się zatrzymać. Zaczął zadawać bardziej ogólne pytania:

- Czy sześć, może siedem lat temu nie przechodził przez wasze ziemie ktoś obcy? Samotny wojownik z pałkami? Mała kobieta? Ktoś zamaskowany, ukrywający się, lub ranny?

Wreszcie udało mu się!

- Widziałem wtedy nieznanego - rzekł pewien stary wojownik Imperium. - Bledego, szczupłego mężczyznę, który nie odzywał się ani słowem.

Ten opis nie przypominał Vara Pałki, który był niskim młodzieńcem o skórze pokrytej cętkami.

- - Jaką miał broń?

- - Nie widziałem tego. Miał plecak, z którego wystawał drąg i przypominał mi Sola, Mistrza Wszystkich Broni. To jednak niemożliwe, bo Soi poszedł na Górę sześć lat wcześniej.

A więc szukał Sosy, a znalazł Sola! I to było dobre! Z pewnością uciekli z Helikonu razem. Poszukiwania Neqa zakończyły się sukcesem, chociaż... Nagle ślad stał się wyraźny. Istniały przełęcz, przez które przechodził Soi i miejsca, w których obozował. Neq wyruszył jego tropem. Spotykał wielu ludzi, którzy widzieli milczącego wojownika. Niektórzy wzywali go do walki w Kręgu, lecz on zawsze odmawiał.

Nikt, kogo Neq spotkał, nie twierdził, że walczył w Kręgu z tym człowiekiem. To dowodziło, że mówili prawdę. Soi był największym walczącym w Kręgu wojownikiem wszystkich czasów, z wyjątkiem sztucznie stworzonego olbrzyma - Nieuzbrojonego, a i z nim Soi stoczył walkę tak wyrównaną, że tylko przypadek zdecydował o zwycięstwie. Mógł utracić sprawność przez sześć lat pobytu w Helikonie, lecz tam ćwiczył ze swą córką. Dlatego każdy, kto zmusiłby Sola do walki wbrew jego woli, musiał ponieść karę. Tylko ci, którzy z nim nie walczyli, mogli przeżyć. Dlaczego Soi unikał walk? Teraz było to oczywiste. Miał ważniejszą sprawę na głowie. Szedł dokąś.

Lecz, jak się zdawało, nie w towarzystwie Sosy. Nikt jej nie widział. Soi wędrował sam. Dlaczego?

Neq znał odpowiedź. Soi ścigał człowieka, który zabił jego córkę. Vara Pałki.

Zemsta.

Soi opuścił Helikon i wyruszył na północny zachód, omijając Złe Kraje. Dlaczego na północny zachód? Z pewnością w tym kierunku uciekał Var Pałki. Tak było! Neq usłyszał teraz wzmianki o mężczyźnie z cętkowaną skórą, który również nie był rozmowny, lecz znakomicie władał pałkami... i towarzyszącym mu chłopcu.

Chłopcu?

I nagle... pojawił się Nieuzbrojony. - To niewiarygodne, lecz on również podążał tą samą drogą. Czy śledził Vara, czy Sola? Może chciał obronić pierwszego przed drugim?

Nikt z nich jednak nie wrócił. Cała czwórka gdzieś zniknęła. Dokąd się udali? I skąd wziął się chłopiec, który towarzyszył Varowi Pałki? Czy miał on młodszego brata? Po całych miesiącach, w ciągu których dowiadywał się zbyt mało, Neq dowiedział się nagle zbyt wiele!

Nieustępliwie szukał dalej. Jego nadzieje na odbudowę Helikonu były zbyt mocno związane z tą tajemnicą, by mógł zrezygnować. Nie spocznie, póki nie znajdzie odpowiedzi.

A więc: trzech mężczyzn i chłopiec... Wszyscy wędrowali na północny zachód, lecz kto kogo ścigał?

Trop urywał się w pobliżu dawnej północnej granicy terytorium Odmieńców. Neq krążył tam przez miesiąc mimo coraz ostrzejszej zimy, lecz tubylcy nie wiedzieli nic. Musiał albo się poddać, albo opuścić obszary zamieszkałe przez koczowników, jak najwyraźniej zrobili ci, których szukał.

Neq nie mógł się zdecydować, by ruszyć dalej na północ. Jego metalowe kończyny dobrze nadawały się do walki, lecz mówiono mu, że na północy częściej spotyka się broń palną. On sam nie mógł z niej strzelać, a to oznaczało większe ryzyko. Na dodatek nie znał języka ludzi z północy. Utraciwszy nadzieję na rozwikłanie zagadki, Neq zaczął oswajać się z myślą o porażce.

Wtedy, niespodziewanie, odnalazł go Tyl, Mistrz Dwóch Broni. Był sam.

- - Czy jesteś gotów przyjąć moją pomoc? - zapytał, jak gdyby nigdy nic.

- - Z wielką chęcią - odparł Neq.

Tyl nie wdawał się w wyjaśnienia. Było oczywiste, że dotarła do niego wiadomość o niepowodzeniu Neqa.

- Nie chcę targować się z towarzyszem z Imperium, ale Odmieniec postawił mi pewne warunki, tak samo jak tobie. Za moją pomoc zażadam zapłaty. Doktor Jones był niewątpliwie znacznie mądrzejszym przywódcą niż można było sądzić po pozorach.

- - Jakiej? - spytał Neq.

- - Powiem to w odpowiedniej chwili.

Neq pamiętał, że Tyl jest uczciwym człowiekiem.

- - Zgoda.

- - Idziemy na północ?

- - Tak.

Tak więc poszukiwania zostały wznowione.

- Soi Mistrz Wszystkich Broni, Nieuzbrojony, Var Pałki, Chłopiec. Wszyscy poszli na północ - rzekł Neq. - Żaden z nich nie wrócił. Jeśli znajdziemy któregoś z nich, może dowiemy się, dlaczego upadł Helikon. Var mógł usłyszeć prawdę z ust Soli, zanim zginęła ona z jego ręki. Soi mógł dowiedzieć się tego od Boba, zanim go zabił. Nieuzbrojony... również może coś wiedzieć, gdyż rozmawiał z Bobem uzgadniając warunki walki reprezentantów. Chłopiec... nie wiem.

Tyl zastanowił się.

- Tak. Bob i Soli znali tajemnicę. Szkoda, że oboje nie żyją... - przerwał, zastanawiając się nad czymś, nie wyraził jednak swej myśli głośno. Tyl miał pistolet i potrafił się nim posługiwać. Miał również ręce, a także znał język ludzi z północy. Wkrótce odnaleźli ślad.

Poszli wzdłuż niego aż do północnego oceanu i dotarli do wylotu podmorskiego tunelu. Tu ślad znów się urwał.

- Jeśli weszli do środka - twierdzili tubylcy - nigdy nie wrócą. Maszyna-demon pochłania wszystkich śmiałków.

Tyl nie miał zaufania do tunelu z innych powodów.

- Widziałem potwory wybiegające z tunelu, gdy Góra płonęła. Zwierzęta z ogromnymi oczyma i paszczami, których miecz nie mógł zatrzymać. Szczury bez oczu. Niektórzy z moich ludzi umarli od samego dotknięcia tych stworzeń. Jim Pistolet powiedział, że były na nich duchy zabójcy - Rentgeny. Usłyszał je dzięki swojej tykającej skrzynce. Nie wejść do tego tunelu nie mając ze sobą armii.

Neq zgodził się z nim. On również widział szkielety spalonych mutantów w podziemiach Helikonu. Nocami zaś słyszał głosy stworzeń, które przeżyły zagładę Góry. Od niektórych pomieszczeń w Helikonie odchodziły mroczne korytarze prowadzące nie wiadomo gdzie. Neq nigdy tam nie wchodził. Byłoby szaleństwem zapuszczać się w ten nieznaną tunel, chyba żeby nie mieli innego wyjścia.

Po naradzie ruszyli na północ, wzdłuż wybrzeża... i ponownie usłyszeli o Solu i Bezimiennym!

Pewnego dnia Tyl znalazł ślady koczowniczego obozowiska. - - Popatrz, tu rozpalili ognisko, a tutaj rozbili namiot i okopali go przed deszczem.

Tubylcy tego nie robią.

- - Ale to są świeże ślady. Najwyżej pięć, sześć dni. To nie mogą być oni.

- - To prawda. Co jednak robią tu koczownicy? Powinniśmy ich wypytać. - - Spytajmy tubylców. Niektórzy z nich mogli widzieć przechodzących koczowników.

Tyl skinął głową w zamyśleniu.

- Dziwne, że dotąd nic o nich nie słyszeliśmy.

Wypyтали tubylców i dowiedzieli się, że dwoje koczowników, mężczyzna i kobieta, przeszło tędy, wędrując na południe.

- Na południe? - zapytał Neq. - Skąd przyszli? Tubylcy wzruszali tylko ramionami.

Nie dbali o to, co robią barbarzyńcy, ani dokąd się udają. Soi i Nieuzbrojony poszli na północ, tych dwoje stamtąd wracało. Ich drogi mogły się przeciąć.

W tej sytuacji Tyl i Neq zawrócili na południe. Poszli śladem nieznanym. Droga prowadziła niebezpiecznie blisko Złych Krajów. Wkrótce dowiedzieli się więcej szczegółów.

Przed nimi wędrowali brzydki, małomówny mężczyzna oraz ładna kobieta, którzy unikali towarzystwa i posuwali się szybko naprzód. Tyl wypytywał mieszkańców okolicznych wiosek, podczas gdy Neq badał teren w poszukiwaniu dalszych śladów. Pewnego popołudnia, gdy podniósł wzrok, ujrzał przyglądającego mu się, dziwnego mężczyznę. Był on wielki, kudłaty i przygarbiony, jego skórę pokrywały cętki.

W rękach trzymał pałki własnej roboty. Na pierwszy rzut oka przypominał raczej bestię ze Złego Kraju niż koczownika. Był jednak tym drugim. Zdążył już przyjąć postawę bojową.

Jego długie ramiona i masywna klatka piersiowa świadczyły o dużej sile. Musiał być

groźnym wojownikiem. Pałki...

Cętkowana skóra...

- Var Pałki! - krzyknął zdumiony Neq.

Tamten odpowiedział mu, lecz brzmiało to jak warczenie. Skupiwszy się, Neq zdołał rozróżnić słowa.

- Śledziłeś mnie od wielu dni. Podaj mi powód, dla którego to robisz.

Neq odkrył swój miecz.

- - To jest wystarczający powód. Musisz jednak najpierw odpowiedzieć na moje pytania. Szukałem cię przez długi czas.

- - Odmieniec! - zawołał Var chrapliwym głosem, ujrawszy ręce Neqa. - Czy znasz zasady walki w Kręgu?

Neq był zdumiony.

- - Ty mówisz o Kręgu? Ty, zabójca dzieci?

- - Nigdy! - ryknął Var, skacząc w stronę Neqa. Z jego nogami było coś nie w porządku.

Choć miał na nich buty, nie stawiał ich jak człowiek. Prawdziwa bestia w skórze koczownika... Łatwo się było domyśleć, co zrobił z Soli. Prawdopodobnie ją zjadł!

Var uderzył. Neq odbił jego cios, uśmiechając się ponuro. Nie obawiał się drewnianej broni. Najpierw jednak musiał się dowiedzieć...

Var okazał się zręczniejszym wojownikiem, niż wskazywał na to jego wygląd. Gdy Neq uskoczył w bok, zrobił to samo tak, że stanął z nim twarzą w twarz. Jedna pałka pomknęła w stronę twarzy Neqa, podczas gdy druga zablokowała cios jego miecza. Wyglądało na to, że Var nie raz już walczył przeciw broni Neqa. Neq mógł za to używać szczypiec do blokowania ciosów, podczas gdy jego miecz przecinał ze świstem powietrze. Najpierw spróbował uderzyć w pałkę przeciwnika, by przeciąć ją na pół. Wolał rozbroić tego potwora stopniowo, powoli, nie czyniąc mu krzywdy.

Aż do chwili, gdy dowie się prawdy...

- - Zanim cię powalę - wychrypiał Var - podaj mi swoje imię.

- - Neq Miecz.

Uprzejmość wymagała, by przedstawić się nawet zwierzęciu.

Var walczył przez chwilę, wyraźnie zastanawiając się nad czymś.

- Słyszałem o tobie - mruknął strosząc brwi.

Nie okazywał jednak strachu, jedynie ostrożność.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie był on niedouczonego niedołęgą. Sposób walki Vara był niezwykle. Miał on przy tym mniej lat od Neqą i był od niego wyższy, pomimo swego garbu. Z pozoru prymitywne, pałki Vara były mocniejsze niż się zdawało. Blokował nimi ciosy miecza z dużą pewnością. Ostrze grzęzło w drewnie zamiast odbijać się od niego, a to było bardzo niebezpieczne. Pałki Vara wybijały szybki rytm na metalowych kończynach Neqą. Siła uderzeń zmuszała go do cofania się. Gdyby miecz nie był częścią jego ciała, Neq szybko zostałby rozbrojony.

Var atakował z wielką zawziętością i zręcznością. Znakomicie utrzymywał równowagę. Nie zatrzymując się ani na chwilę, zrzucił z nóg buty i odsłonił nagie, pokryte zrogowaciałą skórą stopy. Od tej chwili nie poruszał się już niezgrabnie. Był zdumiewająco zwinny, lecz nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów. Neq zrozumiał, że ma przed sobą mistrza pałek. Dotąd napotkał tylko dwóch wojowników walczących pałkami z podobną siłą i zręcznością. Pierwszym był Tyl, a drugim Soi... którego miejsce pobytu Var musiał znać.

Jednakże pałki nie były mieczem, a miecz Neqą nie był jak inne. Nie można go było wytrącić z dłoni. Choć Neq nie był już młody, nie znał w dzisiejszych czasach nikogo, oprócz Tyła, kto mógłby mu sprostać w uczciwej walce. Var był w stanie powstrzymać go przez pewien czas, z pewnością jednak w końcu zacznie popełniać błędy. Bardziej doświadczony Neq spokojnie czekał na ten moment.

Neq parował ciosy przeciwnika, szukając okazji do zadania decydującego uderzenia.

Było to trudne, gdyż Var tańczył wokół niego na swych kopytach, a czasami unikając cięć pochylał swą kudłatą głowę niemal do kolan. Nie odsłaniał jej jednak ani na chwilę.

- Wiele potrafisz, człowieku o żelaznych rękach - mruknął Var. - Jak przystało namiestnikowi Wodza.

Neq przestał na chwilę walczyć. Była to okazja, aby dowiedzieć się czegoś. Jeśli Var zamierzał uspić jego czujność za pomocą rozmowy, to i tak mu się to nie uda. - - Ty też wiele potrafisz. Słyszałem, że Nieuzbrojony uczył cię osobiście.

- - Wódz nie żyje - odparł Var, zwalniając atak.

Neq pozwolił, by tempo osłabło, lecz wciąż zachowywał czujność. Towarzyszka Vara mogła być w pobliżu, gotowa zadać zdradziecki cios. Jaka kobieta związałaby się z tego rodzaju mężczyzną, jeśli nie kobieta-zwierzę?

- Nie zdołałbyś zabić Nieuzbrojonego.

- Nie w Kręgu - odrzekł ponurym głosem Var. Neq zeszywniał. W tym momencie przeciwnik mógłby go trafić, gdyby był czujny. Po chwili wznowili wymianę ciosów.

- - Podążał za tobą Soi, Mistrz Wszystkich Broni. Jego również nie zdołałbyś zabić.

- - Nie pałkami.

Tym razem Neq zeszywniał celowo, oferując przeciwnikowi pozorną szansę. Var jednak nie uderzył. Był albo za sprytny, albo za głupi.

- - Przyznajesz, że zabiłeś ich drogą zdrady?

- - Promieniowanie.

Ta jego cętkowana skóra! Neq przypomniał sobie teraz, że opowiadano, iż chłopiec-zwierzę potrafił wyczuć promieniowanie i ominąć gniazda Rentgenów, prowadząc innych w pułapkę. A więc była to prawda. Var zgubił zarówno swego przyjaciela, jak i wroga,

zwabiając ich do Złego Kraju. Teraz odważył się wrócić ze swą dziwką, sądząc, że o jego zbrodni nie wiadomo, lub zapomniano.

A więc ci, których poszukiwał Neq, zginęli. Musiał się jednak dowiedzieć jeszcze jednego.

- - Soli... dziecko Helikonu. Var naprawdę się uśmiechnął.

- - Soli już nie istnieje. Neq zaniemówił na moment.

- Promieniowanie? - spytał w końcu ze zgryźliwą ironią. Var jednak uniknął odpowiedzi na to pytanie. Neq uznał, że w jego przeciwniku ocknęły się resztki sumienia.

- Nie mamy powodów do sporu - odezwał się Var. - Pokażę ci Varę.

Neq wykorzystał szansę i jego miecz trafił celnie.

Rozdział trzynasty

Tyl wrócił o zmierzchu, prowadząc kogoś.

- Neq! Neq! Popatrz, co znalazłem w wiosce!

Neq podniósł wzrok znad mogiły, którą formował. Gdy tamci podeszli bliżej, ujrzał, że przybysz jest kobietą.

- Tak się cieszę, że cię znalazłam! - zawołała.

Neq spojrział na nią z niedowierzaniem. Była Odmieńcem! Mimo zimna miała na sobie spódniczkę i bluzkę, a jej długie, ciemne włosy były związane na sposób Odmieńców.

Była też śliczna.

- - Neqa... - szepnął. Przypomniawszy sobie z bólem swą ukochaną, choć w rzeczywistości między obiema kobietami nie było większego podobieństwa. Nieznajoma była tylko schludna aż do przesady, podobnie jak panna Smith, oraz piękna na jej delikatny sposób. Zupełnie nie pasowała do otaczającej ich dziczy. Inteligentna, wykształcona, niewinna... Serce Neqa zabolalo, jak ukłute sztyletem. - - To jest jedna z dwóch osób, które śledziliśmy - oznajmił Tyl. - Poszła na zwiady do tej samej wioski, co ja, i gdy się spotkaliśmy...

- - Wędrowała z koczownikiem? - zapytał Neq, wciąż oszołomiony jej podobieństwem do Neqi.

- - Jestem Vara - odparła. - Wędruję z mężem. Powinien być gdzieś w okolicy.

Neq ciągle nie mógł się otrząsnąć z oszołomienia.

- - Var Pałki?

- - Tak! Czy go spotkałeś? Sądząc z tego, co mówi Tyl, mamy wspólne zadanie.

Neq zrozumiał potworną prawdę. Dotknął stopą świeżo usypanego grobu.

- Tak... spotkałem go.

Tyl spojrział na niego i na mogiłę. Odgadł wszystko. Sięgnął po miecz, lecz zamarł z dłonią na rękojeści i odwrócił wzrok.

Vara podeszła do mogiły, usunęła ostrożnie fragment kamiennej obudowy i wykopała smukłymi palcami świeżą ziemię oraz piasek. Neq przyglądał się temu. Wreszcie ukazała się stopa z tępyimi, kopytkowymi palcami. Vara dotknęła jej i wyczuła chłód. Był wieczór. Vara wpatrywała się w zdeformowaną stopę aż do chwili, gdy zapadła całkowita noc. Potem zakryła ją delikatnie ziemią, zasypała otwór i ponownie ułożyła kamienie.

- - Obaj moi ojcowie nie żyją - powiedziała pełnym smutku głosem. - Teraz mój mąż również zginął. Cóż mam zrobić?

- - Spotkaliśmy się. Walczyliśmy ze sobą - rzekł Neq nieswoim głosem. - - Służyłem Solowi - odezwał się Tyl z ciemności. Nie patrzył na Neqa. W jego głosie brzmiał tak

wielki ból, jakiego Neq nigdy dotąd nie słyszał. - Służyłem Nieuzbrojonemu. Var Pałki był moim przyjacielem. Zabroniłbym ci wstępować z nim do Kręgu, gdybym był pewien tego, co podejrzewałem. Gdy ujrzałem Varę, upewniłem się.

Spotkałeś się z Varem zbyt wcześnie.

- - Nie wiedziałem, że był twoim przyjacielem - odrzekł Neq łamiącym się głosem.

-

Znałem go tylko jako podstępного zabójcę. Jako mordercę dziecka z Helikonu. - - Osądziłeś go źle - odpowiedział Tyl tym samym spokojnym tonem, jakim przemawiała Vara. - Był odważny w walce, lecz łagodny. Posiadał też bezcenny talent.

- - Var zabijał tylko w ostateczności - dorzuciła Vara. - A i wtedy nie zawsze. Neq czuł się coraz gorzej, choć była to uczciwa walka. Uderzył za szybko, jak to już nie raz zdarzyło się przedtem. Jego miecz wyprzedził rozum. Mógł przerwać walkę i poczekać na powrót Tyla. Teraz musiał bronić swego czynu.

- - A jaki miał powód, by zabić dziecko Sola? Vara zwróciła się ku niemu w ciemności.

- - Ja jestem dzieckiem Sola.

Neq poczuł mdłości na myśl, że kolejny raz dopuścił się nie usprawiedliwionego zabójstwa. Wiedział, na co się zanosi.

- - Zabił Soli na Górze Muz, gdy miała osiem lat. Wszystkie opowieści, które słyszałem, zgadzają się co do tego.

- - Wszystkie oprócz jednej - odparła. - Tej, która jest prawdziwa. Powiedział, że mnie zabił, aby zwycięstwo przypadło koczownikom i obaj moi ojcowie mogli być znowu razem. Nie mogłam jednak wrócić, by powiedzieć Solowi prawdę, a Nieuzbrojony szukał Vara, by wyrzucić na nim zemstę...

- - Zemstę!

To słowo było jak przekleństwo!

- Musieliśmy więc uciekać. Dotarliśmy aż do Chin i gdy osiągnęłam odpowiedni wiek, przyjąłam jego bransoletę. Soli już nie istnieje.

Dopiero teraz Neq rozpoznał jej twarz, mimo że nie było już nic widać. Miała rysy swej matki! Strój kobiety-Odmienca nie pozwolił mu dostrzec tego od razu.

- - Chłopiec, z którym Var wędrował na północ... - szepnął. - To była dziewczynka z ukrytymi włosami.

- - Tak. Żeby nikt się nie dowiedział, że nie zginęłam.

- - Soi również was ścigał, nie wiedząc... musiał spotkać Nieuzbrojonego po drodze!

- - Poznali prawdę w Chinach. I poświęcili życie, wnosząc radioaktywne kamienie do nieprzyjacielskiej twierdzy, aby umożliwić nam ucieczkę. Var zawsze uważał, że to przez niego zginęli, ale to była moja wina. Wiedziałam, że to zrobią. Var czuł się winny... Pewnie dlatego nie zaprzeczył oskarżeniom Neqa. Teraz przejęta przez tamtego wina spadła na Neqa podwójnym ciężarem. - - To była pomyłka - odezwał się wreszcie Tyl. - Var ogłosił, że zabił reprezentanta Góry. Sam Helikon podpalono i zniszczono, by pomścić to morderstwo. Mniejsza o to, kto to zrobił. Neq o niczym nie wiedział. Tylko ja zdawałem

sobie sprawę, że Var nie zabiłby dziecka. Wiedziałem też, jakie warunki zwykła stawiać Sola. Była łaskawa dla Vara, lecz z pewnością ceną za to było życie jej córki.

- - Tak - przyznała Vara. - Mój mąż mówił, że poprzysiągł zabić człowieka, który mnie skrzywdzi. Ponadto przez długi czas zachowywał powściągliwość, mimo że mnie kochał...

Neq przypomniał sobie uwagę Soli na temat bezpłodności Vara. Co za straszna, szalona kobieta!

- Wiedziałem jednak, że to mogło się zdarzyć - ciągnął Tyl. - Góra Muz jest wysoka i stroma, a na jej szczycie leżą głazy, które można ciskać w dół. Gdybyś zaatakowała go kamieniami, podczas gdy się wspinał, mógłby być zmuszony do podjęcia walki zanim

dowiedziałby się kim jesteś. Istniała więc możliwość, że cię zabił, i nie miałem prawa zabronić Neqowi pojedynku z nim, dopóki się nie upewniłem. To był mój błąd. Ja jestem winien śmierci twojego męża...

- Nie! - krzyknęli Neq i Vara jednocześnie.

Ponownie zapadła cisza. Wszyscy troje patrzyli w przeszłość. Cała rozmowa wydawała się czymś nierzeczywistym, choćby ze względu na to, iż głosy dobiegały z ciemności. Uczucia Neq zamarły.

- - Dlaczego mnie nie przeklinasz? - szepnął. - Dlaczego nie płaczesz?

Zabiłem...

- - Zabiłeś go, ponieważ nic nie rozumiałeś - odparła Vara. - Część winy spada na mnie, ponieważ zgodziłam się udawać martwą. Dziś w nocy wszystko ci wytłumaczę.

Jutro

cię zabiję. Potem będę opłakiwać was obu.

Mówiła poważnie. Była podobna do panny Smith, która umarła jako Neqa. Zmieniła imię, była cudowna ponad wszelkie wyobrażenie i wierna swemu mężowi. Neqa próbowała zabić Yoda, gdy ten przygotowywał się do obcięcia rąk Neqowi. Czy Vara mogła uczynić mniej?

Yod zabił Neqę przypadkiem. Teraz Neq przez przypadek zabił Vara. Wina była jednakowa i tak samo musiało być z zemstą.

Varze nie uda się jej osiągnąć, podobnie jak jemu. Neq zgiął rękę w łokciu, odchylił głowę i dotknął mieczem swego gardła. Powinien był umrzeć już dawno. - Domagam się zapłaty, o której ci mówiłem - odezwał się Tyl, zaskakując Neqą w chwili, gdy jego mięśnie naprężyły się do ostatniego pchnięcia. W takiej chwili! Neq miał jednak dług honorowy i musiał go spłacić.

- - Wymień ją.

- - Zwróć to, co dzisiaj zabrałeś.

Neq zwlekał z odpowiedzią, starając się zrozumieć znaczenie słów Tyła. Nie mógł przecież przywrócić Vara do życia.

- - Zrób to, co masz zrobić, przed świtem - powiedziała spokojnym głosem Vara. - Gdy wstanie dzień zabiję cię w Kręgu.

- - W Kręgu? - Neq nie mógł zgłębić również znaczenia jej słów. Kobiety przecież nie walczyły. - Jakiej broni używasz?

- - Pałek.

Ponury nastrój nie zdołał zgasić ciekawości Tyła.

- - Więc Soł rzeczywiście uczył cię walki!

- - Tak. Codziennie ćwiczyliśmy razem wewnątrz Góry. Miał nadzieję, że któregoś dnia zabierze mnie z Helikonu, lecz Sosa nie chciała na to pozwolić. Ćwiczyłam bez przerwy. W głosie Tyła pojawiła się nuta z troskania.

- Same ćwiczenia nie zmieniają kobiety w mężczyznę. Moja córka jest starsza od ciebie i ma już własne dziecko. Nie przeżyłaby jednak tylu lat, gdyby usiłowała naśladować mężczyzn. Krąg nie jest dla ciebie.

- Mimo to. Prawdziwe dziecko Sola!

- - Ten mężczyzna... - przekonywał ją Tyl. - Ten mężczyzna, Neq Miecz, był drugim wojownikiem w Imperium po mnie w chwili, gdy odszedł Nieuzbrojony.

 Nie ma teraz dłoni, lecz nadal ma broń. Dzięki temu stał się groźniejszy niż przedtem, gdyż nie można go rozbroić. Jego miecz jest szybszy niż jego umysł. Sądzę, że żaden wojownik nie może się z nim mierzyć.

- - Mimo to.

- - Nie mogę pozwolić na tę walkę - powiedział Tyl.

- - Twoje pozwolenie nie jest konieczne - odrzekła chłodnym tonem. - - Var był moim przyjacielem. Nauczył mnie strzelać z pistoletu. Boleję nad jego śmiercią podobnie jak ty. Muszę ci jednak powiedzieć: nie podnoś pałek przeciwko Neqowi Mieczowi. Nie możemy powtórzyć tego strasznego błędu. - - Var był dla mnie czymś więcej niż przyjacielem - zauważyła zjadliwie.

- - Mimo to.

- - Nie masz prawa - odrzekła.

Tyl nie odpowiedział jej i rozmowa urwała się.

Neq nie wiedział czy on, lub ktoś z pozostałych, spał tej nocy. Koszmar, w którym trwał, przypominał sen. Nie można go było odróżnić od jawy. Powoli nadszedł świt.

Vara zmieniała strój. Nie przypominała już wyszukanej lalki-Odmieńca. To musiało być przebranie na użytek okolicznych wieśniaków, którzy ubierali się podobnie do Odmieńców. Chciała się poruszać wśród nich swobodnie. Teraz miała na sobie strój koczowniczeki.

Długie, rozpuszczone włosy spływały z obu stron na ramiona i owijały się wokół kształtnych wzgórków jej piersi. Była olśniewająca. Miała ze sobą pałki, których używał Var. Neq ponownie poczuł dreszcz. Zgodnie z obyczajem panującym wśród koczowników pochował broń Vara razem z nim. Rozcinał mieczem ziemię, kopał ją, szczypcami przenosił kamienie... Ta praca zajęła mu kilka godzin. W rękach Vary były jednak pałki Vara! Widniały na nich świeże ślady miecza. Neq potrafił rozpoznać uszkodzenia pozostawione przez swoją broń równie łatwo, jak ludzką twarz.

- - Będę walczyła z tobą tak, jak ty walczyłeś z moim mężem - oznajmiła Vara. - Zabiję cię, jak ty zabiłeś jego, i pochowam, jak ty jego pochowałeś. Z honorem.

Dopiero wtedy rozpocznie się moja żałoba.

- - Neq nie będzie walczył z kobietą - powiedział Tyl. - Znam go równie dobrze, jak znałem Vara.

Vara uniosła pałki i stanęła obok usypanego grobu.

- Może walczyć albo uciekać, jak zechce. Tutaj jest Krąg! Przy mogile mego męża.

Cały świat jest Kręgiem. Zemszczę się.

Te słowa uderzały Neqa niczym ciosy pałek. Jej uczucia tak bardzo przypominały to, co on sam czuł w chwili, gdy zginęła Neqa! Nie potrafił wybaczyć Yodowi i jego plemieniu

gwałcicieli. Nie wybaczył im do dziś. Jedynie ostrze jego zemsty zmieniło cel. Zwróciło się teraz przeciwko całemu społeczeństwu bandytów i jego korzeniom, którymi były popioły Helikonu. Nadal jednak była to zemsta. Jak mógł jej powiedzieć, że życie za życie to za mało?

- Var był moim przyjacielem - powtórzył Tyl. - Okrył mnie wstydem przed moim plemieniem, gdy był jeszcze dzieckiem, dzikim chłopcem ze Złego Kraju. Gdy stał się mężczyzną, chciałem go za to ukarać w Kręgu, lecz Sola wstawiła się za nim, gdy go rozpoznałem...

Vara zacisnęła dłonie na pałkach i zaczęła zbliżać się do Neqą. W jej oczach dostrzegł bezlitosny żal, ten sam, który on niegdyś odczuwał. Taki żal odsuwał na bok myśl o honorze, pozwalał na bezmyślne morderstwa i nie prowadził do niczego. Neqą był jednak winny. Zabił bez powodu. Nie użyje swego miecza, by powiększyć zło... Tyl stanął pomiędzy nimi.

- Var był moim przyjacielem - powtórzył jeszcze raz. - Chętnie pomściłbym go sam. Tej walki jednak zabraniam.

Vara nie odpowiedziała. Uderzyła jedną pałką Tyła, nie spuszczać wzroku z Neqą. To nie było słabe uderzenie zadane kobiecą ręką. Vara umiała się posługiwać bronią.

Cios był błyskawiczny i mocny.

Tyl przyjął go na przedramię.

- A więc uderzyłaś mnie - powiedział łagodnie, choć na jego skórze pojawiła się sina pręga. Gdyby to uderzenie zadał silny mężczyzna, lub gdyby Tyl był na nie nieprzygotowany, ręka zostałaby złamana.

- Pozwól teraz, że pójdę po broń, gdyż jest to już moja walka. Vara czekała jak porażona. Było oczywiste, że nie chciała walczyć z Tyłem, a już zwłaszcza w tej chwili. Uderzyła go jednak, a on nie miał broni. Zgodnie z Kodeksem Kręgu nie miała teraz wyjścia.

Tyl wydobyl pałki. Neqą odetchnął z ulgą. Gdyby Tyl wyciągnął przeciw niej miecz, jej śmierć obciążałaby sumienie Neqą. Na szczęście Tyl pragnął ją tylko powstrzymać.

Dlaczego jednak zadawał sobie ten trud? Najpierw przeszkodził Neqowi, gdy ten chciał popełnić samobójstwo, teraz nie pozwalał Varze go zabić. Chronił jego życie, choć sam powinien być zadowolony, gdyby się zakończyło.

Vara zrzuciła suknie i stanęła nago. Nie zważała na chłód. Była najpiękniej zbudowaną kobietą, jaką Neqą kiedykolwiek widział. Miała pełne piersi i wąską talię. Dobrze wyrobione mięśnie nie ujmowały jej kobiecości. Czarne, sięgające do bioder włosy powiewały ze szmerem.

Pełne piersi... Neqą był zafascynowany. Każda z nich była okrągła i kształtna. Kiedyś, tak dawno temu, śpiewał serenady do podobnych piersi... Było słuszne, że piersi te szukały na nim zemsty.

Tyl jednak stał pomiędzy nimi i jeśli Vara pragnęła oszołomić go swą kobiecością, i w ten sposób zmniejszyć jego czujność, to zapomniała, że ma on córkę starszą od niej.

Przystąpiła do walki, zniecierpliwiona postępowaniem Tyła. Pragnęła tylko dobrać się do Neqą. Ten zaś nawet się nie poruszył.

Pałki furczały i uderzały. Drewno trafiało w metal. Lepsza broń helikońskiej produkcji oraz więcej lat doświadczenia, niż liczyła sobie Vara, zapewniały Tyłowi przewagę. Parował jej uderzenia bez wysiłku.

Neq nie potrafił się zmusić do zainteresowania walką lub jej wynikiem. Podwójny wstrząs wywołany nie uzasadnionym zabójstwem Vara oraz pojawieniem się Vary i ujawnieniem jej tożsamości sprawił, że opanowało go całkowite zniechęcenie. Odkryć, co było nie w porządku w Helikonie? Nie potrafił nawet ustalić, co było nie w porządku z nim samym!

Tymczasem mężczyzna i kobieta walczyli ze sobą. Vara uchylała się przed ciosami Tyła i obracała błyskawicznie. Włosy omiatały jej piersi i biodra niczym lekki płaszcz. Nagle zza tej ruchomej osłony wyskoczyły pałki, by uderzyć mocno w nadgarstek Tyła.

Sprytny manewr! Vara władała pałkami lepiej niż jej mąż.

Tył jednak cofnął szybko dłoń z ich drogi i skontrolował w sposób, który sprawił, że Vara zatoczyła się do tyłu ze znacznie mniejszą gracją. - Bardzo pięknie, dziewczynko! Twój ojciec, Soi, rozbroił mnie w podobny sposób i uczynił swym poddanym jeszcze zanim się urodziłaś. Dobrze cię wyszkolił! Vara nie wiedziała, że od tamtej pory Tył nigdy więcej nie przegrał walki na pałki.

Gdyby Neq był na jego miejscu, poczucie winy uniemożliwiłoby mu nawet najprostszą obronę. Gdyby jednak zdołał się przemóc, to tańczące piersi Vary pojawiające się i znikające za zasłoną z czarnych włosów oszołomiłyby go całkowicie i uczyniły niezdolnym do uderzenia tak pięknego, gibkiego ciała. Kobiecość Vary była równie groźną bronią, jak jej pałki.

Nagle odwróciła się i wymierzyła kopniaka w tył, próbując uderzyć Tyła piętą w kolano. I tym razem zdążył się on odsunąć.

- Nieuzbrojony, twój drugi ojciec, okaleczył mnie takim ciosem, gdy zdobywał Imperium. Odkąd jednak moje kolana wyzdrowiały, nabrały sprytu i już nigdy nikt ich nie zranił - stwierdził Tył.

Jeśli Vara nie domyślała się dotąd, że walczy z drugim wojownikiem dawnego Imperium, teraz z pewnością już to rozumiała. Tył nie był młody, lecz nic poza mieczem Neqą nie mogło mieć nadziei na pokonanie go w Kręgu. Vara miała piętnaście lat i była kobietą. Tych przeszkód nie była w stanie przezwyciężyć. Tył, rzecz jasna, jedynie zbijał jej ciosy. Nie zależało mu na tym, by zranić dziewczynę. Chciał ją jedynie przekonać, by zaniechała zemsty. Lecz Varę niełatwo było przekonać. Kręciła się w kółko, blokowała uderzenia i zasypywała Tyła gradem ciosów. Znała zdumiewająco dużo różnych sztuczek, ale żadna z nich nie mogła zrównoważyć większego zasięgu ramion, siły i doświadczenia Tyła.

W końcu, zdyszana, ustąpiła na tyle, by zadać pytanie:

- - Czego żądasz, wojowniku?

- - Neq zabił Vara w uczciwej walce. Podobnie jak ja mógłbym teraz rozbroić ciebie, tak Neq mógł pokonać Vara. Ja sam nie odważyłbym się stawić Neqowi czoła z pałkami. Wyrzeknij się swojej zemsty.

- - Nie! - zawołała i ponownie zasypała go lawiną uderzeń. - - Nie! - krzyknął Neq. - To nie była uczciwa walka! Var przestał atakować i opuścił gardę, mówiąc, że nie mamy powodów do sporu. Wtedy go zabiłem. Tył cofnął się, przerażony jego słowami.

- - To niepodobne do ciebie, Neq.

- - To aż za bardzo podobne do mnie! Zabijałem już przedtem niewinnych ludzi. Nie zrozumiałem tego w porę. Myślałem, że to błąd albo podstęp. Mój miecz... - - Zaprzestań walki, dziewczyno - powiedział Tyl, takim tonem jakby Vara była jego córką, a ich walka zabawą.

Kobieta znieruchomiała.

- - Neq, stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji - rzekł Tyl powoli.

- - Pozwól jej się zemścić. To sprawiedliwe.

- - Tego zrobić nie mogę.

- - Przyznajesz, że zabiłeś go podstępnie! - wybuchnęła Vara.

- - Tak. Podobnie jak innych.

- - W imię zemsty? - spytał Tyl patrząc na niego badawczo. - - W imię zemsty - przyznał Neq, pragnąc by to wszystko skończyło się jak najszybciej i na zawsze.

- - W imię zemsty - powtórzyła Vara. Na jej policzkach pojawiły się łzy. - - Mogłeś go jednak zabić w uczciwej walce - stwierdził Tyl. - I myślałeś, że mścisz się za nią.

- - Źle zrozumiałem jego gest. Nie pozwoliłem mu się wytłumaczyć. Zabiłem go bez powodu. Jestem już zmęczony zabijaniem, mieczem i życiem - Neq zwrócił się w stronę Vary. - Chodź, wdowo. Uderz. Nie podniosę broni przeciwko tobie.

- - Jeśli to zrobisz - zwrócił się do niej Tyl - staniesz się winna tej samej zbrodni, którą chcesz pomścić. Świadomie.

- - Mimo to - odparła podchodząc i unosząc pałkę.

- - Zrozum go najpierw. Dopiero wtedy będziesz usprawiedliwiona. Dowiedz się kim jest i jakie są jego plany.

- - Bez względu na to kim jest i co planuje, nie zwróci mi tego, co mi ukradł! - krzyknęła.

- - Mimo to.

Zakłęła po chińsku, rzuciła pałki na ziemię i wybuchnęła płaczem. Nie miała już wyjścia. Podobnie jak Neq.

Rozdział czternasty

- - Przekuć? - zapytał kowal z niedowierzaniem. - To jest stal wykuta i zahartowana przez Starożytnych. W moim palenisku nawet nie zmięknie. - - Więc odłam to - odrzekł Neq.

- - Nie zrozumiałeś mnie. Potrzebny by mi był specjalny młot i diamentowe wiertło, żeby naruszyć ten metal. Nie mam takich narzędzi.

Kowal przesadzał, gdyż miecz Neqą wykuto nie wcześniej niż kilkanaście lat temu w Helikonie. Jednakże mieszkańcy północy mieli dużo rzeczy sprzed Wybuchu - posiadali broń palną, grzejniki oraz trochę działających maszyn i przez to czuli większy podziw dla Starożytnych. Neqą również ogarnęło to uczucie, gdy się dowiedział, co przechowywano w Helikonie. Być może kowal był przesądny. Tak czy owak, nie chciał się podjąć tej pracy.

- Muszę się od tego uwolnić - powiedział stanowczo Neq.

Jak długo miał miecz, pozostawał zabójcą. Kto będzie następną ofiarą? Vara? Tyl? Doktor Jones? Miecz musiał zniknąć.

Kowal potrząsnął głową.

- - Musiałbym odrąbać ci rękę poniżej łokcia, a to by cię zapewne zabiło, gdyż nie mamy tu doktora, który opatrzyłby ci ranę. Odszukaj człowieka, który ten miecz przymocował. Niech ci go teraz zdejmie.

- - On jest trzy tysiące mil stąd.

- - Będziesz więc musiał ponosić go jeszcze przez jakiś czas. Zawiedziony Neq spojrzął na swój miecz. Lśniące ostrze stało się dla niego przekleństwem. Nie zazna spokoju, dopóki będzie ono częścią jego ciała. Rozejrzał się po kuźni. Nie zamierzał zrezygnować tak łatwo. Na wszystkich ścianach wisiały metalowe przedmioty: końskie podkowy, lemiesz, siekiery i worki pełne gwoździ.

Wszystko to było dziełem kowala. Najwyraźniej znał się on na swojej robocie.

Musiało mu się nieźle powodzić. W jednym kącie kuźni wisiał zakrzywiony kawał metalu z umocowanym doń szeregiem płytek różnej wielkości. Neq nie umiał sobie wyobrazić, do czego mogło to służyć.

Oczy kowala podążyły za jego wzrokiem.

- - Czy wy koczownicy wiecie, co to jest muzyka?

- - To harfa! - zawołał Neq. - Zrobiłeś harfę!

- - Nie ja - odparł ze śmiechem kowal. Delikatnie zdjął instrument ze ściany. - To nie jest harfa. Nie ma strun. Ale to rzeczywiście instrument muzyczny. Cymbalki. Popatrz, to jest czternaście płytek ustawionych od największej do najmniejszej. Każda wydaje inny ton.

Dałem za to sto funtów budowlanych gwoździ. Nie jestem muzykiem, ale kocham piękną robotę w metalu! Nie mam pojęcia, kto je zrobił, ani kiedy. Może przed Wybuchem.

Gra się na nich pałeczką. Posłuchaj.

Kowal, bardzo ożywiony, wyjął małą, drewnianą pałeczkę i zaczął uderzać nią w płytki.

Dźwięk przywołał na myśl dzwonki. Każdy ton był czysty i rozbrzmiewał długo. To było piękne.

Neq słuchał, zachwycony. Przebudziły się dawne, przyjemne wspomnienia. Był czas, gdy jego głos był znany równie szeroko, jak jego miecz... Działo się to przed upadkiem Imperium i okropnościami, które nastąpiły później. Potem śpiewał dla Neqi... Nie mógł pozbyć się miecza, ani przekuć go na lemiesz, co żartobliwie radził mu kiedyś doktor Jones, ale za to wpadł mu do głowy inny pomysł. Wystarczy, jeśli uczyni swą broń nieprzydatną do walki.

- - Te cymbalki - rzekł - przymocuj do mojego miecza tak, by nie można ich było zdjąć.

- - Do miecza! Taki cudowny instrument?! - kowal był przerażony.

- - Mam różne rzeczy na wymianę. Czego za nie żądasz? - - Chyba oszalałeś! Za nic nie sprzedam ich bezmyślnemu barbarzyńcy, który je tylko zniszczy. Ozdoba do miecza. Czy nie rozumiesz? To jest instrument muzyczny!

- - Znam się na muzyce. Daj mi tę pałeczkę.

- - Nie pozwolę ci się zbliżyć do takiego antyku! Wynoś się z mojej kuźni! Neq zaczął unosić miecz, powstrzymał się jednak. To właśnie był odruch, który znienawidził - najpierw miecz, potem rozum. Musiał przekonać kowala, a nie zastraszyć go.

Ponownie rozejrzał się wkoło. Przy wielkim kowadle stała beczułka z wodą. Chciało mu się pić. Wędrował z Tyłem i Varą przez cały dzień. Przyszedł do wioski pod wpływem

naglej myśli, która nawiedziła go, gdy ujrzał kuźnię. Gdyby tylko zdołał wytłumaczyć kowalowi...

Cały dzień już wędrujemy Bez choć jednej kropli wody.

Czystej, zimnej wody!

Dan i ja obaj spragnieni

Tylko odrobiny wody.

Czystej, zimnej wody!

Kowal popatrzył na niego zdumiony.

- Umiesz śpiewać! Nigdy nie słyszałem piękniejszego głosu!

Neq nie wiedział, że zaśpiewa. Nagle poczuł, że chce i może to zrobić, i trwające sześć lat milczenie zostało przerwane.

- Znam się na muzyce - powtórzył.

Mężczyzna zawahał się, po czym przesunął cymbałki w jego stronę.

- Popróbuj z tym.

Neq ujął pałeczkę w szczypce i uderzył w jedną z płytek. Dźwięk przeszył go dreszczem. Był doskonalszy niż jakikolwiek ludzki głos. Zmienił ton i zaczął uderzać cały czas w tę samą płytkę, by poddać sobie rytm.

Bardzo zimno jest tej nocy

Nie ma znikąd pomocy

Gwiazdy lśnią jak bryłki lodu - czystej, zimnej wody!

Kowal zamyślił się.

- Nigdy bym w to nie uwierzył! Potrzebujesz ich do grania?

Neq skinął głową.

- Nie chodziło mi o cenę. Teraz rozumiem, że trudno by ci było na nich grać, jeśli nie byłyby odpowiednio przytwierdzone. Tak, to się da zrobić... musiałbym przylutować je do klingi... ale już nigdy nie będziesz mógł walczyć. Zdajesz sobie z tego sprawę? Dobili targu i kowal wykonał robotę. Neq Miecz zmienił się w Neq Cymbałki. - - Na co? - zapytała zdumiona Vara. Popatrzyła na niego podejrzliwie. - Przekułeś swój miecz na co?

- - Na cymbałki. Instrument muzyczny. Na moim mieczu było zbyt wiele krwi.

Odwróciła się, rozgniewana. Tyl uśmiechnął się.

Szli na południowy wschód. Tyl i Neq wracali do doktora Jonesa, aby złożyć mu raport.

Vara, choć o tym nie wiedziała, była właśnie tym raportem. Ona jedna pozostała przy życiu spośród tych, którzy mogli wyjaśnić przyczyny zagłady Helikonu. Sama Vara była przekonana, że idzie z nimi tylko po to, aby się zemścić na Nequ. Nie zamierzała pozwolić mu uciec.

Tyl nie wszczynał żadnych rozmów, Neq tym bardziej nie miał ochoty na pogawędki, a Vara była w żalobie. Mieli do pokonania prawie trzy tysiące mil. Miało im to zająć trzy lub cztery miesiące. Nie była to przyjemna podróż.

Musieli jednak ze sobą współpracować, gdyż tubylcy często odnosili się do nich wrogo.

Maszerowali przez kraj, który niegdyś nosił nazwę zachodniej Kanady. Mieli zamiar przejść pomiędzy południowymi brzegami wielkich jezior, a północną granicą najgorszego ze Złych Krajów. Tyl miał mapę Odmieńców. Wynikało z niej, że taka droga istnieje.

Codziennie ktoś musiał poszukiwać pożywienia. Każdej nocy ktoś musiał stać na warcie.

Trzeba było również uważać na bandytów. Początkowo większą część tej pracy wykonywał Tyl. Później Vara zaczęła mu pomagać.

Neq, pozbawiony miecza, nie mógł ani walczyć, ani zdobywać żywności. Był zależny od pozostałych dwojga. Ta sytuacja upokarzała go, ale nie skarżył się. Wyrzekł się broni i zamierzał wytrwać w tym postanowieniu. Jedyne, co mógł robić, to stać na straży, lecz wymagało to powstrzymywania się od snu, co nie było łatwe po dwunastu godzinach marszu każdego dnia.

Pewnej nocy, gdy obozowali nad rzeką, Neq szukając pocieszenia zaczął uderzać koniuszkiem szczypiec o płytki cymbałków. Nie próbował na nich grać od chwili, gdy opuścił kuźnię. Teraz nie zabrzmiało to jednak jak należy. Dźwięk metalu uderzającego o metal irytował go. Wyjął więc drewnianą pałeczkę i zaczął trącać nią płytki. Szło mu coraz lepiej.

Po chwili opanował instrument. Pozostała dwójka spała. Neq stwierdził nagle, że może zagrać całą melodię. Zaczął więc nucić, dopasowując głos do czystych tonów instrumentu.

Muzyka i śpiew wypełniły go radością.

I nagle na wolność wyrwał się głos, który uspiony przetrwał czas zemsty i zabijania.

Neq zaśpiewał, przygrywając sobie na cymbałkach:

Powiedz tylko, że zechcesz być moja

A będziemy szczęśliwi we dwoje

Fale rzeki powoli nas mijają

Gdy stoimy nad brzegami Ohio.

Jego głos, mimo podziwu kowala, nie był tak dźwięczny jak niegdyś. Instrument jednak dał Neqowi wycucie rytmu, którego dotychczas mu brakowało. Duch melodii wypełnił byłego wojownika osobliwym zachwytem.

Kołysał się, śpiewając, opanowany ową piękną, dręczącą wizją. Młoda kobieta stojąca nad brzegiem rzeki nie zgodziła się poślubić zalotnika, który groził jej nożem przystawionym do piersi, a w końcu ją zabił. Ponura historia, ale piękna piosenka. Była jedną z jego ulubionych, dopóki życie nie uczyniło jej bliską rzeczywistości. Oczy Neqa zaszyły łzami.

- Czy swoją żonę również zabiłeś?

Nie zdziwiło go, że Vara nie śpi. Wiedział, że nie może zaśpiewać głośno, nie wzbudzając jej ciekawości, lub gniewu.

- - Chyba tak.

- - Pytam tylko dlatego, że muszę - wyjaśniła z goryczą. - Tyl zażądał, bym cię poznała, zanim cię zabiję. Zauważyłam, że nie masz bransolety. - - Ona była Odmieńcem - odparł. Nie obchodziło go, co myśli Vara.

- - Odmieńcem? Co masz wspólnego z Odmieńcami?

- - Pragnę odbudować Helikon.

- - Kłamiesz! - krzyknęła, zaciskając ręce na pałkach, które zawsze nosiła ze sobą.

Neq spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

- - Jestem zabójcą, ale nie kłamcą. Odwróciła się.

- - Powinnam była cię zabić! - syknęła.

- - Czy chcesz, by Góra pozostała martwa?

- - Nie!

- Powiedz mi więc, czym był dla ciebie Helikon? Więziono cię tam, a na koniec zdradzono. Czy mimo to go nie nienawidzisz?

- - Helikon był moim domem! Kochałam go! Przyjrzał się jej w świetle księżyca, zakłopotany.

- - Czy więc chcesz go odbudować, podobnie jak ja?

- - Nie! Tak! - krzyknęła i rozplakała się.

Neq dał jej spokój. Wiedział, czym jest żaloba i palące pragnienie zemsty. A także poczucie daremności. Vara odczuwała boleśnie to wszystko, podobnie jak on po śmierci Neqi.

A nawet teraz. Mogą minąć miesiące, a nawet lata, zanim Vara wróci do siebie i nie będzie już wtedy taka ładna.

Ponownie uderzył w płytki cymbałków, wydobywając nową melodię. Gdy zaśpiewał, Vara nie sprzeciwiła się.

Znam mojej miłej kroków brzmienie I znam jej włosów cudne lśnienie...

Tyl nie obudził się, choć ich rozmowa nie była cicha.

- - Gdy pierwszy raz ujrzałam mego męża - powiedziała Vara - stał na płaskowyżu na szczycie Góry Muz, spoglądając w dół zza krawędzi urwiska. Mógł spuścić na mnie kamień, lecz nie uczynił tego, gdyż nigdy nie postępował nieuczciwie. - - Dlaczego ktoś miałby rzucać na ciebie kamień? - zapytał Neq. Zaniepokoiła go wzmianka o zmarłym.

- - Mielіśmy stoczyć ze sobą pojedynek. Przecież wiesz o tym.

- - Dlaczego Bob wysłał dziecko?

Czy prawda wreszcie znalazła się w zasięgu ręki?

- Po walce, gdy było zimno, przytulił mnie do siebie, bym nie dygotała z zimna.

Użytył mi swego ciepła, gdyż zawsze był szlachetny.

Ich cele były różne.

- - Czy ty ogrzałbyś swego wroga, gdyby mu było zimno? - zapytała.

- - Nie.

- Sam widzisz. Var był dawcą życia, nie śmierci. Chciała go zranić i udało jej się to.

Jak mógł oddać tej smutnej dziewczynie to, co jej odebrał? - Zasadzka - szepnął Tyl. - Dobrze zastawiona. Zbyt późno ją dostrzegłem. Wy uciekajcie, a ja będę osłaniał odwrót.

Neq i Vara mimowolnie wymienili spojrzenia. Żadne z nich nic nie zauważyło, lecz jeśli Tyl powiedział, że jest tu zasadzka, to na pewno tak było. Las wydawał się opustoszały.

Vara odwróciła się i ruszyła tam, skąd przyszli. Neq podążył za nią, podczas gdy Tyl zagwizdał od niechcienia i udał się pod drzewo, jakby miał zamiar opróżnić pęcherz. Było już jednak za późno. Pułapka się zamknęła, a oni znaleźli się w jej środku. Z przodu, z tyłu i z boków pojawili się uzbrojeni mężczyźni. Zaczęli się do nich zbliżać. Mieli ze sobą maczugi, drągi i pałki, lecz, co dziwne, żadnych mieczy ani sztyletów.

Teraz Neq zrozumiał, dlaczego nie ujrzeli pułapki wcześniej. Bandyci wyszli z dołów wykopanych w ziemi, które z wierzchu były pokryte darnią i zamaskowane liśćmi tak, że dopóki się nie otworzyły, nie można ich było dojrzeć.

Napastnicy bardzo się napracowali przygotowując tę zasadzkę! Nie mieli też ostrej broni! Dlaczego?

Vara podbiegła do Tyła. Oboje stanęli z pałkami w rękach, opierając się o siebie plecami. Neq pozostał na miejscu. Odruchowo chciał unieść miecz, ale przypomniał sobie, że nie

jest już uzbrojony. Gdyby dołączył do Tyła i Vary, byłby im tylko zawadą. Napastnicy otoczyli ich. Neq przypomniał sobie wydarzenie sprzed sześciu lat, gdy wrogie plemię otoczyło ciężarówkę. Gdyby zdołał ich dostrzec na czas, Neqa by żyła!...

- Poddajcie się - powiedział przywódca napastników.

Nikt nie odpowiedział. Zbyt dobrze znali sposoby postępowania bandytów, by wiedzieć, że śmierć w walce będzie łatwiejsza. Tak staranne przygotowania z pewnością nie służyły jedynie zdobywaniu nowych członków plemienia!

- Poddajcie się, albo zginiecie! - zawołał herszt. Jeden krąg ustawił się wokół Tyła i

Vary, drugi wokół Neqa.

- - Kim jesteście?

- - Tyl, Mistrz Dwóch Broni.

- - Vara... Pałki.

Przywódca zastanowił się.

- Słyszałem o tylko jednym Tyłu, Mistrzu Dwóch Broni. Jego terytorium leży daleko stąd.

Tyl nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Pałki miał przygotowane. Miecz wisiał w zasięgu ręki.

- Jeśli to on, nie weźmiemy go żywcem - stwierdził przywódca. - Ani jego kobiety.

Vara nie raczyła wyprowadzić go z błędu. Jej pałki również były gotowe. - - Dlaczego miałyby wędrować bez swego plemienia? - spytał inny mężczyzna. - I to z dziewczyną tak młodą, że mogłaby być jego córką?

- - Może to właśnie jest powód - odparł przywódca. Zbliżył się do Neqa. - Ten tutaj nic nie mówi i ukrywa swą broń. Kim jesteś?

Neq powoli uniósł lewą rękę. Płaszcz odsunął się i zabłysły stalowe szczypce. W grupie rozległy się szepty. Przywódca zawahał się.

- Słyszałem o człowieku, któremu obcięto rękę. Kazał przytwierdzić sobie miecz do kikuta i...

Neq skinął głową.

- Tamci też zastawiali zasadzki... - przypomniał. Otaczający go krąg przestał istnieć.

Mężczyźni cofnęli się w popłochu.

- - Mamy pistolet - oznajmił przywódca. - Nie chcemy was zabijać, ale jeśli się poruszycie...

- - Przechodzimy tędy tylko - odparł Neq. - Niczego od was nie chcemy. - Przemówił, aby odwrócić ich uwagę od Tyła, który mógł teraz niepostrzeżenie wydobyć własny pistolet. Mimo to bandytów było zbyt wielu, by wędrowcy mogli ich pokonać. Gdyby jednak miecz Neqa był wciąż narzędziem śmierci, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej.

- - To my chcemy czegoś od was - rzekł przywódca. - Żądamy przysługi. Jeśli zrobicie to, co chcemy, będziecie mogli odejść wolni z bogactwem naszego plemienia na plecach. Jeśli warn się nie uda, zginiecie.

Neq słuchając tego zadygotał z wściekłości. Temu nędznemu bandycie wydawało się, że jego groźby są coś warte! Skoro jednak wyrzekł się miecza, musiał teraz

przeżyć, lub zginąć bez niego.

- - Czego żądacie?

- - Spędźcie noc w lesie, w którym straszy. Neq parsknął śmiechem.

- - Boicie się duchów?

- - Nie bez powodu. W dzień nikomu nie dzieje się tam krzywda. Ten las to nasz najbogatszy teren łowiecki. Jest kilka mil stąd. Duchy atakują tych, którzy wchodzą tam w nocy. Najpierw używały ostrych broni, potem również tępych. Wygnajcie te demony. Spędźcie wśród nich noc i wróćcie żywi. Jeśli złamiecie czar, wynagrodzimy was hojnie.

Jedzenie, kobiety...

- - Zostawcie sobie te błahostki! Nakarmcie nas dzisiaj, a nocą rzucimy wyzwanie waszym duchom. Nie dlatego, że tego chcecie, lecz dlatego, że tamtędy biegnie nasza droga.

- - Czy nie odkryjesz miecza podczas pobytu w obozie?

- - Nie odkryję prawej ręki, jeśli nikt mnie nie zaczepi.

- - A ty? - herszt zwrócił się do Tyla.

- - Ja też.

Vara również skinęła głową.

Otoczający ich mężczyźni powoli opuścili broń.

Gdy słońce skłaniało się ku zachodowi, zaprowadzono ich na skraj nawiedzonego lasu.

Wyglądał zwyczajnie; brzozy, buki, jesiony, trochę sosen, a gdzieniegdzie polany gęsto porośnięte trawą. Króliki uciekały im spod nóg. Rzeczywiście był to dobry teren łowiecki!

- - Czy są w pobliżu znaki ostrzegające przed promieniowaniem? - zapytał Tyl. - - Trochę. Ale niebezpieczeństwo minęło. Mamy tykającą skrzynkę. Rentgeny już stąd odeszły.

- - A mimo to ludzie giną - rzekł Tyl.

- - Tylko nocą.

Zatem nie wchodziło w grę promieniowanie.

- - Gdyby Var był z nami... - zaczęła Vara, lecz urwała w pół zdania. - - Dziesięć mil stąd - powiedział wódz plemienia - mamy drugi, mniejszy obóz w dole rzeki. Czasami musimy przejść z jednego obozu do drugiego po zmierzchu i jesteśmy zmuszeni iść wokół góry, a to jest dwa razy dłuższa droga. Nocą nikt nie może przejść przez tę dolinę.

- - Rzeka wygląda na czystą - zauważył Tyl. - Czy ścieżka jest bezpieczna?

- - Całkowicie. Nie ma tu żadnych naturalnych pułapek ani niebezpiecznych zwierząt. Kiedyś były ryjówki, ale je wytępiiliśmy. Teraz można tu spotkać jelenie, króliki, ptaki wodne, ale żadnych drapieżników.

- - Czy znajdowaliście zwłoki?

- - Zawsze. Niektóre bez śladów, inne okaleczone. Część ludzi zginęła w walce.

Nigdy nie wysłaliśmy nikogo samotnie, ani bez broni, a mimo to wszyscy giną. A więc polowali na spokojnych wędrowców, by ich tu wysłać - pomyślał Neq. Bardzo sprytne, ale niezbyt mądre. Najwyraźniej nie przyszło im do głowy, że temu, kto upora się z niebezpieczeństwem czyhającym w nawiedzonym lesie, może się nie spodobać sposób, w jaki tam trafił! Gdyby ktoś taki postanowił się zemścić, rozwiązanie zagadki mogłoby okazać się dla tubylców katastrofą.

Tyl wszedł w las. Neq i Vara podążyli za nim. Nie było jeszcze ciemno, lecz noc miała zapaść niebawem. Dziesięćmilowa nocna przechadzka po posiłku i odpoczynku, to byłby drobiazg, gdyby nie duchy...

Gdy tylko oddalili się od skraju lasu, natychmiast rozdzielili się i zeszli ze ścieżki, by zniknąć z oczu tubylcom. Nie odezwali się ani słowem. Cała trójka dobrze знаła ten sposób.

Największe niebezpieczeństwo mogło grozić im nie ze strony duchów, lecz ludzi z tyłu. Być może rozmyślnie zabijali oni obcych w tym lesie, by podtrzymać złą sławę okolicy.

Tyla, Neqa i Vary nikt jednak nie śledził. Cała trójka ostrożnie posuwała się naprzód.

Tyl szedł od strony lasu, Vara od strony rzeki, zaś Neq, który nie mógł walczyć, podążał środkiem. Trzymał w szczypcach żerdź, którą szukał wilczych dołów. Szedł przygarbiony, by uniknąć przeciągniętego przez ścieżkę drutu, czy zwisającej pętli. Spodziewał się natknąć na coś śmiertelnie groźnego, co jednak nie będzie duchem! W ciągu godziny pokonali mniej niż dwie mile. Jak dotąd nie pojawiło się żadne niebezpieczeństwo. Pozostało jednak jeszcze osiem mil i osiem godzin ciemności. Droga była piękna, nawet w nocy. Światło księżyca w pełni padało z góry na skryte w mroku drzewa. Cicho szemrała rzeka. Na ziemi leżały wielkie pnącza o kwiatach otwierających się w nocy. Ich piżmowa woń otaczała wędrowców coraz gęściej. Wiał lekki, odświeżający wietrzyk.

Neq zaczął wspominać dzieciństwo. Było mu wtedy dobrze. Miał rodzinę i siostrę. Cała późniejsza chwała i zagłada Imperium nie mogły się równać z tym, co było wtedy.

Dlaczego opuścił rodzinne strony?

Hig Pałki! Mężczyzna, który zwrócił swój lubieżny wzrok na Nemi, bliźniaczą siostrę Neqa! Chciał zacisnąć dłoń, w której trzymał miecz, wspominając swą wściekłość... lecz przypomniał sobie, że nie ma dłoni. Zabrał mu ją Yod Bandyta... Czas przestał płynąć. Przeszłość pomieszała się z terażniejszością. Było ciemno, lecz Neq widział wystarczająco wyraźnie w rozproszonym świetle księżyca. Zbliżał się do niego jakiś człowiek. Był to Yod, którego plugawe lędźwie... Neq błyskawicznie wyciągnął swój lśniący miecz i rzucił się na bandytę. Dziś w nocy jego głowa zostanie zatknięta na tyczce!

Trafił! Coś jednak było nie w porządku. Jego miecz wydał z siebie nieharmonijmy brzęk.

Przypomniał sobie, wstrząśnięty, że nie ma miecza. To były cymbałki.

Przyjrzał się uważniej swemu przeciwnikowi.

- Ty! Czemu podnosisz na mnie swój miecz? Zaskoczony Tyl cofnął się o krok.

- Neq! Wziąłem cię za kogoś innego. Ale on nie żyje... Na pewno jestem zmęczony.

Nie podniosłbym miecza przeciwko tobie.

Odstąpili od siebie. Obaj byli wstrząśnięci. Jak mogło dojść do takiej pomyłki? Gdyby cymbałki nie zadźwięczały, mogliby zacząć walkę i Tyl zabiłby go, zanim napotkaliby czające się w tym lesie niebezpieczeństwo!

Następna postać podeszła do niego z nienacka. Neq tym razem nie dał się zaskoczyć.

To nie był Tyl. To nawet nie był mężczyzna!

Neqa! Jasnowłosa panna Smith! Podbiegł do mej, by ją przytulić. - Minosie! - krzyknęła. Była naga. Jej piersi powędrowały w górę, gdy uniosła pałki.

Pałki? To nie mogła być Neqa! To musiała być... Vara. Przyszła, by go zabić.

Szukała zemsty. Opuściła jednak broń.

- Nie zdołam ci się oprzeć, Minosie. Chodź, nadzieję miej na swój potworny członek.

Pozwól tylko odejść Varowi.

Rozpostarła ramiona, jak gdyby chciała wziąć go w objęcia. Co się stało z nią, z nim i z Tyłem? Neq myślał, że widzi przed sobą Neqę, a teraz ona wzięła go za Vara. Czy Minosa, kimkolwiek on był. Tył zaatakował... Neq wycofał się, by zastanowić się nad tym, lecz w jego mózgu wciąż wirowały pomieszane ze sobą obrazy. Drzewa wydawały się groźne, rzeka wyglądała jak wielki wąż, nawet sama ciemność dusiła go. Czuł potrzebę walki, zabijania, niszczenia. Tył wrócił. Trzymał w rękach pałki. Vara również. Neq pośpiesznie zszedł im z drogi.

Ta sytuacja nie podobała mu się. Tył mógł żywić do niego jakąś urazę, a Vara miała powód, aby go zabić.

Tymczasem Tył natknął się na Varę.

- - Wynoś się z mojego obozu, ty dziwko! - krzyknął, podnosząc pałki. - - Nie, Bob, nie! - zawołała. Cofała się, lecz patrzyła mu prosto w oczy. - Jeśli mnie dotkniesz, zabiję cię!

Mieli zamiar walczyć ze sobą i to nie z powodu Neqą. Byli jak demony, krążące wokół siebie w mroku nocy, zbyt ostrożni, by zadać cios, zanim nie zdobędą pewności, że będzie on śmiertelny. Całkiem jak bandyci, zabójcy Neqi... Neq rzucił się do ataku unosząc miecz. Śmierć im obojgu! Zdarzyło się jednak coś, co nigdy dotąd mu się nie przytrafiło. Potknął się o leżące na ziemi pnącze i upadł jak długi.

Zbutwiałe igliwie i liście oblepiły mu twarz. Cymbałki ponownie wydały z siebie zupełnie nedorzecznym brzęk.

Neq podniósł się na czworaki, wypluwając ściółkę. Jego ciało zostało sponiewierane, lecz umysł na chwilę stał się jasny. To właśnie były duchy! Ogarnięci szałem ludzie, którzy atakowali siebie nawzajem! To była śmierć czająca się w tym lesie! Ponownie pojawił się zapach nocnych kwiatów, który wypełnił mu nozdrza. Las zawirował. Coś jak alkohol oszołomiło jego umysł.

Nadeszła pora, by się wziąć do zabijania! Duchy były tuż tuż. Neq zerwał się na równe nogi i zbiegł po stromym brzegu prosto do rzeki. Lodowata woda przywróciła mu pełną jasność umysłu.

Tutaj rzeczywiście czyhała śmierć. Kwiaty wydzielaly coś, co rozbudzało mordercze namiętności. Ten eteryczny zabójca nie pozostawiał śladów stóp. Duch lasu. Neq wiedział już, czym on jest, nie było jednak sposobu, by go uniknąć. Człowiek musiał oddychać!

Wstrząsy i zimno mogły zmniejszyć działanie kwiatów jedynie na chwilę. Zdradziecka woń znów przeniknęła przez nozdrza i płuca do jego mózgu, zmieniając widziany przez niego świat. Znowu nadeszły zwidy...

Miecz nie był tu właściwą bronią! Tylko samotny, nieuzbrojony człowiek miał szansę przeżycia, lecz któż poszedłby do tego lasu bez broni!

Neq spojrzał na błyszczące cymbałki. Metal lśnił łagodnie w świetle księżyca. Instrument na jego oczach znowu zaczął przybierać kształt miecza. Był to jednak widmowy miecz. Jego prawdziwa broń była martwa. Taki miecz mógł mu przynieść jedynie śmierć, gdyż stając do walki, byłby bezbronny, nie wiedząc o tym. Nagle Neq poczuł się bardzo samotny. Nigdy dotąd jego życie nie wydawało mu się równie bezcelowe.

Stuknął w miecz, odnajdując cymbałki za pomocą dotyku. Ich dźwięk! On przypominał mu, że to co widzi, nie jest prawdą. Neq zaczął wygrywać pojedyncze tony stojąc po pas w

wodzie, która wydawała mu się gęstą, ciepłą krwią. Dźwięki były piękne i czyste. Melodia zaczęła nabierać kształtu. Każdy ton zachowywał własne życie. Muzyka rozszerzała się, by ogarnąć cały świat. Był to marsz. Każde uderzenie wydawało się krokiem ku jasności. Dźwięki wznosiły się ku niebu.

Neq zaśpiewał:

Musisz przejść tę odludną dolinę Musisz przejść ją zupełnie sam! Nikt nie zrobi tego za ciebie...

Melodia dała mu wspaniałą, choć smutną moc i wyprowadziła go z rzeki na brzeg.

Musimy przejść tę odludną dolinę...

Dwie postacie - kobieta i mężczyzna - rzuciły się w jego stronę, lecz muzyka powstrzymała je. Oddział nut otoczył napastników i pozbawił ich woli walki. Neq śpiewał, piękniej niż kiedykolwiek w życiu.

Musimy przejść ją zupełnie sami Nikt nie zrobi tego za nas... Nagle tamte postacie przyłączyły się do niego: Musimy przejść ją zupełnie sami...

Z narastającą pewnością siebie Neq rozpoczął nową zwrotkę. Ociekając wodą ruszył wzdłuż ścieżki. Pozostała dwójka podążyła za nim.

Tylko strapiony człowiek Śpiewa strapioną pieśń!

Echo przyłączyło się do niego i zaśpiewali razem:

Tylko strapiony człowiek Śpiewa strapioną pieśń!

Dziś jestem strapiony, Lecz jutro będzie nowy dzień!

Zwycięski Neq nie milknął. Rzucił do boju wciąż nowe piosenki i zwrotki, gdy poprzednie traciły swą moc obezwładnione upiorną wonią. Szedł pewnie przez ciemny las.

Skupiony na słowach i melodii wyprowadzał swych towarzyszy z wrogiej okolicy.

Nagle było po wszystkim. Neq przestał śpiewać, stwierdziwszy, że ochrypl.

Maszerował śpiewając przez sześć godzin. Tyl i Vara byli przy nim. Potrzęsali głowami, jakby budzili się z koszmarne snu.

Wstawał świt.

Rozdział piętnasty

- - Trzymajcie się z dala od tubylców - ostrzegł ich Tyl. - Niech myślą, że zginęliśmy. W przeciwnym razie mogą nas zabić, aby chronić swą tajemnicę.

Będziemy dzisiaj spać w lesie.

- - W lesie, w którym straszy? - zapytała nerwowo Vara.

- - W dzień jest tam bezpiecznie. W nocy odwiedzimy go ponownie. - - Ponownie! - Neq nie mógł w to uwierzyć. - O mało się nawzajem nie pozabijaliśmy! Duchy...

- - Ocaliłeś nas przed nimi - odparł Tyl. - Twoja broń pokonała je i wyprowadziła nas stamtąd. Nasze zwycięstwo nie będzie jednak pełne, dopóki się nie dowiemy, co jest tego przyczyną i dlaczego to plemię bandytów wysyła tu niczego nieświadomych wędrowców. Z pewnością znają odpowiedź. Nie mogą być tak głupi, by żyć w pobliżu tajemnicy i nie zgłębić jej. Nigdy dotąd nie uciekałem, ani nie zostawiłem żadnego wroga za swoimi plecami.

Tyl miał rację. Zlekceważony nieprzyjaciel był podwójnie niebezpieczny.

- To są kwiaty - powiedział Neq. - Kwitną w nocy.

Tyl pozbył się swej broni.

- Ty weź pałki - powiedział do Vary. - A ty miecz, Neq. Neq nie mógł dobrze złapać miecza w szczypce, zrozumiał jednak, co chce zrobić Tyl.

Mistrz Dwóch Broni podszedł do kwitnącego pnącza i zerwał zamknięty pączek. Otworzył go, zbliżył sobie do nosa i powąchał.

- Słaby zapach. Nie ten sam.

Pociągnął nosem drugi raz, głęboko, a potem trzeci. Wtedy zaszła w nim zmiana. Źrenice nagle rozszerzyły mu się, a potem skurczyły. Szybko sięgnął po miecz. Po chwili uśmiechnął się i upuścił kwiat na ziemię.

- - To jest to! - krzyknął. - Podziałało na mnie, ale wiem, co się dzieje. Nie!

Nie zbliżajcie się jeszcze!

- - Nie powinniśmy zostawać tu na noc - stwierdziła Vara. - To rozpala nasze namiętności.

Tak było. Zemsta Vary jeszcze się nie dopełniła... Tyl podszedł do rzeki i zanurzył w niej głowę. Wrócił ociekający wodą, ale triumfujący.

- - Znamy już tego ducha!

- - Ale Vara ma rację - stwierdził Neq, zwracając mu miecz. - Raz nam się udało, ale byłoby lekkomyślnością narażać się na to ponownie.

Tyl zastanowił się.

- - Masz rację. Wiedziałem, że jestem pod jego wpływem, ale było mi to obojętne.

Gdybym miał broń...

- - Ze mną w nocy było tak samo - przyznał Neq. - Miałem jednak tylko piosenki. - - Te kwiaty są bronią - mruknął Tyl. - Z ich pomocą można by zniszczyć całe plemię. Gdyby inni o nich wiedzieli, sadzono by je wszędzie. Musimy je zdobyć dla siebie.

Vara potarła oczy. Nikt z nich jeszcze nie spał, a wkrótce mogli się pojawić tubylcy.

Tyl miał rację: bandytom zależało na zachowaniu tajemnicy, a nie na jej rozgłoszeniu. Zabici podtrzymywali złą sławę lasu. Dzięki nim inne plemiona nie przychodziły tutaj polować.

Rzecz jasna, ofiarami mogli być tylko obcy. Nadszedł czas, by ukryć się gdzieś i przespać.

Tyl skinął głową.

- Zbudujemy szałas nad wodą, tuż pod skarpą. Będziemy spać razem, nie wystawiając straży. Jeśli nas znajdą, możemy się bronić aż do zmięczenia albo wskoczyć do rzeki.

Tubylcy byli zbyt pewni siebie, lub zbyt głupi, by szukać dokładnie. Wędrowców nikt nie znalazł. Wypoczęci ruszyli w drogę gdy kwiaty zaczęły się otwierać. Oczywiście, nikt z bandytów nie pilnował skraju lasu. Przy okazji stało się jasne, dlaczego tubylcy unikali ostrej broni. Miecze i sztylety powodowały znacznie groźniejsze rany niż pałki i drągi, a zapewne miejscowym nie raz zdarzało się poczuć zapach kwiatów. - - A może kielichy zamykają się pod wpływem światła... - pomyślał głośno Tyl i skierował się prosto ku wielkiej grupie otwierających się właśnie kwiatów. - - Uważaj. Światło księżyca nie powstrzymało ich wczoraj - ostrzegł go Neq. - - Kto wie - odezwała się Vara. - Może właśnie dzięki temu udało nam się przedostać. Poczuliśmy tylko część ich zapachu...

- - Stańcie tam, skąd wieje wiatr - powiedział Tyl i wydobyl z plecaka małą lampę naftową. Była nieporęczna i dotychczas Tyl rzadko z niej korzystał. Zapalił lampę, nastawił płomień

na największą jasność, poprawił zwierciadło i podszedł do pnącza. Kwiaty zamknęły się powoli.

- A więc rzeczywiście otwierają się tylko w ciemności - rzekł Tyl. - Gdybyśmy wzięli pnącze ze sobą...

- - Zginęłoby - odparł Neq, zaniepokojony tym pomysłem.

- - Żywe pnącze, razem z ziemią. Umieścilibyśmy je w skrzynce, razem z tą lampą.

- - To broń! - zawołała Vara. Zrozumiała, co Tyl ma na myśli. - Można je zostawić wśród nieprzyjaciół...

Tyl skinął głową.

- - A gdy będą martwi zabrać je, włączyć światło i ruszyć w dalszą drogę - dokończył.

- - Przenośna zasadzka - stwierdziła Vara. Wydawało się, że jej oczy zalśniły w ciemnościach.

Jeszcze więcej zabijania - pomyślał z niechęcią Neq. Nie było temu końca. Jeśli nie miecz, to kwiaty... Ten plan miał jednak pewne zalety.

- - Ale czy to pnącze będzie rosło poza tym lasem? - odezwała się Vara. - To jest jakiś roślinny mutant, jedyny w swoim rodzaju.

- - Przekonamy się - stwierdził Tyl.

Oboje wykopali pośpiesznie jedno pnącze i przygotowali dla niego skrzynkę. Neq był jednak niespokojny. Jedno przeoczenie i kwiaty mogą ich zabić. To był niepewny sprzymierzeniec.

- Var umiał się poświęcać - zaczęła niespodziewanie Vara. - Zawsze mi pomagał, nawet gdy udawałam, że jestem chłopcem. Kiedy spaliśmy w śniegu i użądliła mnie ćma ze Złego Kraju, zaniósł mnie do jedynej gospody w okolicy, mimo że sam skręcił kostkę. Potem walczył broniąc mojego spokoju, choć ledwie mógł ustać. Był wyczerpany i stopa mu spuchła...

Neq musiał tego słuchać. Taki był człowiek, którego zabił. Nie zdoła wynagrodzić Varze tej straty, zanim nie pojmie, co jej odebrał. Rozumiał ją. Vara, nie mogąc użyć przeciw niemu broni, uciekła się do słów. Jej wspomnienia o Varze były dla Neqa torturą. Przypominając szlachetność zmarłego zwielokrotniała ból wywołany jego śmiercią. Jej postępowanie było zimne i przemyślane. Neq wiedział o tym, lecz nie miał nic na swoją obronę. Zabił jej męża, człowieka, który powinien być jego przyjacielem. Czasami, gdy ona mówiła „Var”, słyszał „Neqa”. Sam był teraz Yodem - zabójcą niewinnych. Pnącze przyjęło się dzięki opiece Tyła. Mały płomień lampy naftowej wystarczał do zamknięcia niebezpiecznych kwiatów. Zwykle jednak zostawiali roślinę w pewnej odległości od miejsca, w którym rozbijali na noc obóz, i pozwalali kwiatom się otwierać, by nie zakłócać zbytnio ich naturalnego rytmu życia. Nie obawiali się, że zjedzą je jakieś zwierzęta. Woń pnączy płoszyła je bardzo skutecznie. Czasami jednak, gdy wiatr zmieniał kierunek i zaczynał wiać z stronę obozowiska, trójka wędrowców musiała wyteżać wolę, by powstrzymać budzące się w nich mordercze instynkty.

Pewnego dnia natknęli się na kolejną zasadzkę. Zabarykadowali się wtedy w zrujnowanej gospodzie i bronili przez godzinę, trzymając bandytów w szachu dzięki pistoletowi Tyła. W tym czasie ukryte w ciemności pnącze otworzyło swe kwiaty. Neq zaczął śpiewać i grać na

cymbałkach, gdy tylko poczuł ich zapach. Tyl i Vara przyłączyli się do niego. Bandyci najpierw wybuchnęli śmiechem, a zaraz potem zaczęli kłócić się między sobą.

Woń kwiatów nie była zbyt silna, lecz bandyci byli agresywni i nie podejrzewali niczego.

Wkrótce zapanował wśród nich zamęt. Nie rozumieli, co się dzieje. Silne namiętności - zwykła rzecz u bandytów i innych wyrzutków, wystarczyły, by raz rozpoczęta awantura podtrzymywała się dalej sama.

Neq popełnił błąd i zaśpiewał piosenkę miłosną. Nagle z całą ostrością odczuł obecność Vary, która miała prawie szesnaście lat i była u szczytu kobiecości. Ogarnęło go podniecenie. Przestał zważać na wszystko, co zaszło między nimi. Tyl jednak był tuż obok i jego obecność sprawiła, że Neq zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zmusił się do zmiany piosenki. Kochać Varę? Bezpieczniej byłoby pocałować ćmę ze Złego Kraju! Był już czas ruszać w drogę.

- Naprzód, chrześcijańscy żołnierze! - zaśpiewał Neq. Słowa były niezrozumiałe, lecz duch melodii odpowiedni.

Przemaszerowali ze śpiewem przez dokonujące się wokół spustoszenie i jatkę. Tylko od czasu do czasu musieli się bronić przed atakiem. Niektóre pary połączyła ze sobą walka, inne miłość, gdyż kobiety również znalazły się tutaj. Jakaś kobieta i mężczyzna gryźli się nawzajem i dusili w samym środku miłosnego uścisku. Dzieci walczyły ze sobą równie zawzięcie, jak dorośli. Niektóre były już martwe.

Namiętności miały niebawem przeminąć, lecz to plemię już nigdy nie odzyska spokoju.

Słowne ataki Vary nie ustawały. Neq dowiedział się, jak Var uratował ją przed potworną maszyną w tunelu, tym samym, do którego on nie odważył się wejść, oraz w gnieździe kobiet-os, a potem jak zasłonił ją własnym ciałem przed strzałami przeznaczonymi dla niej. Walczył też z bogiem-zwierzęciem Minosem, by uratować ją od gwałtu i śmierci.

Var miał życie krótkie, lecz pełne przygód. Opowieść o nim zajęła Varze ponad miesiąc. W miarę jak posuwali się na południowy wschód klimat stawał się coraz cieplejszy, lecz język dziewczyny nie tracił na ostrości, a jej słowa wciąż były lodowate. Omówiwszy wszystkie cnoty swego zmarłego męża, Vara zaczęła wyliczać jego wady.

- Var nie był ładny - przyznała. - Był kudłaty i miał przygarbione plecy. Jego dłonie i stopy były zniekształcone, a skóra cętkowana.

Neq widział to wszystko, więc nie mógł pojąć, po co Vara to mówi.

- Jego głos był tak niewyraźny, że trudno go było zrozumieć. Tak. Gdyby Var miał wyraźniejszą wymowę, Neq mógłby zrozumieć więcej i powstrzymać ostatni cios.

- W ogóle nie umiał śpiewać. I tak go kocham.

Neq zrozumiał sens tej nowej taktyki. On sam był przystojny, pomijając okaleczone ręce oraz siatkę blizn, które zdobył w ciągu minionych lat. Miał gładki głos, nad którym dobrze panował. Umiał pięknie śpiewać. Vara wykorzystwała jego zalety przeciwko niemu, sprawiając, że zaczął się ich wstydić.

To przypominało działanie narkotyku zawartego w pnączu. Neq wiedział, do czego zmierza Vara, nie potrafił się jednak oprzeć. Musiał jej słuchać. Musiał nienawidzić samego siebie tak samo, jak ona nienawidziła jego. Był tylko nędznym zabójcą. Tyl się nie wtrącał.

W następnym miesiącu podróży nastrój Vary stał się szczególnie posepny. Jej słowa chybiały, gdyż Neq przyjmował z pokorą stawiane mu zarzuty. - Miałam wszystko! - zawołała nagle zrozpaczona. - Teraz nie zostało mi nic.

Nawet zemsta.

Zaczynała rozumieć.

Przez cały tydzień milczała. Potem oznajmiła:

- Nie mam nawet jego dziecka.

Var był bezpłodny. Jej ojciec, Soi, był kastratem. Została poczęta z jego bransoletą, lecz spłodził ją Sos Sznur, który potem, w Helikonie, dał swą bransoletę Sosie. Neq znalazł już tę skomplikowaną historię. Rozumiał dlaczego Nieuzbrojony, który ongiś był Sosem, ścigał Vara. Znowu zemsta! Vara jednak trudno było złapać, zwłaszcza w Złym Kraju, gdyż jego cętkowana skóra była wrażliwa na promieniowanie. Ta zdolność kosztowała go jednak utratę płodności.

- Moja matka, Sosa, była bezpłodna - płakała Vara. - Czy mnie również to czeka?

Tyl spojrzał znacząco na Neqą.

Var był dobry. Neq nie. Udowodniono mu to setki razy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, ku jego niesławie. To go jednak oszołomiło. Zrozumiał nagle, czego żądał Tyl.

Vara chciała mieć dziecko...

Wydawało się jednak, że nie wie, co powiedziała, ani nie rozumie, dlaczego Tyl powstrzymał ją przed natychmiastowym zabiciem Neqą. Co jednak działo się w umyśle Tyła? Jeśli uważał, że jest ważne, by Vara miała dziecko, były na to inne sposoby. Tyle sposobów, ilu było mężczyzn na świecie.

Dlaczego Neq? Jej nieprzyjaciel? Dlaczego hańba?

Istniała na to odpowiedź. Vara nie pragnęła jakiegokolwiek dziecka, lecz dziecka Vara.

Niemowlę, które urodzi, będzie Van - dziedzicem Vara, podobnie jak ona sama urodziła się jako Soli - dziecko kastrata Sola. Bransoleta, a nie mężczyzna, określała ojcostwo w oczach koczowników. Lecz który mężczyzna nadużyłby bransolety Vara i splamił własny honor, godząc się na podobne cudzołóstwo, bez względu na to jak piękna była Vara?

Oczywiście tylko mężczyzna pozbawiony własnej bransolety i o honorze tak splamionym zbrodniami, że jedna nieprawość więcej nie zrobi już większej różnicy.

Mężczyzna zobowiązany przysięgą do zwrócenia odebranego życia.

Tym mężczyzną był Neq!

Rozdział szesnasty

Teraz przyszła kolej na Tyła. Był to już trzeci miesiąc podróży. Początkowy gniew Vary przygasł i dziewczyna była teraz gotowa słuchać. Tyl zaczął ostrożnie. Jednego dnia zadał jej pozornie niewinne pytanie, na które odpowiedź zmusiła Varę do zastanowienia się nad własnym postępowaniem. Drugiego dnia zapytał o coś Neqą, przywołując jakiś drobny szczegół z jego przeszłości. W ten sposób pokazał, że Vara była najbliższej związana z Solem, a nie ze swym naturalnym ojcem, i z Sosą, a nie z Solą - prawdziwą matką. Ponadto, że Soi i Sosa żyli razem, świadomie nadużywając swych bransolet, by stworzyć rodzinę dla Soli.

- W Helikonie jest inaczej - zaprzeczyła Vara, broniąc ich. - Nie ma tam prawdziwych małżeństw. Za mało jest kobiet. Wszyscy mężczyźni dzielą się wszystkimi kobietami, bez względu na to, kto nosi bransolety. Inaczej byłoby niesprawiedliwie. Choć знаła prawdę, mówiła tak, jakby Helikon nadal istniał. - Czy Sosa również odwiedzała wszystkich mężczyzn? - spytał Tyl mimochodem, jakby - chodziło o jakiś drobiazg. - Nawet tych, których nie lubiła? - Nie. Nie było sensu, żeby to robiła. Nie mogła począć dziecka. Och, myślę, że jak ktoś nalegał, to od czasu do czasu... rozumiesz, była całkiem ładna. Ale to nie miało znaczenia. Naprawdę ważne w Helikonie było to, żeby kobiety miały dzieci. Podobnie jest wśród koczowników - pomyślał Neq.

- - A co by było, gdybyś tam została? - ciągnął Tyl.

- - Dlaczego miałabym być inna? Miałam tylko osiem lat, gdy opuściłam Helikon, ale już... - urwała.

Tyl nie odezwał się, więc po chwili Vara poczuła się zmuszona, by wyjaśnić:

- Jeden z mężczyzn... Chyba lubił młode dziewczynki... Nie czułam się jeszcze gotowa, więc zdzierałam go pałkami i to wszystko. Nigdy nie powiedziałam Solowi, bo mogłyby być kłopoty.

Z pewnością by były! Neq przypomniał sobie coś, co krzyczała w lesie kwiatów. Groziła wtedy jakiemuś napastującemu ją mężczyźnie.

- - Ale gdybyś była starsza... - nie ustępował Tyl.

- - Myślę, że bym z nim poszła. Tak to już jest w Helikonie. Uczucie nie ma tu nic do rzeczy.

- - Ale potem wyszłaś za Vara. Czy wróciłabyś z nim do Góry?

- - Tam właśnie się udawaliśmy! Musiała wytłumaczyć to dokładniej.

- - Var by to zrozumiał. Zatrzymałabym jego bransoletę. Vara była jednak naiwna.

Wciąż nie rozumiała, do czego Tyl zmierza.

Potem przyszedł kolej na Neq. Tyl prowadził te rozmowy w podobny sposób, dzień za dniem, w czasie gdy maszerowali, walczyli i odpoczywali. Neq odpowiadał niechętnie, lecz Tyl był sprytniejszy od niego. Zadawał takie pytania, że milczenie również było odpowiedzią.

Stopniowo zmusił Neq do opowiedzenia o tym co robił w Imperium, o jego mistrzowskim opanowaniu miecza oraz o zasadach, według których żył. O tym, że zabijał wiele razy jako wódz jednego z plemion Imperium, lecz nigdy poza Kręgiem, lub bez powodu. Że nie raz czynił to na rozkaz Sola, lecz nigdy na rozkaz Nieuzbrojonego, który nie starał się powiększać Imperium.

Vara wciąż była ponura. Nie podobało jej się to, co słyszała.

Potem Tyl przeszedł do historii życia Neq po upadku Imperium.

- - Dlaczego poszedłeś do Odmieńców?

- - Imperium się rozpadało, a wraz z nim społeczeństwo koczowników. Bandyci plądrowali gospody. Nie było żywności, dobrej broni ani innych towarów. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego Odmieńcy zaprzestali dostaw.

- - Dlaczego?

- - Byli zależni od Helikonu, a ich ciężarówki nie mogły się przedostać.

Powiedziałem więc, że pójdę się rozejrzeć.

Potem nastąpił opis tego, co Neq znalazł wewnątrz Góry. Obojętność Vary załamała się. Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Wiedziałem, że Helikonu już nie ma - płakała. - Zrobili to moi dwaj ojcowie, a my z Varem im pomogliśmy. Nie wiedzieliśmy jednak, że to było takie okropne... W ten sposób Tyl zdołał udowodnić, że Neq był w istocie obrońcą cywilizacji, podczas gdy Soł i Nieuzbrojony, a nawet Var, okazali się jej niszczycielami.

Wyobrażenia

Vary legły w gruzach!

Maszerowali w milczeniu przez kilka dni, po czym Tyl znowu zapytał:

- Czy udałeś się do Helikonu sam?

Neq nie odpowiedział. Mimo upływu lat te wspomnienia wciąż były otwartą raną. Nie chciał o tym mówić.

Nieoczekiwanie to Vara zaczęła pytać:

- Ożeniłeś się z dziewczyną-Odmieńcem! Pamiętam, że sam to przyznałeś. Czy ona była tam z tobą?

Neq wciąż milczał, lecz Tyl odpowiedział za niego:

- - Tak.

- - Kim ona była? Dlaczego tam się udała? - dopytywała się Vara. - - Nazywała się panna Smith. Była sekretarką doktora Jonesa, wodza Odmieńców - odpowiedział Tyl. - Pojechała z Neqiem, aby wskazać mu drogę i napisać raport. Jechali ciężarówką przez całą Amerykę. Ameryka to starożytna nazwa terytorium Odmieńców. - - Wiem - odparła krótko Vara.

- - Czy ona była ładna? - zapytała następnego dnia.

- - Tak - odrzekł Tyl. - Tak jak tylko cywilizowane kobiety potrafią być ładne.

- - Ja jestem ładna!

- - Być może ty również jesteś cywilizowana. Vara skrzywiła się na myśl o tym.

- - Umiała czytać?

- - Oczywiście.

Niewielu koczowników umiało czytać, lecz wszyscy Odmieńcy opanowali tę umiejętność.

Vara to potrafiła, ale Tyl i Neq nie.

Minął jeszcze jeden dzień.

- Czy była... prawdziwą kobietą?

- Odrzuciła Nieuzbrojonego, ponieważ nie chciał pozostać wśród Odmieńców.

Tym razem to Neq się skrzywił. W opowieści Neqi wyglądało to nieco inaczej.

- - I kochała Neqą? - zapytała Vara z niesmakiem.

- - A jak myślisz? - odrzekł Tyl z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Upłynął kolejny dzień.

- - Jak wykształcona, cywilizowana kobieta mogła go kochać?

- - Musiała wiedzieć coś, czego my nie wiemy - odpowiedział Tyl z ironią.

- - W jaki sposób zginęła? - nie wytrzymała w końcu Vara. W tym momencie Neq zerwał się na równe nogi. Bał się dowiedzieć, jak dużo Tyl o nim wie. Mistrz Dwóch Broni znał zawstydzająco wiele szczegółów z życia Neqą, choć przedtem nie dał tego po sobie poznać. Neq biegł przez las, aż zabrakło mu tchu, po czym rzucił się na suche liście i zaczął łkać. To było jak bezlitosne rozdarcie starej, głębokiej rany. Ból był nie do zniesienia.

Leżał tak przez pewien czas. Być może zasnął. Gdy zapadła ciemność, ujrzał ponownie krew na leśnej ściółce i poczuł ogień w odrąbanych rękach. Pod wpływem rozpaczy wywołanej utratą Neqi sześć lat stało się zaledwie sześcioma godzinami. Jaki jednak był sens zemsty, skoro każde plemię było równie krwiożercze jak to, które zniszczył? Każde z tych bandyckich plemion mogło zrobić to samo. Jedynym wyjściem było zamknąć na to oczy lub zniszczyć je wszystkie. Lub przynajmniej zniszczyć ich barbarzyństwo. Uderzyć w korzenie zła. Odbudować Helikon. Zamiast dokonać tego, stał się ofiarą rozgoryczonej dziewczyny, która uważała go za bezmyślnego barbarzyńcę. Nie bez powodu. Jak barbarzyńca mógł zniszczyć barbarzyństwo?

To wszystko było bez sensu. Nic nie przywróci do życia kobiety, którą kochał. Neqa leżała przy nim martwa i obojętna na wszystkie jego wysiłki. Po chwili wstał, by pochować zwłoki. Był barbarzyńcą, nie potrafił pomóc sam sobie, lecz mógł pomóc Odmieńcom. Kochał jedną z ich kobiet - właśnie tę. W pewnym sensie kochał przez to wszystkich Odmieńców. Nachylił się, aby dotknąć ciała. Wiedział, że jego ręka poczuje coś innego, to, co tu naprawdę leżało. Być może kamień. Dotknął ciała i to ciepłego. Ciała kobiety.

- Neqa! - zawołał w przyływie szalonej nadziei. Po chwili ją poznał.

- Vara - mruknął, odwracając się z niesmakiem. - Cóż to za nedorzeczny podstęp? Ruszyła za nim i objęła go od tyłu w pasie.

- - Tyl opowiedział mi... opowiedział, dlaczego zabijałeś. Ja zrobiłabym to samo! Niesłusznie cię oskarżałam!

- - Nie - odparł, bezskutecznie starając się odepchnąć jej ramiona szczypcami. - To, co zrobiłem, nic nie dało. Przyniosło tylko więcej żaloby. Poza tym zabiłem Vara.

Jego umysł znowu się zmącił. Vara wyglądała jak Neqa. - - Tak! - krzyknęła, wieszając się na nim, gdy ruszył naprzód. - Nienawidzę cię za to! Ale teraz rozumiem! Rozumiem, jak do tego doszło. - - Zabij mnie.

Błagano go o to samo, gdy polował na członków plemienia Yoda.

- - Wypełniłaś już wolę Tyła. Możesz to teraz zrobić.

- - Ale ty jeszcze nie spełniłeś jego życzenia! - Jej uścisk przybrał na sile. - - W pobliżu jest pnącze - zorientował się Neq. - Czuję jego zapach. Puść mnie zanim... zanim zapomnę.

- - Ja je przyniosłam! Po to, by między nami zapanowała prawda!

Odpychał jej ręce zamkniętymi szczypcami.

- - Między nami nie może być prawdy! Tyl chce, żebyśmy pohańbili nasze bransolety...

- - Wiem! Wiem! Wiem! - krzyczała. - Skończ już z tym, Minosie! Uwolnij mnie!

Wdrapała się na niego, sięgając ustami do jego twarzy. Była naga już od pierwszej chwili, kiedy jej dotknął. W ten sposób udawała trupa Neqi.

Narkotyk zawarty w kwiatach wzbudzał niesamowite odczucia. Pod jego wpływem Neq zareagował na tę kobiecą prowokację ze zwierzęcą namiętnością. Przycisnął Varę do siebie żywą częścią ramion i dotknął wargami jej ust.

Pocałunek był okrutnie słodki.

Rozluźniła się i przytuliła do niego mocniej. Szczypce uderzyły z brzękiem o cymbałki. Ten dźwięk otrzeźwił go na chwilę. W ciągu tego momentu oderwał się od niej.

Jego ciało płonęło z pożądania, lecz umysł krzyczał: hańba! Neq rzucił się do ucieczki.

Pobiegła za nim ręczo.

- Nienawidzę cię - wydyszała. - Nienawidzę twojej przystojnej twarzy! Twojego cudownego głosu! Twojego płodnego członka! Muszę jednak to zrobić! Wpadł po ciemku w zarośla. Odwrócił się gwałtownie, by nie zaplątać się w nie. Vara ponownie skoczyła na niego. Bronił się przed nią szczypcami. Starał się nie zrobić jej krzywdy, był jednak zdecydowany utrzymywać ją na odległość, dopóki narkotyk nie przestanie działać. Jak długo czuł do niej pożądanie, musiał powstrzymać jej zapach.

Teraz ona zaczęła walczyć z nim. Znalazła gdzieś po drodze jakąś gałąź i uderzyła go mocno. Przy drugim ciosie Neq odbił żerdź, schwytał ją w szczypce i wyrwał dziewczynie z ręki. Jednak nie zaprzestała ataku. Gołymi dłońmi uderzała go w czułe miejsca, wywołując przenikliwy ból. Naprawdę знаła sztukę walki Nieuzbrojonego! Neq mógł powalić ją w każdej chwili, uderzając wystarczająco mocno szczypcami. Jednak Vara nie zamierzała naprawdę go pokonać. Chciała tylko być jak najbliżej niego, by jego podniecenie stało się nie do przezwyciężenia.

Oddalili się jednak od pnączy. Powietrze stało się czyste, a umysł Neqa jasny. Nie miał już halucynacji i reagował normalnie. Zwyciężył. Vara zrozumiała to i zatrzymała się nagle.

- - A więc nie udało się - powiedziała takim tonem, jak gdyby chodziło o źle ugotowaną zupę. - Ale próbowałam, prawda?

- - Tak.

Czy można było ją zrozumieć? Kobieta?

- - I teraz widzimy prawdę.

- - Tak.

Neq zaczął podnosić się z ziemi. Vara rozplakała się.

- Ty potworze! Zabrałeś mi moją miłość i moją zemstę. Czy chcesz mi również zabrać moje poniżenie?

Nie byłaby bardziej poniżona niż on!

- Tak.

Ponownie rzuciła się na niego z płaczem i zaczęła go całować, przewracając go z powrotem na ziemię. Na jej ciele była krew, tam gdzie podrapały ją gałęzie i ciernie.

- - Zwracam się do ciebie po imieniu! Nequ Mieczu! Nie ma między nami żadnych podstępów. Żadnego oszustwa.

- - Ani poniżenia - odparł.

- - Ani poniżenia! Czy weźmiesz mnie jako kobietę, a ja wezmę ciebie jako mężczyznę? Niech tak się stanie!

To trwało już zbyt długo, a Vara była taka piękna! Wytrzymałość Neqa miała swoje granice.

- Niech tak się stanie - westchnął.

Kochali się pośpiesznie. Vara robiła więcej niż Neq, który nie mógł używać rąk. - - Nigdy z nią tego nie zrobiłem - wyznał zadowolony, lecz równocześnie rozgoryczony. - Bała się...

- - Wiem - odrzekła Vara. - Tak samo, jak ty.

Po chwili dodała:

- - Zrobiliśmy to już. Nie ma pomiędzy nami zobowiązań. Zostań, jeśli chcesz.

- - To jest tylko namiętność. Nie pragnę cię kochać.
- - Kochasz mnie już od miesiąca - odparła. - Tak, jak ja ciebie. Zostań. Neq został. Pierwszy raz posiadał kobietę. Vara musiała o tym wiedzieć, lecz nie okazała tego. Nie mówili nic. Nie było to już konieczne. Za drugim razem poszło znacznie lepiej. Vara pokazała mu pewne miłosne sposoby. Wydawało się, że ma ona w tej dziedzinie tyle doświadczenia, co Neq w walce na miecze.
Przede wszystkim jednak była to niczym nie skrępowana namiętność.

Rozdział siedemnasty

Miesiąc później ich podróż dobiegła kresu. Cała trójka stawiała się u doktora Jonesa.

Tyl przemówił w imieniu ich wszystkich. Opisał, jak Neq poszukiwał zaginionych ludzi, a potem swą wędrowkę z nim, spotkanie z Varem i Varą oraz podróż powrotną. Pomiął milczeniem tylko to, co zaszło pomiędzy Neqiem a Varą. - Z tego powodu Neq wyrzekł się miecza - zakończył Tyl. - Nosi teraz cymbałki.

Wciąż jednak potrafi być wodzem.

Doktor Jones skinął głową, jak gdyby usłyszał coś ważnego.

- Pozostali z pewnością wezmą to pod uwagę.

Tyl i Wódz Odmieńców udali się, by wezwać „pozostałych”. W tym czasie Neq i Vara wynieśli pnącze na zewnątrz, gdzie było więcej światła. Potem usiedli pod rozłożystym drzewem.

- Tyl będzie władcą Helikonu - powiedziała Vara. - Potrafi rozmawiać z Odmieńcami.

Neq zgodził się.

- Potrafi też skłonić ludzi do wspólnego działania...

- - Ty i ja i tak musielibyśmy działać razem - stwierdziła z kobiecą pewnością siebie.

- Ty zaproponowałaś odbudowę Helikonu i ty powinienes nim władać.

- - Z tym? - zapytał, odkrywając cymbałki.

- - Pod spodem wciąż jest miecz.

Neq uznał, że tłumaczenie jej, iż nigdy nie brano go pod uwagę jako przyszłego Wodza Helikonu, byłoby zbyt skomplikowane.

- Gdybym znów zaczął nosić miecz, musiałybyś mnie zabić - odparł.

Vara zmarszczyła brwi, zaskoczona.

- Myślę, że tak.

Mały, mniej więcej czteroletni chłopiec zauważył ich i podszedł bliżej.

- - Kim jesteście? - zapytał śmiało.

- - Neq Cymbałki.

- - Vara Pałki.

- - Ja jestem Jimi. Masz dziwne ręce.

- - Są z żelaza - wyjaśnił Neq. Zdziwił się, że chłopiec się nie przestraszył. - Służą do grania muzyki.

- - Mój tata, Jim, ma żelazne pistolety. Robi z nich bach!

- - Muzyka jest lepsza.

- - Nieprawda!

- - Posłuchaj.

Neq uniósł cymbałki, ujął pałeczkę w szczypce i zaczął grać. Zaśpiewał:

Pewien farmer szedł do miasta Hej! Bum-fa-le-la bum fa-le-la lej!

Ujrzał wronę na czubku drzewa Hej! Bum-fa-le-la bum fa-le-la lej!

- - Co to jest miasto? - zapytał chłopiec. Był pod wrażeniem.

- - Obóz koczowników z budynkami jak u Odmieńców.

- - Wiem, co to jest bum falela. Pistolet! Vara roześmiała się.

- - Chcę mieć takiego jak on - szepnęła.

- - Musisz się zgłosić do Jima Pistoleta.

- Następny razem - odparła, klepiąc się po brzuchu. Neq, wstrząśnięty, zaśpiewał dla chłopca następną zwrotkę:

Jednym ruchem wziął pistolet

Hej! Bum fa-le-la!

I zastrzelił z niego wronę

Hej! Bum fa-le-la!

- Mówiłem ci, że pistolety są lepsze!

Pióra zabrał na poduszkę

Hej! Bum fa-le-la!

A na widły jedną nóżkę

Hej! Bum fa-le-la!

- - Jak wielka była ta wrona? - zapytał zaciekawiony Jimi.

- - Mniej więcej taka - Neq zagrał głośny ton.

- - Aha - odpowiedział chłopiec, usatysfakcjonowany. - A co to jest?

- - Kwitnące pnącze.

- - Nieprawda.

- - Kwiaty otwierają się tylko po ciemku. Dziwnie wtedy pachną i sprawiają, że ludzie robią dziwne rzeczy.

- - Jak wrony z widłami? Vara ponownie się roześmiała.

- - Mniej więcej - odpowiedziała. Tyl wyszedł z budynku.

- - Już się zebrali - oznajmił.

Vara podniosła doniczkę z pnączem i weszli razem do środka. Jimi podążył za nimi.

- On ma dziwne ręce - rzekł chłopiec do Tyła - ale jest fajny. Wszyscy byli na miejscu: grupa starych Odmieńców o dziwnych imionach, których przyprowadził Neq, a także Dick Chirurg, Sola oraz kilku innych, których nie znał.

Najwyraźniej doktor Jones podczas jego nieobecności odnalazł więcej ludzi ze swojej listy.

Niektórzy z obecnych, mężczyźni i kobiety, byli koczownikami. Jimi podbiegł do jednego z zebranych, który z pewnością był Jimem Pistoletem. Był to niski, stary koczownik o złotych, kręconych włosach.

Vara, dotychczas spokojna, nagle złapała Neqę za ramię.

- - Kto to jest? - szepnęła, wskazując głową na jedną z obecnych kobiet.

- - Sola - odpowiedział, zanim zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza. Przerażona Vara chwyciła go kurczowo za ramię. To zachowanie było do niej zupełnie niepodobne. Tyl podszedł do nich.

- Sola... Vara. Znałyście się już kiedyś.

Sola nie zrozumiała go, gdyż nie słyszała o małżeństwie Vara, lecz pozostali dostrzegli podobieństwo, gdy obie kobiety stanęły obok siebie. - - Matka i córka... - powiedział Dick.

- - Obie są teraz wdowami - dodał Tyl.

Jego słowa wydawały się okrutne, lecz w rzeczywistości tak nie było. Tyl po prostu wyjaśnił od razu sprawę budzącą najwięcej niepewności. Dzięki temu nie będzie już więcej pytań na ten temat. To z kolei oznaczało, że inne, bardziej skomplikowane i niehonorowe związki nie zostaną ujawnione.

Mimo to sytuacja była niezręczna. Sola i Vara rozstały się trzynaście lat temu, kiedy ta druga była jeszcze małym dzieckiem. Co mogły sobie powiedzieć? Po raz drugi Tyl pośpieszył im z pomocą.

- Obie dobrze znałyście Vara. I Sola. I Nieuzbrojonego. Ja również ich znałem.

Będziemy musieli wkrótce porozmawiać o wielkich ludziach.

- Tak - odrzekła Sola. Vara przytaknęła milcząco.

- - Jak widzisz - powiedział doktor Jones do Neq - udało nam się pod twoją nieobecność pozyskać jeszcze trochę ochotników. Dobraliśmy ich tak starannie, jak to było możliwe i wierzymy, że stworzą dobry zespół. Oczywiście pod warunkiem, że pojawi się odpowiedni przywódca.

- - Widzę tu wielu przywódców - odrzekł Neq zastanawiając się, czego ten Odmieniec od niego chce.

- - Fakt zniszczenia poprzedniego Helikonu wskazuje, że jego przywództwo nie było odpowiednie - stwierdził doktor Jones. - Byliśmy więc zmuszeni do wprowadzenia pewnych ograniczeń.

Neq zastanowił się nad tym. Najwyraźniej proszono go nie tylko o poparcie, lecz o wyznaczenie przywódcy!

- - Wiem, że nie zgodzicie się współpracować z każdym, ale z pewnością możecie wybrać Tyła...

- - Wkrótce wracam do swego plemienia - odrzekł Mistrz Dwóch Broni. - Wykonałem już swoje zadanie. Nie jestem członkiem tej grupy. Nie opuszczę moich koczowników, ani nie zabiorę rodziny pod Górę.

Neq był zdumiony. A więc Tyl tylko wspierał plan odbudowy Helikonu, a nie kierował nim!

- - Słyszałem o Jimie Pistolecie - odezwał się znowu. - To on dostarczył Imperium broni do ataku na...

- - Popełniłem błąd! - przerwał mu Jim. - Nie chcę popełnić następnego. Nie mam zamiaru kierować tym, co niegdyś niszczyłem.

Najwyraźniej doktor Jones wcale nie przygotował wszystkiego tak starannie, jak się wydawało!

- - Jakie są wasze wymagania? - zapytał Neq Odmienca. - Umiejętność czytania i pisania? Znajomość Helikonu? Co jeszcze?

- - Te rzeczy byłyby wskazane - przyznał doktor Jones. - Bardzo mocno pragnęlibyśmy odnaleźć Nieuzbrojonego. Teraz jednak ważniejsze są inne cechy.

Musimy pracować z ludźmi, których mamy.

- - Dlaczego nie Neq? - zapytała Vara.

- - Zmieniłem swoje przywództwo na piosenki - roześmiał się zakłopotany. - Już nigdy nikogo nie zabiję.

- - To właśnie jest jedno z naszych żądań - powiedział doktor Jones. - Było za dużo rozlewu krwi.

- - W takim razie żądacie niemożliwego - odparł ponurym tonem Neq. - Helikon był zbudowany na krwi.

- - Ale nie zostanie na niej odbudowany! - zawołał doktor Jones z niezwykłą dla siebie gwałtownością.

- - Historia ujawniła, jakim szaleństwem jest opieranie się na przemoc i podstęp.

Wielu zebranych w pokoju ludzi skinęło głowami na znak zgody. Neq jednak pomyślał o tym, że trzeba będzie poskromić bandytów i zrozumiał, iż marzenie o cywilizacji wolnej od przemocy jest niemożliwe do zrealizowania. - Nequ Mieczu - odezwała się Sola. - Znamy twoją historię i nie potępiamy cię. Twierdzisz, że nikogo już nie zabijesz. Jak możemy ci uwierzyć, jeśli całe twoje życie opierało się na zemście wymierzonej za pomocą miecza? Neq wzruszył ramionami. Zrozumiał, że każdy, kto całkowicie wyrzekłby się przemocy, nie mógłby być dobrym przywódcą Helikonu. On sam nie chciał, ani nie mógł już zabijać, lecz podczas podróży zgodził się na zadawanie śmierci przy użyciu pnącza.

Zrozumiał, że oszukiwał samego siebie.

- - Weźcie go na swojego przywódcę! - zawołała Vara. - Wszyscy znaleźliście się tu dzięki niemu.

- - To prawda - zgodził się stary, chudy Odmieniec. - Ten mężczyzna przepędził bandytów oblegających moją placówkę i przekazał wiadomość, dzięki której nadeszła pomoc.

Ufam mu, bez względu na to, jakie inne czyny popełnił.

Teraz przemówił Jim Pistolet.

- Nie wątpimy w zdolności Neqa, lecz w jego umiejętność zachowania zdrowego rozsądku w trudnej sytuacji. Sam miałem ochotę kogoś zastrzelić, gdy dowiedziałem się, w jaki sposób zginął mój brat. Nie zrobiłem tego jednak. Człowiek, którego na całe tygodnie ogarniał morderczy amok, bez względu na przyczyny... - - Lubię go - odezwał się Jimi. - Ma grające ręce. Zdumiony Jim spojrzał na syna.

- - Ten mężczyzna to Neq Miecz!

- - Mówi, że muzyka jest lepsza od pistoletów, ale go lubię. - - Podzielamy twój plan - zwróciła się Sola do Neqa. - Potrzebny nam jednak przywódca nie ulegający łatwo emocjom. Taki człowiek, jak Nieuzbrojony. - - Nieuzbrojony zniszczył Helikon! - wybuchnęła Vara. - Czy ktokolwiek potrafi policzyć, ilu ludzi zginęło z jego powodu? Mówicie, że nie chcecie zabijać, a... Sola spojrzała na nią ze smutkiem.

- - On był twoim ojcem.

- - Właśnie dlatego to zrobił! Myślał, że nie żyję. Mówicie o kilku tygodniach amoku... zaś on planował to przez lata. Potem przez lata podążał za Varem, choć nic mi się nie stało! A ty żądałaś od Vara, by zabił człowieka, który mógłby mnie skrzywdzić, mimo że nikt tego nie zrobił. Jakie masz prawo go osądzać? Neq widział, jak jego żonę, sekretarkę doktora Jonesa, piękną i wykształconą kobietę, zgwałciło prawie pięćdziesięciu mężczyzn.

Później obcięli mu ręce i zostawili go w lesie razem z jej trupem. Powinien był wtedy umrzeć, zdołał jednak wymierzyć sprawiedliwość tym zbrodniarzom. Teraz pragnie powstrzymać wszystkich bandytów przez odbudowanie Helikonu, a wy, hipokryci, gadacie o przeszłości!

- - Gdzie jest Var Pałki? - zapytała cicho Sola. Vara nie mogła na to odpowiedzieć.

- - Zabiłem go - odrzekł Neq.

Ich twarze mówiły same za siebie. Wielu z tych ludzi znało Vara, a wszyscy słyszeli o nim. Wątpliwe, aby uczynili swym wodzem jego zabójcę. Dlaczego zresztą mieliby to robić?

- - To był przypadek - odezwał się Tyl. - Neq sądził, że Var zabił Soli, gdy była dzieckiem, podobnie jak my wszyscy. Każdy z nas postąpiłby podobnie. Zanim poznał prawdę, Var już nie żył. Z powodu tej pomyłki Neq wyrzekł się miecza. Ręczę za jego uczciwość, podobnie jak Vara.

- - To zauważyliśmy - powiedział Jim takim tonem, że Vara zaczerwieniła się po koniuszki uszu.

Jim spoglądał na pnącze.

- Zademonstruj swoją broń - zwrócił się Tyl do Neqa. Neq odsłonił cymbalki.

Rozległy się zdumione szepty, gdyż nikt z zebranych jeszcze ich nie widział.

- Użyj jej - powiedział Tyl.

Neq rozejrzał się wokoło. Na wszystkich twarzach malowały się zawziętość i smutek. Przyczyną pierwszego z tych uczuć był on, drugiego zaś Vara, która rozplakała się niespodziewanie. Było oczywiste, że ci ludzie tak jak Neq pragnęli nowego Helikonu, lecz przerażał ich przykład starego. Przerażał on również Neqa, który widział jego ruiny.

Być może Helikon nie mógł istnieć bez rozlewu krwi. Być może nie istniał sposób odtworzenia dawnego społeczeństwa. Trzeba było jednak podjąć próbę. Teraz był odpowiedni moment i to była odpowiednia grupa ludzi. Nie mógł pozwolić, by szansa przeminęła tylko z powodu chwilowych uprzedzeń.

Potrzebny im był przywódca. Jeśli on nie obejmie tej funkcji, nikt inny tego nie zrobi.

Był daleki od ideału, lecz żadnego innego kandydata nie mieli.

Zwrócił się do doktora Jonesa.

- Prosiłeś mnie, bym się dowiedział, dlaczego zginął Helikon, abyśmy mogli zapobiec powtórzeniu się jego upadku. W jaki sposób zawiodło przywództwo? Nie wiem tego. Być może Helikon jest skazany na zagładę. Jest to jednak ryzyko, które trzeba podjąć.

Doktor Jones nie odpowiedział.

Neq rozejrzał się za swoją pałeczką, nie mógł jej jednak znaleźć. Zaczął więc wygrywać melodię szczypcami, dotykając cymbalków jak najdelikatniej, by nie wywołać nieprzyjemnego, metalicznego odgłosu. Zaśpiewał:

Gdybym miał młot Kułbym nim bez końca. Kułbym nim na trwogę, Kułbym na przestrożę.

Śpiewając przyglądał się po kolei wszystkim słuchaczom. Ta piosenka miała dla niego szczególne znaczenie i gdy pierwsza zwrotka wydobywała się z jego ust oraz instrumentu, uwierzył w każde jej słowo. Jej przed wybuchowi twórcy nie potrafili uszanować przykazań tej pieśni, jednak Neq rzeczywiście kuł na przestrożę.

Było to tak, jakby spotykał się po kolei z każdym z tych mężczyzn w Kręgu i zwyciężał ich tymi wersami. Natomiast każda kobieta do głębi czuła tętniące w tej piosence dobre emocje. Gdy Neq Cymbalki zaprzął do pracy swój głos i szczypce, mógł się zmierzyć nawet z ich jednomyślną nieufnością.

Wykuwałbym miłość dla mych braci i sióstr!

Skończył piosenkę i zaśpiewał następną, a potem jeszcze jedną. Czuł się, jakby ponownie wychodził z nawiedzonego lasu. W pewnym sensie tak było, gdyż tylko piosenki mogły wykonać zadanie, które przed nim stało. Vara zaczęła śpiewać razem z nim, jak niegdyś czyniła to Neqa. Powoli wszyscy zebrali się wokół niego, jakby zmuszeni do powtarzania jego słów.

Śpiewał. Pokój zaczął zmieniać kształt. Stał się posępny czarnym stokiem Góry otoczonej splątanymi, stalowymi palisadami i poszczerbionymi kamiennymi blankami, a potem tunelem pod tą okropną Górą i wielką jaskinią wypełnioną ludzkimi popiołami.

Pojawił się Helikon. Ta wizja natchnęła nadzieją całą grupę. Ze śmierci powstawało życie. Góra Śmierci oznaczała życie dla tego, co w człowieku najlepsze. Marzenie stawało się namacalną, przejmującą, wieczną siłą, której nikt nie mógłby się oprzeć. W końcu Neq przestał śpiewać. Wiedział już, że ci ludzie należą do niego. Jego marzenie starło się z ich ostrożnością i, wbrew logice, zwyciężyło. Helikon znowu miał żyć!

Nagle ujrzał skrzynkę z pnączem. Jimi zakrył ją tak, że kwiaty otworzyły się w ciemności i narkotyk przesączył się do pokoju, podczas gdy Neq śpiewał. Tyl musiał to widzieć i pozwolić na to, gdyż nie było go w pokoju.

Rozdział osiemnasty

Pięćdziesięciu ludzi wysiadło z ciężarówek przy opustoszałym Helikonie. Z zewnątrz Góra wyglądała mniej więcej tak samo, jak przedtem - groźna, odpychająca hałda odpadków.

- Nie będziemy zabijać w obronie Helikonu - oświadczył Neq. - Przyjmiemy wszystkich, którzy dotrą do granicy śniegu. Jeśli nie będą się nadawać, odeślemy ich gdzieś daleko. Nikomu, kto do nas trafi, nie możemy pozwolić na powrót do świata koczowników.

Pozostali skinęli głowami. Wszyscy znali szkody, jakie podobne powroty wyrządziły w przeszłości. Gdyby Helikon naprawdę zajmował się tylko własnymi sprawami, zamiast mieszać się w życie koczowników, uniknięto by katastrofy. Ta lekcja była dla Neqa bardziej bolesna niż dla kogokolwiek innego.

Koczownicy stanowili prawdziwą przyszłość ludzkości. Odmieńcy byli tylko strażnikami, którzy przechowywali co mogli z osiągnięć cywilizacji, do której koczownicy kiedyś się zbliżą. Helikon zaopatrywał Odmieńców w towary. Ani Helikon, ani Odmieńcy nie mogli jednak stworzyć cywilizacji o własnych siłach.

Cywilizacja jednak doprowadziła w przeszłości do Wybuchu - najpotężniejszego kataklizmu w historii człowieka.

Z tego powodu nie można było dopuścić, by koczownicy zdobyli panowanie nad Helikonem. Niezależnie od tego, czy chcieliby go zniszczyć, czy posiadać jego technikę. Nie wolno było pozwolić koczownikom na wybór między barbarzyństwem a Wybuchem. Odmieńcy zamierzali podtrzymywać ustalony porządek przez stulecia, może i tysiąclecia,

dopóki koczownicy sami z niego nie wyrosną. Wtedy dopiero naprawdę zapanuje nowy ład, wolny od słabości starego.

Taka była teoria doktora Jonesa. Neq rozumiał z tego tylko tyle, że ma robotę do wykonania. Być może inni rozumieli to lepiej niż on, gdyż nawet dzieci zachowywały się z powagą.

- Wielu z was wewnątrz Góry wyda się dziwne - powiedział Neq do zgromadzonych. - Wyobraźcie sobie, że jest to budynek, taki jak Odmieńców, tylko większy. Na razie jest spustoszony, lecz wkrótce, dzięki naszym wysiłkom, zostanie odbudowany. Każdy z was otrzyma swoje zadania. Dick Chirurg będzie odpowiadał za zdrowie, jak uprzednio. Na początek sprawdzi licznikiem promieniowania gdzie jeszcze czają się Rentgeny i oznaczy te miejsca. Tylko z jego i moim pozwoleniem będzie się można zapuszczać poza nie.

Góra jest

Złym Krajem. Wciąż czają się tu duchy-zabójcy. Jim Pistolet zajmie się obsługą maszyn, odtworzy elektryczność i wprawi je w ruch. Większość z nas będzie pracowała pod jego nadzorem tak długo, jak będzie to konieczne. Może nawet rok. Bez maszyn Helikon nie może istnieć. One doprowadzają powietrze i wodę, zapewniają ciepło oraz tworzą nasz dzień i noc.

Niektórzy z was są Odmieńcami i wiedzą o elektryczności więcej niż Jim. To jednak on będzie rządził, ponieważ jest koczownikiem. Gdyby Odmieńcy mieli w sobie wytrwałość i wolę życia koczowników, Helikon mógłby nigdy nie upaść, a z pewnością już dawno by go odbudowano.

Odmieńcy pokiwali głowami. Nikt nie zaprotestował.

Neq wyznaczał kolejno zadania wszystkim obecnym. Ci, którzy już je mieli, spoglądali na Górę. Gotowanie, badanie terenu, poszukiwanie żywności, zaopatrzenie, sprzątanie. Opracował to wszystko starannie z umiemych czytać Odmieńcami. Chciał, by każda osoba знаła swoje miejsce z chwilą, gdy po raz pierwszy ujrzy wewnątrz Góry. Obroną zajęła się Vara. Miała ona zasadzić pnącza w odpowiednio wybranych pokojach, a także przygotować system świateł i otworów wentylacyjnych tak, by nikt nie mógł zakraść się do Helikonu nie przechodząc przez strefy narkotycznego zapachu. Już nikt nigdy nie weźmie Góry szturmem! Sola odpowiadała za zakwaterowanie. Miała przydzielić każdemu mężczyźnie oddzielny pokój, a także przygotować pomieszczenia, w których wszyscy mogliby się spotykać.

- - A co z pokojami dla kobiet? - zapytał ktoś.

- - Nie weźmiemy własnych pokoi - odparła Sola. - Będziemy je dzielić z mężczyznami - każdej nocy inny pokój, według ścisłego rozkładu. Musi tak być, ponieważ jest tylko osiem młodych kobiet, a aż czterdziestu mężczyzn. Nie ma tu małżeństw, a bransolety są tylko oznaką uczucia.

Następnie Vara opowiedziała historię Helikonu, gdyż większość grupy znała tylko jej fragmenty. Mówiła o tym, jak Starożytni, którzy przypominali Odmieńców, lecz mieli namiętności koczowników, wypełnili cały świat ludźmi, których nie potrafili wykarmić, zbudowali maszyny, nad których działaniem nie mogli zapanować i wreszcie w rozpacz wysadzili się w powietrze. To był Wybuch - katastrofa, która stworzyła współczesny świat.

Nie wszyscy zginęli od razu. Więcej zmarło wskutek promieniowania niż samego Wybuchu. Czyniono rozpaczliwe próby uratowania cywilizacji, lecz większość z nich nie doprowadziła do niczego. Tylko w Ameryce zebrano dostatecznie dużo sprzętu budowlanego, zepchnięto na hałdę szczątki dawnego miasta i uformowano z nich Górę. Była to największa budowla, jaką kiedykolwiek wzniosł człowiek i prawdopodobnie też najbrzydsza, lecz w jej głębi, osłonięty przed Rentgenami, znalazł się Helikon - ostoja ocalonej cywilizacji i techniki.

Tylko drobna część tego labiryntu była zamieszкана. Większość stanowiły warsztaty i uprawy hydroponiczne, zaś jedno skrzydło zawierało reaktor atomowy, który wytwarzał nieograniczoną ilość elektryczności.

- Doktor Jones zapewniał nas, że on wciąż działa - powiedziała Vara. - Jest całkowicie zautomatyzowany. Zbudowano go tak, by przetrwał stulecia. W każdym razie jedno stulecie już przetrwał. Jedyne, co musimy zrobić, to ponownie podłączyć przewody. Nazwę Helikon zapożyczono z mitu Starożytnych przed Starożytnymi. Była to góra stanowiąca dom muz - dziewięciu córek boga Zeusa oraz Mnemozyny, które były boginiami pamięci, sztuki i nauki. Poezja, historia, tragedia, pieśń - wszystko to tworzyło ducha Helikonu, tak jak go sobie na początku wyobrażano. Miano tu pielęgnować cnoty cywilizacji.

Helikon nie był jednak dobrze zaopatrzony pod jednym, ale bardzo ważnym względem - brakowało kobiet. Ludzie stanowiący jego pierwotną załogę byli elitą spustoszonego świata: uczeni, wysoko kwalifikowani technicy, czołowi przedstawiciele wolnych zawodów. Większość stanowili mężczyźni i to niemłodzi. Nieliczne kobiety - ich córki nie mogły urodzić tak wielu dzieci, by mogły one zastąpić umierające, stare pokolenie.

Trzeba więc było przyjmować ludzi z zewnątrz. Ta konieczność była przerażająca dla założycieli Helikonu, gdyż oznaczało to wpuszczenie tych samych barbarzyńców, przed którymi miał on stanowić ochronę. Nie było jednak wyboru. Gdyby zabrakło odpowiedniej ilości dzieci, Helikon czekałaby powolna śmierć.

Mieli szczęście, gdyż na zewnątrz przetrwała część cywilizacji. Ludzie, którzy później zdobyli miano „Odmieńców”, ze względu na to, że ich tryb życia wydawał się koczownikom bezsensowny, szybko zgodzili się na współpracę. Dostarczyli oni Helikonowi trochę świeżej krwi i pokazali, w jaki sposób można bezpiecznie przyjąć wielu barbarzyńców. Helikon stał się Górą Śmierci - miejscem honorowego odejścia dla tych, którym nie brak było odwagi.

Ustanowiono stałą, potajemną wymianę towarów. Helikon przestawił część swych ogromnych możliwości technicznych na produkcję narzędzi i sprzętu codziennego użytku, podczas gdy Odmieńcy dostarczali w zamian drewna oraz uprawianych przez siebie płodów rolnych, które były znacznie lepsze od hydroponicznej żywności produkowanej w Helikonie.

Okazało się, że Odmieńcy mają wizję szerszą niż założyciele Helikonu. Mieli oni kontakt z rzeczywistością i wbrew opinii koczowników traktowali ze zrozumieniem prawa rządzące ich życiem. Zamawiali w warsztatach mechanicznych Helikonu broń na użytek koczowników - miecze, sztylety, maczugi, drągi, pałki i morgenszterny. Następnie rozdawali je, żądając w zamian pewnej formy posłuszeństwa: broni można było używać tylko w uczciwej walce w Kręgu, nie biorący w niej udziału byli nietykalni i nikogo nie można było pozbawić wolności.

Przymus ten działał skutecznie - Odmieńcy przerywali dostawy do tych okolic, które nie stosowały się do ich zaleceń. Ponieważ stalowa broń była bez porównania lepsza od robionej przez koczowników, „terytoria Odmieńców” rozszerzały się szybko, sięgając tak daleko, jak pozwalały na to możliwości zaopatrzenia. Zakres usług Odmieńców objął z czasem medycynę oraz mieszkania - gospody montowane z gotowych elementów produkowanych w Helikonie. Odmieńcy nie mogli za to płacić, jednakże poziom cywilizacji koczowników wzrósł tak bardzo, że zarówno Odmieńcy, jak i Helikon, zyskali znacznie więcej nowych ochotników. Wszystkie trzy strony odnosiły korzyści z tego przedsięwzięcia.

Kluczem jednak pozostawał Helikon. Tylko tam można było masowo produkować towary wysokiej jakości.

Potem Helikon został zniszczony i doszło do załamania systemu Odmieńców. - A był on najlepszy na świecie - dokończyła Vara. - Na innych kontynentach również są Helikony, lecz nigdy nie były one tak dobre jak nasz i nie przynosiły tak wielkich korzyści.

Var i ja odkryliśmy to podczas naszych podróży. Na północy mają broń palną i elektryczność, ale nie są to mili ludzie. W Azji mają ciężarówki, statki i domy, cóż... ale dla nas nasz kraj jest najlepszy. Dlatego teraz odbudujemy Helikon...

Neq zaprowadził ich do środka przejściem prowadzącym z gospody. - To będzie nasza tajemnica - oświadczył. - Wszyscy nowi będą musieli wdrapywać się na Górę. Odmieńcy jednak nie mogą wysyłać tam ciężarówek, będą więc przybywać w to miejsce. Koczownicy rzadko korzystają z tej gospody, gdyż stąd nie prowadzi już żadna dalsza droga.

- Ta winda czerpie energię z gospody - tłumaczył Neq, przypominając sobie Neqę i wyjaśnienia, jakich udzielała mu ona dawno temu. - Gdy tylko odtworzymy dopływ prądu, oświetlimy ten tunel... na razie wystarczą nam lampy.

Kiedy wszyscy zebrali się w magazynie, Neq nacisnął odpowiednią płytkę i odsłonił tory kolejki podziemnej. Stał tam wózek, który Neq przytoczył tutaj, gdy zakończył porządki.

Mógł on pomieścić tylko kilka osób na raz i trzeba go było napędzać ręcznymi dźwigniami, lecz i tak ten sposób transportu był szybszy niż piesza wędrówka mrocznym, budzącym lęk tunelem.

Gdy już wszyscy zebrali się na pomoście na drugim końcu toru, Neq poprowadził ich w górę rampy do samego Helikonu. Koczownicy byli pełni podziwu, Odmieńcy pod wrażeniem, a ocaleni z dawnego Helikonu przybici.

W jadalni Neq zatrzymał się nagle. Przeszył go dreszcz. Pamiętał, jak wyglądała, gdy ją opuścił, usunąwszy trupy i naprawiwszy meble. Wszystkie nadające się jeszcze do użytku przedmioty zgromadził w jednym kącie, a w kuchni ukrył zapas nie psującego się jedzenia.

Jeden ze stołów został przestawiony. Zużyto część suszonej fasoli. Ktoś tu był.

Neq szedł dalej kryjąc twogę.

- Nie znam przeznaczenia wszystkich pomieszczeń oraz sprzętu - powiedział. - Będzie nam bardzo potrzebne doświadczenie tych spośród was, którzy byli tu wcześniej. W głębi duszy odczuwał głęboki niepokój. On i Odmieńcy starali się odnaleźć wszystkich ludzi, którzy mogli ocaleć z Helikonu. Gdy policzono odnalezionych i dodano do tego pogrzebane przez Neqę ciała, okazało się, że brakuje bardzo niewielu. Czy intruz przyszedł z zewnątrz?

Większość koczowników bała się tej okolicy. Nigdy nie weszliby do wnętrza Góry, nawet gdyby potrafili znaleźć wejście.

Rzecz jasna, Tyl i jego armia wdarli się do środka, gdy Góra płonęła. Każdy z tych ludzi mógłby ponownie wejść do Helikonu, gdyby zechciał. Jednakże Neq pozamykał wejścia, przez które dostali się ludzie Tyła, najlepiej jak tylko mógł. Żadne z nich nie sprawiało wrażenia, by otworzono je ponownie. Nie było widać żadnych uszkodzeń.

Ktoś zatem przyszedł tu bez obawy, rozejrzał się, zjadł trochę i odszedł. Ten ktoś mógł przyjść ponownie.

Rozdział dziewiętnasty

- Tak, jest w ciąży - potwierdził Dick Chirurg. - Myślę, że w tej sytuacji powinniśmy ją zwolnić z... hm... krążeń po pokojach mężczyzn. Nasze dzieci powinny być dla nas najważniejsze. Nie możemy ryzykować...

Decyzja należała do Neq. Miała ona ustanowić precedens. Neq zdawał sobie jednak sprawę, że nie może myśleć o tym obojętnie. Rozum mówił mu, że kobiety muszą być wspólne, lecz serce było przeciwne dzieleniu się Varą. - Tu chodzi o zdrowie - odparł wreszcie. - Ty zdecyduj. Tak więc Vara nie musiała sypiać ze wszystkimi mężczyznami. W gruncie rzeczy zwyczaj wspólnego posiadania kobiet przyjmował się powoli. Ludzie potrzebowali czasu, by się do niego przyzwyczaić. Pojawiły się też pewne trudności, gdyż kobiety potrzebowały więcej intymności niż mogły to zapewnić pokoje mężczyzn. W końcu przydzielono kobietom oddzielne pomieszczenia, lecz nadal miały one krążyć zgodnie z rozkładem. O ile sprawy damsko-męskie układały się niepewnie, to z odbudową było zupełnie inaczej. Przywrócenie dopływu prądu okazało się łatwiejsze niż się spodziewali. Wymieniono kilka kabli, naprawiono parę wyłączników i pojawiło się ciepło i światło oraz zaczęły działać urządzenia wentylacyjne i sanitarne. Helikon był wspaniale zaprojektowany. Właściwie to nawet nie trzeba było tu nic odbudowywać. Oni tylko przywracali do życia system, którego działanie zostało chwilowo przerwane. Po upływie miesiąca mogli się już zabrać do urządzeń pomocniczych - kolejki prowadzącej do gospody i maszyn produkcyjnych. Po dwóch miesiącach wyprodukowano pierwszą broń - drągi cięte z niekończącego się metalowego pręta wytapianego w automatycznym piecu. Ruda pochodziła z monstualnego stosu metalowych odpadków, którym była Góra. Surowca było wystarczająco wiele na całe stulecie takiej produkcji.

Neq ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że udało im się! Helikon wrócił do życia! Drobiazgi wiążące się z codziennymi pracami i kłopotami omal nie przesłoniły mu tego prostego faktu. Helikon wydawał się bytem samym w sobie, żyjącym swym własnym życiem.

Wieloletnia przerwa i zmiana załogi jakby przeminęła bez śladu. W nocy obudził Neq sygnał alarmowy. Noc była tu sztuczna, podobnie jak dzień, zachowywali jednak taki sam rytm, jak na powierzchni. Niedawno przywrócony do użytku ekran telewizyjny był włączony.

- - Coś dostało się do Helikonu - oznajmił zwięźle Jim Pistolet. - Nie przeszło przez żadne z wejść, które znamy, ale jest teraz w środku. Uznałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

- - Oczywiście!

Neq ubrał się i pospieszył do dyżurki Jima. Przypomnił sobie tajemniczego gościa.

Czyżby zjawił się on znowu?

- Myślałem, że to jedno ze zwierząt z podziemi dawnego miasta - odezwał się Jim.

-

One wciąż znajdują nowe przejścia...

Neq wiedział, o co mu chodzi. W opanowanych przez Rentgeny zewnętrznych tunelach Góry żyły dziwne, zrodzone przez mutacje potwory, które stworzyły własny, koszmarny świat. Właściwy Helikon odgrodzono od tych miejsc, lecz nie dość dokładnie i czasami przedostawały się do pomieszczeń mieszkalnych płazy i gryzonie. Pewnego razu z klozetu wyłazło stworzenie podobne do żaby. Jim musiał potem sprawdzać rury kanalizacyjne, by znaleźć miejsce, w którym dostało się ono do środka. Zadanie było trudne.

Helikon czerpał wodę z ogromnego podziemnego jeziora i po przejściu przez urządzenia oczyszczające wracała tam ona z powrotem. System ten był zbyt skomplikowany, by go zrozumieć, a wszelkie manipulacje przy nim były ryzykowne. Jim musiał więc zadowolić się założeniem kraty w głównej rurze doprowadzającej wodę pitną. Czasami przez ściany słychać było niesamowite odgłosy. Nieznane stworzenia polowały bądź walczyły ze sobą. Jim opracował system alarmowy, który miał wykrywać pojawienie się podobnych stworzeń tak, by można było znaleźć i zlikwidować dziury, którymi się przedostały.

- Tym razem to coś dużego - powiedział, prowadząc Neqa do nie używanego jak dotąd magazynu.

Tyłna ściana wydawała się nienaruszona, lecz Neq ujrzał na pokrytej kurzem podłodze ślady prowadzące do odsuniętej nieco płyty, przypominającej zwykły kamień.

- To mógł być człowiek, lub prawie człowiek - powiedział Jim. - Przyszedł z drugiej strony. Jest tam na wpół zawałony tunel z odrobiną promieniowania. To coś wyjęło tę płytę, a potem wstawiło ją z powrotem. Następnie przeszło przez magazyn i dotarło do korytarza, gdzie zadziałały moje fotokomórki. Zniknęło, zanim tu dotarłem, ale przynajmniej wiemy, jak się tu dostało.

Neqa ponownie przeszył dreszcz.

- Ale to jest teraz wewnątrz Helikonu - mruknął. Czy znowu przyszedł po fasolę, czy też tym razem po coś więcej?

Jim skinął głową.

- - Minął czujnik pół godziny temu. Sygnał nie mówi, czy to jest mysz, czy słoń... hm, to takie wielkie zwierzę, które żyło przed Wybuchem. Mam ich kilka każdej nocy...

- - Słoni?

- - Alarmów. Nic nie mogę powiedzieć, zanim nie sprawdzę osobiście. W połowie przypadków jest to ktoś z naszych, zwykle para. No wiesz, w wolnych pokojach odbywa się sporo schadzek poza kolejnością, nie chcę się w to mieszać. Dziewczyny krążą, ale chcą wybierać, z kim zajdą w ciążę...

Neq wiedział o tym, lecz nie sprzeciwiał się, gdyż jego własne uczucia były takie same. Vara miała urodzić jego dziecko, bez względu na to, jakie imię będzie ono nosiło.

- Możemy go dopaść - odezwał się Jim. - Zablokujmy to wyjście i wypełnijmy korytarze zapachem pńczy...

Ten pomysł nie spodobał się Neqowi.

- - Tam są ludzie - rzekł. - Mamy teraz nocną zmianę i niektórzy pracują przy maszynach. Jeden powiew woni i mogą poniszczyć sprzęt. Ta ilość zapachu, która wydostaje się przypadkowo, jest i tak wystarczająco kłopotliwa! Nie, zrobimy to sami. Jak to możliwe, żeby ktoś obcy tu przyszedł i nikt go nie zauważył?

- - Musi znać Helikon - odparł Jim. - Wie, gdzie się schować, w którym miejscu odejść na bok...

- - I co mówić ludziom, jeśli na nich natrafi. Jeśli jest to człowiek... - dodał Neq. - Jest niebezpieczny. Nie wiemy czego chce.

- - To chyba jednak nie zwierzę. To musi być dawny mieszkaniec Helikonu - odrzekł Jim. - Niektórzy z naszych ocalonych powinni go rozpoznać. - - Helikon jest otwarty dla dawnych pracowników. Dlaczego nie zgłosił się jawnie?

- - Może właśnie próbuje to zrobić?

- - Wystarczyłoby, żeby zaczął krzyczeć albo walić w ścianę. - - Chodźmy do dyżurki - powiedział Jim. - Jeśli nadal będzie się starał ukrywać przed innymi, to z pewnością wpadnie na następne alarmy. Mieli szczęście. Niebawem idący korytarzem intruz uruchomił kilka fotokomórek. Jim nie ustawił czujników w głównych przejściach, gdyż wywołałoby to zbyt duże zamieszanie.

Jednak istniejący układ alarmów doskonale nadawał się do tego rodzaju pościgu. - - On dokądś idzie - stwierdził Jim. - Popatrz na jego drogę. Myślę, że umie czytać.

Zmienił kierunek w pobliżu tablicy ogłoszeń w jadalni. Teraz już wie, czego chce. Gdy my również się tego domyślimy, będziemy mogli przeciąć mu drogę. Żeby tylko nie zrobił nikomu krzywdy.

- - Idzie w stronę pokoi sypialnych! - zawołał Neq, spoglądając na mapę Helikonu, na której Jim zamontował światełka kontrolne.

- - Do licha! Nie ustawiłem tam alarmów, z oczywistych przyczyn. Zgubimy go! - krzyknął Jim.

- - Ogłoszę alarm. Wezwę strażników.

Neq zabrał się do tego spokojnie. Uruchomił interkom, obudził kilkunastu ludzi. Wkrótce uzbrojeni mężczyźni staną na straży u zbiegu wszystkich korytarzy w tym obszarze.

Jednakże „wkrótce” nie znaczyło „teraz”. W umyśle Neq pojawiła się straszliwa wizja. Osobą, która znała Helikon najlepiej, był jego dawny przywódca, Bob. Neq korzystał teraz z jego gabinetu, który przypominał mu o nim częściej, niż miał na to ochotę. W sposobie urządzenia tego pokoju były pewne, wiele mówiące szczegóły, takie jak metalowe biurko zwrócone w stronę jedynych drzwi. W szufladzie znajdował się pistolet, a pod blatem włączniki silnych reflektorów wbudowanych w sufit. Ten gabinet stanowił małą fortecę. Były w nim ślady ognia, jak wszędzie w Helikonie, nie było jednak trupa. Rzecz jasna Soi mógł złapać i zabić Boba gdzie indziej, nie było jednak na to dowodu. Bob mógł ocaleć i teraz wrócić, by zemścić się na dziecku, które odtrąciło jego zboczone zaloty... Nagle jasne stało się coś innego. To dlatego Bob wysłał Soli, jak sądził, na śmierć!

Chciał się zemścić za wstyd, jakim go okryła! Zamiast mu ulec, przepędziła go pałką... i w każdej chwili mogła opowiedzieć o tym Solowi. Trzeba było ją zlikwidować, a któż nadawał się do tego zadania lepiej niż oblegający Helikon koczownicy - pobratymcy Sola? Na tym właśnie polegał błąd Boba. Nie działał on w najlepiej pojętym interesie Helikonu, lecz chciał się zemścić i ukryć swe upokorzenie. Pozwolił, by względy osobiste wpłynęły na najważniejszą decyzję.

- Co jest? - zawołała Vara, gdy Neq wpadł do jej pokoju. - Ach, to ty. Neq również pozwolił, by jego uczucia do tej samej dziewczyny miały wpływ na sposób wykonywania przez niego obowiązków przywódcy. - - W korytarzu jest ktoś obcy. Idzie w tę stronę. Myślę, że do ciebie.

- - Och! - krzyknęła, sięgając po pałki.

Popchnął ją barkiem z powrotem na łóżko. Dotykając jej poczuł, że jest ciężka i piersi ma pełne.

- Nie możesz teraz walczyć! Dlatego tu jestem. Jeśli wejdzie... - Ale ja nie mam wrogów, prawda? - zapytała. - Może z wyjątkiem ciebie, kiedy za kilka miesięcy urodzę i zacznę znów odwiedzać mężczyzn.

Roześmiał się, lecz ta uwaga ubodła go. Jak mógł wymagać od innych przestrzegania tego zwyczaju, jeśli sam mu się nie podporządkuje?
Błąd Boba.

- - Między nami skończone - powiedział. - Kocham cię, ale jestem władcą Helikonu i muszę być uczciwy. Rozumiesz to?

- - Tak, masz rację - odparła. Zabolalo go, że zgodziła się tak łatwo. - Tak musi być - dodała.

Wtedy zrozumiał, że to naprawdę się skończyło. Vara była dzieckiem Helikonu, rozumiała i całkowicie akceptowała obyczaj wspólnego posiadania kobiet. Nigdy już nie miała należeć do niego na stałe.

Po kilku minutach usłyszeli kroki na korytarzu, ktoś zbliżał się ukradkiem. Drzwi otworzyły się. Neq uniósł szczypce. Trącił nimi wyłącznik światła. Ekspłodowała jasność.

Vara krzyknęła.

Oślepiiony przybysz stanął z rozczochranymi włosami i rękami uniesionymi do ciosu. To była kobieta. Naga.

Ładna twarz, raczej zgrabna figura, gibkie nogi, dobrze ukształtowane piersi. - Neq uświadomił sobie z przerażeniem, że gdyby miał miecz, uderzyłby nim bez chwili wahania.

- Sosa! - krzyknęła Vara, zrywając się z łóżka. Obie kobiety padły sobie w objęcia, podczas gdy Neq stał nieruchomo z uniesionymi szczypcami. Kto by się tego spodziewał!

- Och, mamę, tak się cieszę! - Vara rozplakała się. - Wiedziałam, że żyjesz... Sosa. To ją, a nie Solę Vara uważała za swą prawdziwą matkę. Wróciła, by połączyć się ze swą córką. Rzecz jasna, nikt inny jej nie obchodził. Nie chciała też nikogo spotkać.

Pragnęła tylko odwiedzić Varę i być może zabrać ją ze sobą, nie bacząc na nic innego.

Obie kobiety zajęte sobą nie zwracały na niego uwagi. Neq wyszedł. Wiedział, że nie zauważą jego braku.

Vara nie odeszła. To Sosa została. Wtopiła się w grupę z taką łatwością, że wydawało się, iż zawsze była z nimi. Przejęła obowiązki Vary, wliczając w to krążenie po pokojach, i choć należała do pokolenia Neqa, mężczyźni z wielką radością przyjmowali jej wizyty. Była małą, sympatyczną i ruchliwą kobietą o znakomitej figurze. Jej przeszłość pozostawała jednak tajemnicą. Zniknęła, gdy Helikon został zniszczony, pojawiła się znowu, gdy powrócił do życia. Nikomu się nie zwierzała.

Jeśli przedtem Neq wątpił, że Vara go potrzebuje, tak teraz nie miał już wątpiwości.

Nie potrzebowała ona nikogo, oprócz Sosy. Neq został odstawiony na bok i nie miał nawet powodu do okazywania zazdrości.

Pewnej nocy Jim znowu obudził Neqa. Kolejny alarm! - Ktoś jest w tunelu kolejki - powiedział Jim. - Wychodzi, nie wchodzi. Wydaje się, że to kobieta.

Vara! - pomyślał Neq z przerażeniem. Sosa namówiła ją w końcu do odejścia, aby dziecko nie musiało cierpieć w Helikonie!

- Sprawdzę to sam - powiedział.

Jim skinął głową. Być może zrozumiał powody zatroskania Neqa. To była sprawa, którą wódz musiał załatwić osobiście.

Ktoś niewątpliwie był w tunelu, nie korzystał jednak z wózka. Neq wypuścił powietrze, które wstrzymywał, gdy przechodził przez komorę, gdzie rosły kwiaty, i poczuł inną woń - słaby zapach perfum, jakich lubiły używać kobiety. Ta przed nim nie wzięła wózka, gdyż pobór mocy natychmiast zaalarmowałyby urządzenia kontrolne. Niewielu ludzi wiedziało o innych aparatach zamontowanych przez Jima. Ich istnienie utrzymywano w tajemnicy ze względów bezpieczeństwa. Neq mimo woli coraz bardziej doceniał różne metody stosowane przez swego poprzednika. Boba. Trzeba było wiedzieć, co się dzieje, lecz nie należało dzielić się tą wiedzą z innymi.

Szyn nie pokrywał już pyłu, gdyż kolejka była często używana. Neq nie mógł dostrzec uciekinierki, gdy jednak przyłożył ucho do metalu, usłyszał niewyraźny szelest i stukanie.

Ktoś szedł wzdłuż szyn w stronę gospody. Ktoś ciężki i trochę niezgrabny, jak kobieta w ostatnich miesiącach ciąży...

Pobiegł za nią przez ciemny tunel. Wkrótce usłyszał ją. Zwolnił, by mieć pewność, że nie spostrzeże go za szybko. Chciał ją powstrzymać, zanim zrobi coś nierozważnego. Vara...

Nie wiedział jednak, czy potrafi tego dokonać.

Szukała ostrożnie drogi, jakby bała się ciemności. Posuwała się naprzód powoli.

Jedna osoba, nie dwie.

Dlaczego nie było z nią Sosy? Ona widziała po ciemku jak kotka i знаła inne drogi prowadzące na zewnątrz. Nie zostawiłaby swej przybranej córki. W gruncie rzeczy Vara też umiała dobrze radzić sobie w nocy. Cięża nie mogła tego zmienić aż tak bardzo.

Podszedł do niej od tyłu i powiedział:

- - Ani kroku dalej.

- - Och!

Był to okrzyk zaskoczenia. Coś ciężkiego upadło na ziemię. Głos ją zdradził. To była Sola. Dźwigała swój dobytek w tobołku trzymanym w ramionach, a wraz z nim spory zapas żywności i wody. Nic dziwnego, że stąpała tak ciężko!

- Co tu robisz? - zapytał, nie wiedząc czemu rozgniewany na nią za to, że nie była Varą.

- Idę sobie! To było jasne.

- - Nikt nie może opuścić Helikonu. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- - Więc zabij mnie! - krzyknęła histerycznie. - Nie zostanę tu z nią!

Dlaczego ludzie nadal domagali się od niego, by ich zabijał?

- - Z Varą? Ależ ona potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek...

- - Sosa!

To imię zabrzmiało jak syk.

Zrozumiał. Jeśli on odczuwał żal do Sosy o to, że zajmowała całą uwagę Vary, to w znacznie większym stopniu musiało dotyczyć to jej naturalnej matki. Sola została odsunięta na bok właśnie w tym momencie, gdy spodziewała się, że stanie się swojej córce szczególnie bliska.

Neq był zbyt krótkowzroczny. Oceniał Sosę jedynie z własnego punktu widzenia. Nie dostrzegał naturalnych reakcji innych, tak samo, jak przed nim Bob. Czy był skazany na popełnianie tych samych błędów aż do takiego samego końca? - Masz też inne obowiązki - powiedział Neq bez przekonania. - Nie możesz uciekać tylko dlatego, że jedna sprawa nie układa się jak należy. Sam jednak odczuwał narastającą pokusę, by zrobić to samo. Obowiązki przywódcy nudziły go i irytowały, podobnie jak wtedy, gdy był jednym z wodzów Imperium. Po utracie Vary nie zostało już wiele rzeczy, które budziłyby jego zainteresowanie. - - Tu, w Helikonie, nie ma małżonków, rodziców ani dzieci, tylko zadania do wykonania - rzekł ostro.

- - Wiem o tym! - krzyknęła. - W tym właśnie tkwi problem! Nie mam małżonka ani dziecka!

- - Każdy mężczyzna jest twoim małżonkiem. Sama obmyśliłaś zasady, jakie obowiązują w Helikonie. Wspólnota.

Roześmiała się gorzko.

- Jestem starą kobietą. Mężczyźni mnie nie chcą. Neq zrozumiał, że jej żal do Podziemia nie ogranicza się do jednej sprawy. Gdyby wykonywał swe obowiązki jak należy, już dawno by to zauważył. Musiał uporać się z tym natychmiast, albo przyznać, że jest gorszym przywódcą od Boba. Nie mógł jednak przywrócić Soli urody, jaką cieszyła się pokolenie temu.

Pozbawiona zarówno powabu, jak i macierzyństwa w sytuacji, gdy obie te rzeczy były ogromnie ważne, Sola miała prawo czuć się nieszczęśliwa! - - Potrzebujemy cię w Helikonie - powiedział. - Nie pozwolę ci odejść. Na zewnątrz nie ma dla ciebie życia.

- - Sosa może przejąć moje obowiązki. Porozmawiaj z nią. - - Nie! Sosa się do tego nie nadaje. Ona... - gorączkowo szukał właściwej odpowiedzi. - Nie może mieć dzieci!

- - Myślisz, że ja mogę? - odburknęła Sola. - Mam trzydzieści trzy lata! - - Urodziłaś Varę! Potem żyłaś z kastratem, a jeszcze później z bezpłodnym mężczyzną. Gdy spróbowałaś z

Varem, on również okazał się bezpłodny. Oni nie mogli dawać życia, ale ty mogłaś. Nadal możesz! Helikon potrzebuje tego życia! Dzieci są naszą przyszłością.

- - Poród zabiłby mnie w tym wieku. Wkrótce zostanę babcią. Ton jej głosu przeczył słowom. Neq zorientował się, że Sola pragnie, aby ją przekonał.

- - Nie, jeśli będzie go odbierał Dick Chirurg. To on uczynił Nieuzbrojonego tym, czym był...

- - Był bezpłodny! - wtrąciła.

- - To był przypadek! Popatrz, czego dokonał z moimi rękami! Nikt inny nie mógłby mi ich przywrócić. Nie uczynił mnie przy tym bezpłodnym! Potrafi ratować życie. Uratuje również twoje, bez względu na to ile dzieci urodzisz i w jakim wieku. A gdybyś... to się nie stanie, ale gdybyś umarła, to co to za różnica? Na zewnątrz zginiesz na pewno! Ta odrobina okrucieństwa wywołała na jej twarzy przekorny uśmiech, który jednak szybko przeminął.

- - Żaden mężczyzna mnie nie dotknie - odparła ponurym głosem. - - Każdy mężczyzna to zrobi! - krzyknął. - Tu jest Helikon i ja jestem jego władcą!

Wyśle... - ugryził się w język. Słabo znał kobiety, ale takiego błędu nie mógł popełnić nawet on. Omal nie powiedział jej, że Jim Pistolet będzie zmuszać mężczyzn do tego, by się z nią kochali.

- Ty nie musisz krążyć. Rozumiesz, o co mi chodzi? Wiedział. Już wiedział, na czym polega jego obowiązek.

- - Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, miałaś szesnaście lat. Byłaś piękna. Najpiękniejsza ze wszystkich. Śniłem o tobie. To były lubieżne sny.

- - Naprawdę?

Wydało się, że komplement osiągnął cel.

- - Jesteś teraz starsza, ale ja również. Jesteś zgorzkniała, ja również. Możemy jednak robić to samo, co młodzi. Dam ci dziecko, którego nikt ci nie odbierze. - - Dokonałeś już tego z moją córką - odparła. W jej głosie zabrzmiało jednak coś ciepłego.

- - To skończone. Jej dziecko nie będzie nosić mojego imienia. Musiałem oddać to, co jej zabrałem. Potem Vara będzie należała do wszystkich, tak samo jak ja. I ty. Masz jeszcze urodę.

- Naprawdę? - zapytała tonem małej, rozżalanej dziewczynki. Posiadł ją tam, na torach. W ciemności odkrył, że powiedział prawdę. Było w niej bardzo wiele z Vary. I okazało się to lepsze, niż się spodziewał.

Rozdział dwudziesty

Był to bardzo słaby zapach, lecz wywołał przyływ dziwnych uczuć. Neq wstał zza biurka i wężąc intensywnie, odnalazł źródło tej woni. W ścianie była mała szczelina, której uprzednio nie zauważył. Z daleka wyglądała na pęknięcie tynku. Teraz Neq odkrył, że jest ona znacznie głębsza. Czyżby do gabinetu Boba przylegało jakieś sekretne pomieszczenie?

Neq wziął z biurka jedną kartkę i włożył w szczelinę, by sprawdzić jej głębokość.

Papier zniknął. W ten sposób stracił raport Jima dotyczący produkcji broni w zeszłym miesiącu. Za ścianą była więc pusta przestrzeń. Dziwny zapach wyływał na zewnątrz wraz z bardzo słabym strumieniem powietrza.

Neq chwycił szczypcami sztylet i wepchnął go w szczelinę. Nacisnął. Coś trzasnęło i część ściany odchyliła się do środka. Znajdował się tu korytarz. Mógłby go nigdy nie odnaleźć, gdyby nie ten zapach.

Zajrzał do środka. Było tam ciemno. Z korytarza wypływał ciepły prąd powietrza. Woń była teraz znacznie silniejsza.

Był to tunel, prowadzący w niezbadane podziemia Helikonu, które przed Wybuchem były podziemiami jakiegoś miasta. Istniało duże ryzyko, że czai się tam śmiertelne niebezpieczeństwo. Do zbadania tego korytarza należałoby wysłać oddział uzbrojonych ludzi.

Neq wzruszył ramionami i wszedł do środka sam. Osobliwa woń wypełniała cały tunel, sprawiając, że kroki Neq'a stały się lekkie. Wydawało mu się, że ściany z kamienia i metalu oddalają się od siebie. To była droga ucieczki Boba. Neq szedł tędy śmiało.

Potrzebował czegoś podobnego, by oderwać się od codziennej nudy. Vara urodziła pięknego chłopca i nadała mu imię Van. Po powrocie do zdrowia zaczęła krążyć. Sosa spędzała wiele czasu z niemowlęciem. Już teraz wydawało się, że Vari jest jej synem. W trzy miesiące po pierwszym porodzie Vara znów była w ciąży, ale nie z Neqiem. Sola również poczęła i ciąża odmieniła ją. Obie kobiety zbliżyły się do siebie, choć nie jako matka i córka, lecz raczej jak siostry. Wymieniały doświadczenia i rozmawiały o planach zorganizowania w Heli konie żłobków oraz szkół. Obie stanowiły znakomity przykład dla pozostałych. Problemy związane z dzieleniem się kobietami przestawały budzić emocje.

Neq szedł naprzód, oszołomiony wspomnieniami. Nie zważał na niebezpieczeństwo. Miał ze sobą latarkę, gdyż w Helikonie nigdy nie można było przewidzieć, kiedy przyda się światło. Za jej pomocą odnajdywał drogę w rozszerzającym się korytarzu. Wokół niego nie było już metalu. Korytarz prowadził przez skały. Postrzępione ściany porastały rośliny przypominające mech.

Jim Pistolet zakończył już remonty sprzętu i rozpoczął szkolenie swoich następców.

- Nie zamierzam odejść - powtarzał ciągle. - Podoba mi się tutaj. Maszyny to moja pasja, a te są wspaniałe! Jednak wypadki się zdarzają, a ja się starzeję. Gdy maszynaria Helikonu osiągnęła pełną zdolność produkcyjną, wznowiono dostawy dla Odmieńców. Naprawiono stare ciężarówki. W Helikonie produkowano silniki, opony, benzynę oraz przekładnie. Wkrótce sześć samochodów, które zdołali zachować Odmieńcy, zamieniło się w dwadzieścia, a potem pięćdziesiąt. Zwerbowano wielu koczowników. Jako kierowców i strażników zatrudniano ludzi z plemienia Tyła i dawnych wojowników. Płacono im żywnością, bronią i lekarstwami. Ciężarówki zawsze jeździły w konwojach - jedna z ładunkiem, druga pełna uzbrojonych mężczyzn, a trzecia z benzyną, częściami zapasowymi i żywnością. W ten sposób powstało nowe plemię - plemię samochodziarzy. Istnienie i przeznaczenie Helikonu nie było już, rzecz jasna, tajemnicą, lecz warunki przyjmowania nowych ludzi nie zostały złagodzone. Samochodziarze uważali, że oni wychodzą na tym najlepiej - byli zaopatrywani przez Helikon, i wiedli swobodne życie koczowników. Wielu z nich ginęło w starciach z zachłannymi bandytami, lecz walki te stworzyły legendę klanu samochodziarzy, z której byli bardzo dumni.

Tunel wyszedł na powierzchnię i stał się wąwozem, nad którym rosły drzewa. Neq przyspieszył kroku, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do celu. Na początku chciał wysłać ekipę, która przeprowadziłaby przewód telefoniczny między Helikonem a główną siedzibą

Odmieńców, lecz koszt takiego przedsięwzięcia był zbyt wielki, gdyż kabel należałoby zakopać głęboko w ziemi, aby bandyci nie mogli go przerwać. Po drodze rozciągały się góry, rzeki oraz Złe Kraje. Zamiast tego uruchomiono stałą łączność radiową, która wkrótce miała się stać łącznością telewizyjną. Dick Chirurg założył szpital dostępny dla wszystkich. Przy tej okazji trzeba było rozwiązać nowy problem: albo Dick musiał opuszczać Helikon, albo trzeba było wpuszczać chorych i rannych koczowników do jego wnętrza. Dawne ograniczenia nie odpowiadały obecnym wymaganiom i Neq zrezygnował z nich. Fragment podziemi odcięto od reszty i zbudowano oddzielne wejście. Dick zaczął szkolić tych spośród młodych koczowników, którzy chcieli leczyć swoich współbraci. Ponieważ jednak jego uczniowie w większości nie umieli pisać i czytać, Dick musiał wprowadzić uproszczone symbole obrazkowe na oznaczenie podstawowych leków: kółko przeszyte ząbkowaną strzałą miało wyobrażać ból głowy i symbolizowało aspirynę, zarys zęba - nowokainę, a zakrętas oznaczający zarazek - antybiotyk przeciwtężcowy. Pozostałe niebezpieczne medykamenty były dostępne tylko pod nadzorem Dicka. Ten system działał dobrze. Koczownicy, których szkolił, nie byli głupi.

Musieli się po prostu wiele nauczyć.

Neq zarządził, że dzieci Helikonu muszą umieć czytać i pisać. Sam dla przykładu uczęszczał na lekcje, opanowując z wysiłkiem pisanie słów: MEŹCZYŻNA, POKÓJ, JEDZENIE, HONOR. Ze starych książek można było nauczyć się ogromnie wielu rzeczy.

Nowe pokolenie nie będzie mogło uniknąć błędów przeszłości, jeśli ich nie pozna i nie zrozumie ich przyczyn.

Tak więc wszystko układało się dobrze. Neq rządził Helikonem równie sprawnie, jak swoim plemieniem w Imperium.

Okolice stała się znajoma. Zarys drogi, las... Rosła tam sosna, którą pamiętał.

Powróciły straszliwe wspomnienia. Musiał jednak iść dalej. Miłość Vary okazała się płochą. Szybko stało się jasne, że jej romans z Neqiem stanowił tylko wychylenie wahadła w drugą stronę - zrównoważenie nienawiści, jaką wcześniej mu okazywała. Również jego namiętności nie można było porównać do miłości, którą żywił do Neqi. Uległ powabowi młodego ciała Vary, przypisując temu związkowi większe znaczenie niż miał on w rzeczywistości. Vara tymczasem z zapamiętaniem odtwarzała populację Helikonu.

Neqa - ona była wciąż najważniejsza. Uczynił to wszystko po to, by przywrócić do życia świat, w którym znalazłoby się miejsce dla kobiet podobnych do niej. Jej samej jednak nie przywrócił do życia. To właśnie było miejsce, gdzie ustawiona w poprzek drogi barykada Yoda zatrzymała ich ciężarówkę. To bandyckie plemię już nie istniało. Zniknęły nawet czaszki zatknięte na tyczkach. Zemsta...

Zapуścił się daleko. Najwyższy czas rozbić obóz. Obnażył miecz, by ściąć drzewka na szałas. Lśniaca stal przypominała mu, że gdyby pokazał tylko część swoich umiejętności i zgodził się przyłączyć do plemienia Yoda, mógłby uratować swoje ręce oraz życie Neqi.

Gdyby dziś znalazł się w podobnej sytuacji, uczyniłby to. Neqa należałaby do wszystkich mężczyzn i nie różniłoby się to od krążenia Vary w Helikonie. Vary, która urodziła dziecko mordercy swego męża... Czy Neqa przestałaby być warta jego miłości po urodzeniu dziecka Yoda? Mogłaby urodzić pięćdziesięcioro dzieci innym mężczyznom, jeśli taka miałyby być

cena za uratowanie jej życia! Gdyby zachował większą roztropność, mógłby zaczekać na odpowiedni moment i zostać wodzem plemienia oraz odzyskać swoją kobietę.

Postąpił pochopnie i zapłacił za to straszliwą cenę.

Ktoś nadchodził!

Neq podniósł miecz, gotów do ataku. Nie chciał nikogo zabijać, lecz to miejsce było dla niego święte i każdy, kto naruszy jego spokój, będzie miał kłopoty. W wieczornym mroku Neq odkrył intruza raczej za pomocą słuchu niż wzroku. Kroki były lekkie, ale przybysz nie zbliżał się ukradkiem.

Wkrótce go zobaczył: niska, bardzo niska postać bez broni.

- Neq!

Poznał ją po głosie; Sosa!

- - Co tu robisz? - zapytał. Wiedział, że podążała za nim aż z Góry. To było kilka dni szybkiego marszu. Czy chciała go sprowadzić z powrotem, tak jak on Solę? - - Poczułam zapach kwiatów - odparła. - Teraz ja się nimi zajmuję. Myślałam, że gdzieś jest przeciek, ale okazało się, że nie. Woń zaprowadziła mnie do twojego gabinetu...

Po tych wszystkich miesiącach spędzonych przy pnącach jestem prawie całkiem odporna, ale ty...

Neq podszedł do niej, unosząc miecz. Nawet w najgorszym okresie swej zemsty nigdy nie atakował kobiet.

- Tego się bałam - szepnęła. - Będę musiała mieć na ciebie oko zanim znajdę pnące i pozamykam kwiaty.

Minęła go, przechodząc całkiem blisko. Niespodziewanie dostrzegł powab jej zaskakująco zgrabnego ciała. Kobiety wcale nie musiały więdnąć z wiekiem! Podążył za nią odurzony. Nie był pewien, jakie są jej zamiary, ani czego sam pragnie. Nagle dostrzegł, dokąd się udaje.

- - Trzymaj się z dala od tego grobu! - krzyknął.

- - Grobu? To jest twoja najgłębsza rana, prawda? - spytała. - Och, myślę, że to jest to. Przejście jest zatkanę, ale wydobywa się stamtąd wyraźny powiew... Zaczęła odgarniać liście i gałązki pokrywające grób Neqi. Odsłoniła znajdującą się pod spodem żywną ziemię.

- Ależ to tylko odpadki! - zawołała. Neq ponownie uniósł miecz.

- - Stój, albo zginiesz!

- - Robię to dla ciebie - odparła, nie przerywając pracy. - Przeciąg niesie opary prosto w naszą stronę. Kwiaty muszą być tuż za tymi śmieciami. - - Nie chciałbym zabić kobiety - oznajmił Neq, unosząc miecz. - Ale jeśli będę musiał...

- - Zaraz je znajdę - odrzekła Sosa. - Tymczasem nie strasz mnie tą rzeczą, proszę.

Gdybyś wiedział, ile razy w życiu zostałam wdową, zrozumiałbyś, że twoja żałoba nie jest czymś wyjątkowym. Nie obchodzi mnie to, co wydaje ci się, że widzisz. Mam tu robotę do wykonania.

Zrozumiał, że Sosa się nie zatrzyma. Nie mógł jednak pozwolić jej sprofanować kości Neqi.

Rozpostarł ramiona tak, by nie zranić Sosy mieczem, po czym ruszył naprzód, odpychając ją swym ciałem. Własną pierśią osłonił to święte miejsce. Jednakże Sosa uniosła

zabrudzone ziemią dłonie i uderzyła go w szyję tak, że zabrakło mu tchu. Następnie wepchnęła pod jego ciało swój drobny bark i w jakiś sposób odrzuciła go do tyłu.

- Proszę cię, trzymaj się z dala - powiedziała cicho. - Tu może się kryć coś niebezpiecznego. Muszę usunąć te wszystkie śmieci.

Dopiero teraz przypomniał sobie, co Vara mówiła o tej kobiecie. Sosa umiała walczyć w Kręgu gołymi rękami! To ona nauczyła Nieuzbrojonego tej sztuki. Próba szamotania się z nią byłaby głupotą.

Neq patrzył tępo, jak dół się pogłębia. Nie chodziło tylko o zwykłe kości. Nie miał pojęcia, czy po tych wszystkich latach cokolwiek z Neqi pozostało. Liczyły się wspomnienia o niej. To, w jaki sposób zginęła, i jak on wtedy postąpił. Koszmarny sen, o którym starał się zapomnieć. Gwałt, morderstwo, ból, zemsta, poczucie daremności... Sosa uderzyła w coś twardego. Przerażony Neq zapalił latarkę. Sięgnęła w dół i wyciągnęła...

Kopytkowatą stopę.

Zatrwożony Neq zachwiał się na nogach. To była mogiła Vara Pałki, kolejny koszmar!

Stopa drgnęła, grube, tępe palce poruszyły się. Posypała się ziemia. Wyłoniła się z niej owłosiona noga.

- Ojej - zawołała Sosa. - Tego się nie spodziewałam! Następnie pojawiła się ręka, która oparła się o powierzchnię. Ciało dźwignęło się. Zwłoki usiadły. Neq pod wpływem szoku otrzeźwiał na chwilę i zdał sobie sprawę, że jest pod wpływem narkotycznych kwiatów, co Sosa bezskutecznie próbowała mu wyjaśnić. Ich nasiona były drobne jak kwiatowy pyłek i ulatywały razem z zapachem. Jeśli trafiły na dobrą glebę, wilgoć i odrobinę światła, mogły zamienić się w pnącza i zakwitnąć. Nie były to zwłoki Neqi ani Vara. Było to coś żywego, co wyłaziło z zasypanego korytarza. Coś przypominającego człowieka, ale co? Ponownie rzeczywistość zaczęła się zamazywać, gdyż wyziewy pnączy były tu wyjątkowo gęste. Neq uderzył szczypcami w cymbałki, lecz nie przychodziła mu do głowy żadna piosenka odpowiednia do tej sytuacji.

- Myślałam, że nie żyjesz! - krzyknęła Sosa do postaci. Groteskowa, bezkształtna głowa obróciła się, by na nią spojrzeć.

- Hel... Helikon nie żyje! - warknęła postać.

- - Helikon żyje! - krzyknął Neq. Podniósł miecz... i zawahał się uświadamiając sobie, że tak długo, dopóki widzi cymbałki jako miecz, narkotyk rządzi jego umysłem.

- - Powstrzymaj te kwiaty! - krzyknął do Sosy. - Weź moją latarkę... Podeszła do niego natychmiast i wzięła źródło światła. Zaświeciła w otwór szukając pnączy, które musiały być gdzieś blisko. Neq spojrział na stworzenie. - - Kim jesteś? - zapytał.

- - Ja nie żyję! - odparło. Stało tuż obok otworu. Było równie wysokie jak człowiek i miało pokrytą bliznami, łysą głowę.

- To Bob - wyjaśniła Sosa. - Władca Helikonu. Były władca! Więc jednak uszedł przed zemstą Sola!

- - Teraz ja jestem władcą - powiedział Neq. - Musimy rozstrzygnąć ten spór pomiędzy sobą.

- - Uciekaj stąd, Neq! - zawołała Sosa. - To prawdziwy zabójca, a ty jesteś pod wpływem...

- - Tędy - powiedział Bob. Jego głos był niemal niezrozumiały, jak gdyby nie używał go od lat.

- Nie idź tam! - krzyknęła Sosa. - On jest szalony! Obaj mężczyźni nie zwrócili na nią uwagi. Bob zstąpił do grobu, a Neq podążył za nim, wyczuwając brzegi otworu szczypcami.

Czołgał się na łokciach i kolanach, trzymając miecz z dala od gruzu. Sosa nie poszła za nimi.

Wyszli z tunelu we wspaniałej jak pałac jaskini, której dno opadało w stronę jeziora będącego źródłem wody dla Helikonu. Było tu gorąco i jasno. Elektryczne żarówki zwisały z sufitu.

- - Miałeś tu prąd przez cały czas?

- - Oczywiście.

Głos Boba brzmiał wyraźniej, odkąd znaleźli się na jego terytorium, a woń kwiatów zanikła.

- - Przygotowałem sobie tę kryjówkę na wszelki wypadek. Jest tu szyb wentylacyjny prowadzący na szczyt Góry.

- - Dlaczego więc tu zostałeś?

- - Na górze jest zimno.

Zimno, to mało powiedziane. Szczyt Góry zawsze był pokryty śniegiem. Groziło tam śmiertelne niebezpieczeństwo w postaci niezliczonych urwisk, rozpadlin oraz lawin.

Tylko ktoś zdesperowany mógłby porzucać tak bezpieczne schronienie, by narazić się na to wszystko.

- Czy jesteś sam?

Trudno było uwierzyć, by ktokolwiek mógł wytrzymać siedem lat w całkowitym odosobnieniu.

- Oczywiście, że nie. Mam bardzo posłuszne plemię. Chodź, musisz to zobaczyć. Wcale nie zazdrozczę ci twojej pozycji.

Poprowadził Neqa wzdłuż brzegu jeziora do szeregu wylotów jaskiń.

Były tam zwierzęta - mutanty ze Złych Krajów o różnych kształtach i rozmiarach.

Niektóre z nich umykały chyłkiem na widok nadchodzących mężczyzn, lecz inne wyglądały na oswojone.

- - O nich mówiłeś? - zapytał Neq.

- - To jest tylko część. Robotnicy i zbieracze. Oczywiście nie umieją czytać. Doskonale natomiast radzą sobie z pielęgnowaniem upraw hydroponicznych i zbieraniem plonów. Nie są jednak zbyt inteligentne.

Neq ujrzał, jak podobne do szczurów stworzenia odgryzały kawałki grzyba rosnącego w szczelinach i zносиły je gdzieś.

- - Musisz poznać moją żonę - ciągnął z ożywieniem Bob. - Życie władcy Helikonu ma to do siebie, że nie można mieć własnej kobiety.

- - Wiem o tym.

A więc jedna z kobiet również tu przyszła!

- Z jednej strony trzeba ciągle podejmować decyzje w sprawach dotyczących życia i śmierci, a z drugiej brak życia osobistego. To, co odziedzyczyłeś po mnie, to nie Helikon, tylko piekło.

Neq wiedział, co to jest piekło, więc to porównanie wydało mu się trafne. - - Widziałem twoje ślady w jadalni. Zastanawiałem się, kto mógł przyjść z wizytą.

- - Ślady? Z pewnością nie moje. Zatkąłem korytarz odpadkami i nigdy z niego nie korzystałem, aż do chwili, gdy zaczęłeś się przekopywać z drugiej strony.

Musiałem sprawdzić, co się dzieje.

Opadki - pnącza musiały zapuścić w nich korzenie. Wiatr wiał od jaskiń Boba do Helikonu i gdy rośliny wyrosły i zakwitły, sekret się wydał. Sosa nie odkopła grobu Neqi ani Vara, lecz kryjówkę Boba.

- - Dlaczego próbowałeś zabić małą Soli? - zapytał Neq tonem, jak gdyby chodziło mu tylko o zaspokojenie zwykłej ciekawości. W rzeczywistości jego dalsze postępowanie zależało od tej odpowiedzi.

- - Nie próbowałem jej zabić. Chciałem uratować Helikon.

- - Nie powiodło ci się.

- - Nie z mojej winy. Wiedziałem, że żaden koczownik nie zabiłby kobiety ani dziecka, zwłaszcza tak uroczonego, jak mała Soli. Byłem pewien, że barbarzyński wojownik, który spotka się z nią na płaskowyżu, gdzie nikt nie będzie mógł ich dostrzec, albo odstąpi jej zwycięstwo, albo ukryje ją, nie czyniąc jej krzywdy i sam ogłosi się zwycięzcą.

W obu tych przypadkach Helikon byłby bezpieczny.

Bob, zamknięty w tych jaskiniach, nie mógł znać historii Vara i Soli. Jego kalkulacje były poprawne, nie wziął jednak pod uwagę obecności Sola wewnątrz Helikonu. - -

Bezpieczny?

- - Gdyby zwyciężyła, honor zmusiłby koczowników do odstąpienia od oblężenia. Gdyby ogłoszono, że zginęła, ujawniłbym jej tożsamość, co unieszkodliwiłoby ich przywódcę.

Skutek byłby ten sam. Sos wiedział, jak wywierać nacisk na Górę. Był znakomitym strategiem i poznał nasz system obronny od wewnątrz. On mógł odnieść zwycięstwo, lecz żaden inny koczownik nie zdołałby zdobyć Helikonu. Rozumowanie wydawało się sensowne, niemniej jednak zawiodło.

- - Dlaczego nie wtajemniczyłeś innych w swe plany?

- - Przywódca nigdy nie ujawnia swych zamiarów przedwcześnie. Z pewnością o tym wiesz. Musiałem zrealizować plan, a potem powiedzieć o nim lub nie, w zależności od tego, co wydawałoby się bardziej korzystne. Zbyt wczesne ujawnienie tej informacji mogłoby doprowadzić do katastrofy.

Neq zadał sobie pytanie, czy podstęp z piosenkami i pnączem u doktora Jonesa udałby się, gdyby obecni o tym wiedzieli? Znał odpowiedź. Bob miał rację. Z tym że... - Ale Soi podpalił Helikon!

Bob spojrział na niego z politowaniem.

- Ten barbarzyńca? Był na to za głupi. To ja podpaliłem Helikon.

Zdumiony Neq nie powiedział nic.

- - W jakiś sposób część tajemnicy dotarła do tego głupiego bibliotekarza i wiadomość rozeszła się, zanim byłem gotowy wszystko wyjaśnić. Soi pognął w stronę mojego

gabinetu, by mnie zabić. Na monitorach zobaczyłem, że pozostali wzięli stronę tego durnia. Nie mogłem tolerować podobnej krótkowzroczności. Nacisnąłem mieszczący się w moim biurku guzik z napisem: „KONIEC KŁOPOTÓW” i przyszedłem tutaj. Nigdy nie miałem ochoty wracać. To musiało wyglądać nieestetycznie. - - Zrobiłeś to dla zemsty? - zapytał cicho Neq, naprężając mięśnie. - - Zemsta nie przynosi żadnych korzyści. Pewnego dnia to zrozumiesz - odparł Bob z wyższością. - Zrobiłem to z powodów czysto praktycznych. Gdy dyscyplina podupada, organizacja nie może dłużej funkcjonować. Lepiej wtedy od razu położyć kres jej istnieniu.

- Ale całe społeczeństwo koczowników załamało się! Bob wzruszył ramionami.

- Trzeba umieć się pogodzić z konsekwencjami własnych błędów. To brzmiało wiarygodnie. Bob wiedział co robi. Gdy inni spróbowali się wtrącać, zdławił bunt w najskuteczniejszy możliwy sposób. To było prawdziwe przywództwo.

Gdyby Bob znalazł się na miejscu Neq siedem lat temu, potrafiłby znaleźć okazję, by zabić Yoda zanim nad Neq zawisłoby jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Neq zrozumiał, że w porównaniu z tym człowiekiem jest niewiniątkiem. Brak mu było hartu ducha, by zrobić to, co konieczne. Przez całe życie poruszał się na oślep. Odnosił sukcesy dzięki przypadkowi, lub płacił potworną cenę za swoje błędy.

Weszli do następnej, wielkiej jaskini.

- O, tutaj jest! - zawołał Bob. - Wspaniała, lojalna kobieta! Prawdziwe wcielenie moich wymagań: posłuszeństwa, zaufania i dyskrecji. Gdyby tylko funkcjonariusze Helikonu byli do niej podobni...

Kudłate, podobne do niedźwiedzia stworzenie z błoną pławną między palcami stóp podeszło do nich, powłócząc nogami. Był to kolejny mutant z podziemi. - - Miło mi cię poznać, Boba - powiedział Neq.

- - Nie Boba. To dekadencje, koczownicze nazewnictwo - poprawił go Bob. - Pani Bob.

Neq skinął z powagą głową.

- Teraz rozumiem.

Czekali na niego po drugiej stronie grobu, czy też śmietnika... - Co się stało?

- zapytał

Jim. - Czy go zabiłeś?

- - Oczywiście, że nie - odparł Neq, maszerując dziarsko przed siebie. - Zemsta nie przynosi żadnych korzyści.

- - Ale Bob był odpowiedzialny za wszystko... - zaczęła Sosa.

- - Pogodził się z konsekwencjami swoich błędów - odparł Neq. - Podobnie jak ja.

Zamknijcie to przejście i nie przejmujcie się pnączami. Tutaj nie przeszkadzają nikomu.

Ich woń była w tym miejscu silna i pragnął wydostać się z jej zasięgu, zanim znów zmać ona jego umysł.

- Prawie bym zapomniał - odezwał się Jim. - Ktoś próbował połączyć się z nami przez radio. Nie Odmieńcy. Przełączyłem to do twojego gabinetu, ale... W parę chwil Neq znalazł się z powrotem na swoim miejscu. Głos wydobywający się z głośnika przemawiał w obcym języku. Nacisnął guzik przełączający na nadawanie. - Mówcie po angielsku! -

zawołał. - Tu Helikon! Po krótkiej przerwie odezwał się inny głos, przemawiający z wyraźnym akcentem.

- - Mówi Stacja Andy. Próbowaliśmy się z wami połączyć. Nie mieliśmy kontaktu przez siedem lat...

- - To była tylko przerwa - odrzekł Neq.

- - Ale dwa lata temu wysłaliśmy helikopter. Pilot zameldował nam, że Helikon został opuszczony...

Więc to był ów tajemniczy gość!

- Nastąpiła zmiana personelu. Nasz dawny przywódca, Robert, musiał odejść w stan spoczynku. Jestem Neq. Od tej pory możecie współpracować ze mną. W głosie zabrzmiała nuta troski.

- - Wiele lat współpracowaliśmy z Robertem. W jaki sposób zginął? - - Doprawdy, Andy! - odparł Neq, udając szok. - Helikon jest cywilizowany! Bob opuścił swe stanowisko, aby móc poświęcić się swojej żonie, która jest czarującym stworzeniem. Wyślijcie ponownie waszego człowieka, to go jej przedstawimy.

Nastąpiła przerwa.

- - To nie będzie konieczne - odezwał się w końcu głos. - Czy znowu funkcjonujecie normalnie? Potrzebna wam jakaś pomoc?

- - Jak wyglądają wasze zapasy młodych kobiet? - zapytał Neq.

- - A jak wyglądają wasze zapasy sprzętu elektronicznego? Neq uśmiechnął się. Miał robotę do wykonania i nagle poczuł, że zaczyna ją lubić.

KONIEC